GIEWONT



PAŹDZIERNIK 1924. NR. 1

GIEWONT

ILUSTROWANY KWARTALNIK ZAKOPIAŃSKI
POŚWIĘCONY SZTUCE, LITERATURZE I SPRAWOM ROZWOJU ZAKOPANEGO
REDAKTOR I WYDAWCA: ADAM KOWALCZEWSKI-SIEDLECKI
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: ZAKOPANE, „HOTEL SPORT“, KRUPÓWKI „GIEWONT“.

OD WYDAWNICTWA

ROZPOCZYNAJĄC wydawnictwo „Giewontu“, ilustrowanego czasopisma w Zakopanem, pragniemy przedewszystkiem służyć sprawie rozwoju i rozkwitu jednego z najpiękniejszych zakątków naszego kraju.

Zdając sobie sprawę z trudności naszych poczynań, odrazu szczerze apelujemy do współpracy i pomocy wszystkich, którym Zakopane jest ukochane i drogie. Bez tej pomocy projekty nasze spełzną na niczem.

„Giewont“ ukazywać się będzie kwartalnie, jako zeszyt o przeszło stu stronach, w treści całkowicie niemal poświęconej Zakopanemu, za wyjątkiem działu literacko - artystycznego. Życie towarzyskie, sport, taternictwo, zawody narciarskie, warunki klimatyczne, wszystko to będziemy się starali odzwierciedlić na łamach „Giewontu“.

Poza tem w sezonie zamierzamy wydawać sporadycznie ilustrowane „biuletyny“, kolejno poświęcone różnorakim dziedzinom życia miejscowego.

„Giewont“ winien zapełnić lukę w życiu kulturalno - towarzyskiem, dać miłą rozrywkę umysłową, lecz nadewszystko szerzyć w jak najszerszem tego słowa znaczeniu kult umiłowania Tatr i tego najcenniejszego klejnotu w diademie gór, jakim jest bezsprzecznie i winno być Zakopane.

„Giewont“ z biegiem czasu, dla każdego przygodnego czytelnika winien być bodźcem, zachętą i serdecznym nakazem jak najszybszego zapoznania się z tym zakątkiem naszego kraju, jakich mało równie uroczych jest na świecie.

Ponad to „Giewont“ dla każdego przyjezdnego będzie doradcą, wskaźnikiem i wyczerpującym a niemylnym informatorem i przyjacielem podróży, dla stałych zaś mieszkańców ożywieniem życia umysłowo-towarzyskiego i dyskretnym przypomnieniem „tego o czem się nie mówi“, a co bezwarunkowo w interesie i dla dobra Zakopanego musi ulec sanacji.

Jak najszersze omówienie braków i potrzeb, jak najwydajniejsze danie pola inicjatywie, słowem oświetlenie i ujęcie wszystkiego co dla dobra i rozkwitu Zakopanego przyczynić się może, będzie wskaźnikiem w naszej pracy i dążeniach. Zaznaczyć także należy, że „Giewont“, jako czasopismo ilustrowane, poświęcone, poza wyż wskazanym celem, literaturze, sztuce, sportom, taternictwu i życiu towarzyskiemu, najzupełniej obcy będzie wszelkiej polityce, ujmować będzie wszelkie sprawy tyczące Zakopanego objektywnie i rzeczowo, li tylko i jedynie dobro i korzyści, piękno i estetykę Zakopanego mając na sercu.

Obecne warunki bytowania w Zakopanem są na przyszłość dla obu stron, t. j. tak dla przyjezdnych jak i dla stałych mieszkańców nie dość wygodne i wdzięczne, by na dłuższy czas utrzymać się mogły. Zmiana i to szybka jest konieczna, a łącznikiem znakomitym w poczynaniach tych, może i powinna być inteligencja miejscowa, zespolona w jednem haśle: „wszystko dla Zakopanego“. — „Giewont“ pragnie służyć tym właśnie poczynaniom.

REDAKCJA.

ROMANTYZM GÓR.



Urok, jaki czaruje taternika, gdy spojrzy z niebotycznych szczytów Tatr na przestrzenny świat, ten świat godny wszechstworzenia, bardziej malowniczy, wspanialszy, wznioślejszy, udziela się całej niemal inteligencji polskiej i obcej, oraz każdej duszy wrażliwej na cudo natury, czułej i tkliwej na widok olbrzyma „gór i skał". Urok ten każe wierzyć, że ziemia dźwigająca, jak Atlas, ten ciężar gór, masę lasów, olbrzymią sieć wąwozów wystawiła boskiej Naturze kolos-pomnik, by nim złożyć hołd wszechpanującemu tutaj Pięknu. Gdyby góral miał polot greckich poetów, stworzyłby mit o tytanie górskim, zazdrośnie patrzącym na królestwo Boga „za chmurami", dumnie podnoszącym czoła wysokopiennych szczytów, nigdy nie obawiającym się skier błyskawicznych zygzaków, huku dział z Bożych piorunów z za okopów chmurnych, wyrzucanych ludziom na ziemię. Żeby umysł górala był, jak stopa jego, tak chybki i zwinny, mogłaby pisana literatura mieć romantyzm wielki, większy od biblijno-uczonej trzech wieszczów tworzonych na ziemi obcej, pod obcem niebem, w obcej Szwajcarji francuskiej czy włoskiej. Natenczas pozdrowienia Mickiewicz nie przesyłałby ze Splügen Marylce, Słowacki nie szukałby zacisza w Tella kapliczce, na szczycie Jungfrau, Krasiński nie pisałby Przedświtu na jeziorze szwajcarskiem przy boku hr. Potockiej. W romantyce wizyjnej na Łomnicy, szczycie Mnicha może miałby apokaliptyczne Zjawy ks. Piotr, tam śród śnieżnoskalnych zwałów oczekiwałby lud męża Opatrzności, może Pankracy tam walczył o okopy św. Trójcy, a Henryk z Tatr rzucił się w przepaść z szablą. Może Ukraina byłaby zastąpiona Tatrami, a kobziarz byłby tak śpiewny jak lirnik, czarnobrewy i hej-kozacze dumki i szumki też miałyby oparcie o piękno swoiste. Może, może... gdyby wieszcze znali Podkarpacie i Tatry polskie i gdyby granice trzech zaborów nie odcięły Małopolski od Mazowsza czy Kresów wschodnich.

Nie wyrażamy tych tęsknot spóźnionych dlatego, by dać wyraz szowinizmowi miejscowemu, ani też dlatego, żeby sprawdzić się miały słowa Tetmajera w wierszu „Patrjota": Niechaj śmierdzi jak śmierdziało, byle tylko narodowo, lub wolę polskie łajno w polu, niż fijołki w Neapolu. Nie, nie banalną swojszczyzną zatruć i zbrzydzić chcemy piękne Tatry, ale i naród u góry i dołu, od podstaw do szczytu rozumiałby poezję wieszczą lepiej, widząc terytorjalnie bliżej, plastyczniej i sprawdzialniej. Piramidy, Sfinks, Jungfrau, Montblanc — to legenda, możliwa do obejrzenia dla wybrańców. Dla reszty to kabalistyka abstrakcyjna jak „ślepa mapa"...

Coś nie coś słyszymy o Tatrach w „Konfederatach barskich" i „Irydjonie". Goszczyński widział na własne oczy Tatry z Worcellem i Zaleskim po r. 1831 jako emisarjusz demokratyczny i wygnaniec.

„Ciekawość moja — słowa autora „Dziennika podróży po Tatrach" — zaspokojona po części, a w największej części rozbudzona bardziej. Widziałem Zakopane i Kościeliską, zajrzałem w Tatry, ale w czasie tak nieprzyjaznym, tak dorywczo, że nie mogę powiedzieć, bym już wszedł choć na ślad prawdziwego wyobrażenia o Tatrach". Niżej czytamy: „Zakopane jest to miasto wsi i doliny w Tatrach, idącej w tymże kierunku, co dolina Kościeliska; przedziela je Giewont i pasma wzgórz... Dolina ta jest wdzięczną, jak Kościeliska, obejmuje jednak przedmiot godny widzenia". Następuje piękny ustęp prozy romantycznej Goszczyńskiego:

„Śliczny poranek spełnił przepowiednie wczorajszego wieczora. Pogoda na cały dzień pewna. Olbrzymia gromada nagich szczytów wydawała się jak skąpana w świetle i świeżości; tylko groźniejsze od innych lodowce błyszczały wiecznym śniegiem. Kto choć raz w życiu nie oddychał górskiem a polskiem powietrzem, kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej, ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, czucia, na całą istotę człowieka".

To nie czcze słowa; serce i oko romantyka spotkały się na jednej platformie odczuwania piękna ze szczytu tatrzańskiego!

Romantyzm w podświadomem ujmowaniu zjawisk i tu ma pole, czy do demonizmu oglądanego nad czarodziejskim „stawem", czy uroczem, jasnem „okiem" z wody morskiej; świat wyobraźni zasilałby w mgłach siny zwał skalisty, tatrzańsko-osjaniczny! Powrót do natury da się pomyśleć lepiej tam, gdzie kultura piastowska, prymityw sztuki i nauki. Zdziczenie śród gór może wyjść z nagrodą grozy romantycznej, zbójnictwa i greckiego życia stadłowego wraz z skałą tarpejską. Tak i słońce i mrok i taniec i mord mają miejsce godne mistrzów i arcydzieł. Pozytywizm poznał Tatry, ale ze swego punktu widzenia. Po romantycznej żałobie nastąpiła praca oświatowa, od podstaw. Mosty, koleje, budowle, schroniska, uzdrowiska poczęły się mnożyć jak grzyby po deszczu. Górala wzięto za okaz zoologiczny, wykopalisko i małpoluda jaskiniowego, dzieci jego emancypowano w idei: wszystko przez lud dla ludu. To racjonalistyczne traktowanie góroznawstwa miało charakter wy-



Morskie Oko. *Fot. H. S.*

cieczkowo-naukowy, amatorski, desperacki lub panienkowaty. Każdy szukał swego „bzika“, za którym gonił jak Don Kiszot. Ale poezja żyła i nurtowała...

Poeta jest dzieckiem natury i wyobraźni, a nadto swego otoczenia. Dlatego te trzy czynniki odgrywają poważną rolę w kształtowaniu się twórczości, samoobjawiającej artystę. A zwłaszcza błogosławionym wprost momentem jest zetknięcie się poety z przyrodą. Przyroda jako pejsaż i jako symbol — oto dwie formy, w jakich ukazuje się ta krynica, odświeżająca młodość i zdrowie. Artysta upaja się tchem przyrody, powiewem wiatru, kaskadą wody górskiej, ciszą czy poszumem drzew, obłokiem czy gromem, padającym z ołowianych chmur, wschodem czy zachodem słońca, malowniczością dekoracji, wynikającej z ugrupowania drzew, gór, skał, chałup czy dróg strojnych rzędami rozłożystych drzew. Wtenczas budzi się w artyście bóg przestrzenny, bóg natury, bóg panteistyczny. Oko wciska się w rozczulone i roztkliwione serce poety i widzi tam to, czem upojone oko nakarmiło serce: macierzystym chlebem i krynicznem mlekiem krajobrazu. Za sercem idzie dusza, jaźń, soczewka wnętrzna artysty. Ona, marzycielska jak powój, wiesza się przepaścistych urwisk skał, wślizguje się w obłoki i dumnie spogląda w ciszę i nieskończoność świata — niemych, lecz żywotnych — organizmów. A wtedy to, co czuje, co słyszy, co widzi, co odgaduje, kreśli w notatniku myśli i uczuć i rzuca społeczeństwu, światu ukochaną pieśń piękna.

Lecz przyroda budzi refleksje. Tęsknota za czemś co było, a co się rozwiało, dążenie ślepe do czegoś co niepokoi, kusi, pokutuje, łka. Kochanie zła i dobra, kłamstwa i prawdy, serca i rozumu, mężczyzny czy kobiety przesuwa się jak cień, rzucając nastroje, wspomnienia, przeżycia. I to, czem się człowiek karmi, co literatura kryje w nurtach poezji, co poezja opiewa w liryzmie, co miłość opiewa, co romantyzm zawarł — posiadają Tatry w pogłosach literatury tatrzańskiej, poganizmie rozbójnika, ezoteryzmie gazdy-filozofa, bajce Sabały, fujarce pastucha, w podzwonnem bydła, poganianego w góry. Mamy prawo pisać o wielkim sakramencie Tatr: romantyzmie górskim.

Stosunek artysty do przyrody bywał różny z biegiem lat i wieków. Mądrość scholastyczna zabijała poetyczne spojrzenie na świat organiczny, dedukowała, mistycyzm szukał w astrologji i alchemji satanistycznych demonów lub opatrznościowych zbawców. Humanizm odkrył prometeizm sztuki w genjuszu artysty. Barok wynaturzył człowieka, więc i przyrodę. Sielanki rozluźniły zmysł oka chucią strojną w pasterskie ozdoby Laury i Filona. Szekspir nawet las ardeński maluje jak Morus Utopję, ma charakter przyroda teatralna, teatr w teatrze, aktor śród błaznów, Polonjuszów i Rozenkranców. Dla kontrastu lub dla wzruszeń oślepiają piorunowe błyskawice niewinnych, tułaczka po lasach zdetronizowanych ma kalejdoskopowy raczej charakter. Malarstwo holenderskie dopiero zindywidualizowało przyrodę po teozo-



ficzno-mistycznych fenomenach świata przyrody z kwiatków św. Franciszka. Przyrodę nie miasto, ale wieś przekazała w czystości, w prawdziwej tradycji piosenkarstwa i balladowości, zwłaszcza synowie Germanji, a to wzięli dopiero za hasło reformy piękna: Herder, Bürger, Goethe i inni. W Szwajcarji Rousseau dobył z ziemi wychowawczo-religijny i społeczny kapitał. I odtąd Szwajcarja stała się ziemią obiecaną liryki romantycznej. Przyroda bezwzględnie przywróciła fantazji jej zdrowie, jej czar, jej niewinność, jej kobiecy, szósty zmysł intuicyjnego wróżenia czy jako Nemezis, czy jako wróżka z „Manfreda" Byrona. Z przyrodą wraca miłość w helleńskiej formie Amora i Psyche, Platona i Wenus. Za Szwajcarją Włochy. Czy znasz ten kraj? — oto ustawiczne entuzjastów pytania, następnie, Grecja z ruinami i cyprysami, Arabja stepowa i beduinowa, Ganges i Nil. Donżuanerja i donkiszoterja, wędrownictwo i włóczęgostwo, pustelnictwo i apostolstwo bez obszaru, bez stepu, bez morza i bez gór nie dałyby się pomyśleć. Mickiewicz — góry krymskie, Słowacki — szwajcarskie i Wschodu, Krasiński — Wezuwjusz i zatoki, Malczewski — Mont blanc zwiedza, Goszczyński natomiast Tatry i pisze nawet dziennik podróży po Tatrach. Spotykamy tam i Zakopane i Morskie Oko. Ale Goszczyńskiego zajmuje to, co Chodakowskiego, Staszyca i Brodzińskiego: swojszczyzna, krajoznawstwo, obyczajowość, ale i prometeizm gór. I może tu nie wpływ ponurego, mglistego Osjana, ale tułaczka i cierpienie wykrzesały symbol z gór.

Najwięcej liryzmu dobyli Słowacki i Tetmajer Kazimierz. Pierwszy w „Szwajcarji" znalazł lek i objawienie, drugi w Janosiku i zbójnikach nowotarskich. Tu i tam na tle gór uczucie smutku, tęsknoty, szukania własnej duszy, zagubionej w melancholji, która niszczy. Ciągle Słowacki się skarży: „ale jestem bardzo smutny", „bardzo samotny", „samotność tak zupełna, jaką czuję, złą jest dla człowieka" i w. in. A było Słowackiemu smutno nad jeziorem, w górach, w pobliżu Veytoux. Smutny, bo jak sam się zdradzał: był zabity na sercu. Śniadecka wracała jak wizja, Eglantyna i Wodzińska nie dawały mu spokoju. Chciał się rozpylić w sercach, one chciały mieć na wyłączną własność.

Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...
Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągle zabraniały świadki.
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki.
Jeden mówił: nic — a drugi: troszeczka.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach — wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.
Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział.

Błędna gwiazda smutku i przeznaczenia miała odpowiednik za Polski granicami w Shelley'u, przyjacielu Byrona; utopił się, raczej utonął, zaskoczony przez burzę, a ciało spalono na stosie śród równiny „nad morzem w Lido", tak ze smutkiem komunikował Słowacki. Prawdą głos, że spalił niby Patroklesa Achilles Byron w zatoce zatopionego przyjaciela pod Liwornem. Mniejsza z tem, wszystko dobrze fotografuje liryzm poety w górach, a serce miłością łamane i szarpane.

K. Tetmajer mógł za Janem Kochanowskim powiedzieć: „lepsza pewna wolność, niż rozkosz wątpliwa", ale i „Co komu rzecze białogłowa, pisz jej na wietrze i na wodzie słowa". Ale za romantykami też szedł. U Mickiewicza czytał: „dwa serca pałające na dwu krańcach ziemi rozmawiają jak gwiazdy promieńmi drżącemi", za Krasińskim mógł pisać o kobiecie:

Nie być — lecz wyróść musisz na dziewicę,
Przechodząc zwolna świat ten bólu cały.

Zrazu był pisarz plejady krakowskiej nazwany nastrojowcem i pesymistą, erotomanem i nirwanistą, bo opiewał ciało kobiety, żądza i zmysły nawiedzały łoże panieńskie; nie szło to na marne, język bogacił się o gamę przeżyć, dreszczy, uniesień i pocałunków. Śmiało grzmiał głód ciała, nie cofał się przed kochanką, co „kocham pisała przez ha", bo jak mówił poufnie „myśli się mroczą od zmysłów pożaru". Leda, Afrodyte, Sulamitka — wszędzie lubieżność i wszędzie kochanka. I one nie dawały spokoju poecie:

Są nieskończone zmysłów upojenia,
Bezdnie pożądań, bezkresy słodyczy...
Są wyszukanej rozkoszy porywy,
Wizje, gwałcące naturę, męczeństwa
Przewzbranych pragnień, niesytu szaleństwa.
Wśród szału żądzy okrucieństw popędy,
Jakiejś pieszczoty nieludzkiej straszliwej
Pożądań wściekłe, spienione obłędy.

Temperament unosił Pegaza, krew fermentowała, wicher przebiegał członki, głowa nurzała się w tumanie żądz: poeta gór — kochał! Hymn do miłości przeszedł w hymn do Nirwany.

Dawniej się — mówi — trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
Dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.

A dalej:

My nie tracimy nic, bośmy odrazu
Nic nie przynieśli...

Leopardi i Weltschmerz zanucili kruczą pieśń lecz i to mija!

Jednej kobiety nie zostawiam w drodze.
Są jakieś cienie, czy też były — cóż?
Z dziewiczem sercem żywot mój przechodzę.
Albom je oddał gwiazdom gór srzeżodze,
Szumowi lasu, wodzie, wschodom zórz!

I tu jest transfiguracja poety-pesymisty.



Zakopane w rannej mgle. *Fot. H. S.*

Góry go ocuciły, góry poruszyły i góry podniosły. Lotem sokoła zatoczył skrzydła do szczytów górskich. Kocha teraz przestrzeń, światło, wicher, sny niewymowne, Zawiszę i Janosika.

Słyszycie? oto rosną ponad nami mury —
Tych tęsknic, które dusza od wieku, od świata
Początku od tysięcy lat, od milionów
Wysnuwa z siebie w przestwór! Piętrzą się i mnożą,
Dosięgają niebios i anielskich tronów,
I taka z nich ogromna moc w niebo wylata,
Aż Pan Bóg rzeknie: „Stań się!"

Zakopane! Odkrycie istotne, ta wioska zakazana i „zakopana" miała być Kalifornją pomysłów? Dr. Radziszewski oznajmił, że to kolonja tatarska, Witkiewicz znalazł oryginalny styl, Matlakowski referaty i prace dorzucił, rozgadano się o „stylu zakopiańskim", o meblach, ubierano się po góralsku. Słowem, głowy potracono. Asnyk zwiedza góry i pisze sonety, Nowicki jest taternikiem, Sienkiewicz nuci o Sabale, Modrzejewska szuka wrażeń, Witkiewicz pisze „Na przełęczy", Orkan „tworzy", Tetmajer „rzuca się" o sto lat wstecz, do tych niezależnych, niespańszczyźnionych warchołów, górali woli i swawoli, boju i rozboju, miłości i podłości. Szuka iłów polskiej namiętności i odnajduje w języku Podhala takie „polskie dusze" jak ojców jego szlacheckie kontusze.

A. B. Cyps.

LAS CIEMNOSMRECZYŃSKI

Z gór stromych, z białych ścian, z murów wyso-
[kich i świętych
Stoczyło się grzeszne życie i w dół strugami ściekło.
Tam w dole się rozsiadło, rozlało w kłęby i męty
I wyrósł las ciemnosmreczyński — zielone piekło.
W górach ostro, czysto, cnotliwie. Tu — ciepło,
[duszno, zgniło.
Lepki torf czarną piersią karmi potwory:
Paprocie ludzkiego wzrostu, storczyki jakich nie było,
Drzewa o mięśniach siłaczy, kukły i mandragory.
Tu zbiegła się reszta boginek. Mnich zlazł tu
[i Krwawy Juhas.
Żyją i dyszą w ognisku zielonem, krzyczą i straszą
[wściekle.
Życie wygnane z gór czystych pieni się, tryska
[i bucha
I tańczą drzewa grzesznie splecione w Ciemno-
[smreczyńskiem piekle.

MARJA PAWLIKOWSKA.

ONGI A DZIŚ...



Gwarno dziś i ludno pod Tatrami i w Tatrach, a chodzenie w góry stało się dla zmęczonego obecnemi warunkami bytu człowieka dolin, łaknącego na chwilę bodaj szerszego oddechu, piękna i zetknięcia się z przyrodą — poprostu potrzebą życiową. Nie brak jednak ludzi, których w góry pędzi tylko ciekawość, chęć zaspokojenia pewnych ambicji — lub wreszcie to tylko, że chodzenie stało się „modnem".

O stosunku człowieka do gór i przyrody górskiej, o skutkach walki trjumfującej dziś techniki z żywą przyrodą, o stosunku kultury do natury — pisano wiele; sprawy te możnaby rozważać nader obszernie.

Pismo nasze, otwierając swe łamy dla wszelkich spraw turystyki tatrzańskiej i poświęcając jej specjalną uwagę, nieraz będzie mogło zabrać głos i w tych kwestjach. Nie od rzeczy więc będzie, gdy na wstępie w krótkim rzucie oka wstecz — uprzytomnimy sobie w streszczeniu dzieje rozwoju polskiej turystyki tatrzańskiej.

W Tatrach i na Podhalu czasy, dla innych okolic już historyczne, giną w pomroce wieków, toną w poszumie puszcz bezkresnych, które jeszcze w XIII—XIV wieku zalegały całe Podhale, gdy pierwsze ludzkie osiedla posuwać się zaczęły od założonego w 1252 r. Nowego Targu — ku Tatrom.

Niewiele wiemy o pierwszych osadnikach na Podhalu; kilka skąpych i suchych wzmianek kronikarskich nie daje nam pojęcia o ich życiu i warunkach bytu. Wrębywali się oni coraz głębiej w lasy i — zdaje się — w XV w. doszli do stóp Tatr. Nieznaną też jest data założenia Zakopanego — o czem mówi obszerniej tylko znana legenda — wiemy jedynie, że w 1578 r., za Stefana Batorego, osiadł na zakopiańskiej dolinie pierwszy Gąsienica, uchodzący za założyciela Zakopanego, protoplastę licznego dziś rodu.

Na „skalnem Podhalu" osiadł tedy polski lud góralski — ale wnętrze Tatr było jeszcze „księgą o siedmiu pieczęciach"; lęk i groza jaką zdawna budziły góry w sercach ludzkich, zabobon, wreszcie lasy nieprzebyte, pełne dzikiego zwierza, broniły długo ludziom dostępu do Tatr. Tylko śmiały zbójnik przedzierał się przez ich szczyty w liptowskie i spiskie doliny — „na chlèb, na mieso, na wino, na złoto" — dla rozkoszy walki, a może i zażycia „ślebody" nieograniczonej wśród tajemniczej puszczy tatrzańskiej. Szedł tam i myśliwy-góral, „polować", by w niedostępnych turniach „ślakować" ostrożne kozice lub nawet zmierzyć się z władcą lasów tatrzańskich — niedźwiedziem. Szedł wreszcie juhas z „kierdelem" owiec, a ślady ich racic przetorowały już przed kilkuset laty niejeden z dzisiejszych szlaków turystycznych.

Ludzie z dolin, „ze świata" — przekraczali progi tajemniczej świątyni gór — nieśmiało i trwożnie — zrazu tylko jako poszukiwacze skarbów (w XVII—XVIII wieku), które, jak sądzili, tu spoczywały w olbrzymich ilościach, ukryte czy „zaklęte" — a rozliczne modły i „sposoby" czarnoksięskie dopomagać miały w ich wydobyciu.

Próbowano też, i to również od XV w. począwszy, kopać w Tatrach rudy żelazne czy srebrne — lub nawet złoto — a ślady tych mozolnych lecz mało wydatnych robót, prowadzonych przez królewskich urzędników polskich, oglądać dziś możemy na każdym kroku, zwłaszcza w Tatrach Zachodnich.

Z początkiem XIX w., w ślad za pierwszym polskim badaczem naukowym Tatr, Staszicem, przybywać zaczynają tu uczeni, przyrodnicy, pisarze i poeci — przyczyniając się do stopniowego zbadania i poznania wnętrza gór, a oczarowani urokiem dziewiczej przyrody, roznoszą sławę Tatr po kraju.

Wreszcie w latach sześćdziesiątych ub. stulecia, zjawiają się pierwsi goście, „panowie ze świata".

Jakże inaczej wyglądało tu podówczas! Szybko zapadają w mrok zapomnienia czasy, gdy od Krakowa jechało się dwa dni wózkiem góralskim, wyboistą i uciążliwą drogą ku dalekim, tajemniczym, mało znanym Tatrom, gdy w miejscu dzisiejszych Krupówek, wśród gęstych „gajów" zrzadka tylko ciemniały kalenice dachów niskich, staroświeckich—lecz pięknych — chałup, gdzie przybysz z miasta znajdował jedynie pierwotne i surowe warunki pobytu wśród ludu góralskiego. Wieś była odludna i cicha, a w niedziele, wśród tłumu górali wylegających po kazaniu ks. Stolarczyka, pierwszego proboszcza w Zakopanem, ze starego kościółka przy ulicy Kościeliskiej, ówczesnem centrum wsi — zrzadka tylko widniały postacie „panów" z miasta.



A „fajni" to bywali panowie, ci pionierzy ruchu turystycznego i letniskowego; nie brakło wśród nich ludzi o wielkich sercach i nazwiskach, którzy całem sercem



Morskie Oko od strony Czarnego Stawu.

umiłowali Tatry, lud góralski i całą tę piękną, lecz biedną podhalańską krainę, „ka sie chléb końcy a skała zacyna". Ludzie ci, jak Dr. Tytus Chałubiński, „odkrywca" uzdrowiska zakopiańskiego ze swym nieodstępnym towarzyszem Sabałą, „Homerem Tatr", ks. Stolarczyk, Stanisław Witkiewicz, artysta malarz, twórca „stylu zakopiańskiego", Walery Eljasz, autor pierwszego przewodnika po Tatrach, Prof. L. Świerz i tylu, tylu innych—przeszli do historji Podhala, stali się „legendowemi postaciami zakopiańskiemi", lecz ślady i skutki ich działalności kulturalnej, artystycznej i turystycznej pozostały niezatarte.

Gdy w r. 1885 doprowadzono kolej żelazną do Chabówki, z początkiem każdego lata, przez wyniosły garb góry Obidowej, przez „miasto" Nowy Targ i ciche podtatrzańskie wioski, przesuwały się rokrocznie coraz to dłuższe szeregi okrytych płótnem „furek" góralskich, zwożących gości. Zakopane staje się uzdrowiskiem, „stacją klimatyczną" wysokogórską, jedyną na ziemiach polskich".

„Odkrywcze wyprawy" Dra Chałubińskiego, ks. Stolarczyka, Eljasza w głąb Tatr, te owiane już dziś nieledwie romantycznym urokiem legendy, huczne i wesołe wycieczki w kilkudziesięciu „chłopa" przy dźwiękach muzyki góralskiej i gęślików Sabały — doprowadziły do „zdobycia" najwyższych szczytów Tatr — a w ślad za tem, coraz powszechniej, zaczęto zwiedzać góry, w towarzystwie przewodników-górali, zachwycać się niemi, rozumieć je wreszcie. Nauczono się cenić to, co góry najdroższego dać mogą człowiekowi: hart woli, ducha i ciała, swobodę myśli, zapomnienie o „dólskich" drobnych sprawach i bólach — tembardziej, że były to czasy ucisku i niewoli Narodu, który wołał wraz z poetą:

Tatry! czemuż jak siedzib szukające ptaki
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?
O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej Ojczyzny — o skalna świątyni
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

W tym to „złotym okresie" Zakopanego powstała w r. 1873 myśl założenia Towarzystwa Tatrzańskiego; ogniskując prace i poczynania wszystkich miłośników Tatr i Podhala — stało się ono w ciągu pięćdziesięciu przeszło lat swego istnienia istotnym gospodarzem Tatr i przyczyniło się niezmiernie do rozwoju samego Zakopanego.

Racjonalne udostępnienie gór przez budowę, wyznaczenie a nawet ubezpieczenie ścieżek i szlaków turystycznych, oraz budowę schronisk, popieranie i publikowanie we własnych wydawnictwach prac i badań naukowych w Tatrach i na Podhalu, ochrona przyrody górskiej, popularyzowanie znajomości swojskich gór i wpojenie w społeczeństwo nasze umiłowania i zrozumienia ich piękna, zachowanie swoistego charakteru podhalańskiego zdobnictwa (założenie Szkoły zawodowej przem. drzewnego w Zakopanem), wreszcie organizacja przewodnictwa górskiego i ratownictwa w czasie nieszczęśliwych wypadków turystycznych— oto były w ogólnym zarysie idealne cele i realne zadania Towarzystwa Tatrzańskiego, którym przez

pół wieku potrafiło ono chlubnie sprostać w najtrudniejszych nawet warunkach.

Wreszcie z końcem r. 1899 kolej żelazna doszła do samego podnóża Tatr, a Zakopane staje się w coraz szybszem tempie stacją klimatyczną i turystyczną europejskiego znaczenia.

Coraz liczniej zjeżdża w tych latach inteligencja polska ze wszystkich zaborów i rozwija się żywy ruch turystyczny w pojęciu nowoczesnem, ogarniając, mimo politycznego podziału Tatr między Austrję i Węgry — nie powodującego coprawda trudności granicznych — cały ich obszar. Co więcej, turyści nasi zapuszczając się w najdalsze gór zakątki, zdobywają pierwszeństwo przed Węgrami i Niemcami.

Obfita literatura naukowa i opisowa, przewodniki i mapy, pojawiające się coraz liczniej na półkach księgarskich, umożliwiły też teoretyczne poznanie Tatr; turyści zaczynają chodzić samodzielnie, bez przewodnika-górala, a zmaganie się z niebezpieczeństwami gór, niemniej jak wprowadzenie do turystyki — na wzór alpejski — momentu sportowego, niepozbawionego nawet cech sportowego współzawodnictwa — stwarza „sztukę dla sztuki", prawdziwą umiejętność wspinania się po skałach, z zastosowaniem techniki alpinistycznej; „Zdobycie" i pokonanie wszystkich prawie, nawet najtrudniejszych turni i ścian skalnych, kończy okres „odkrywczy" w poznaniu Tatr. Tak powstaje typ „taternika", polskiego turysty wysokogórskiego, a założona w r. 1903 Sekcja turystyczna Tow. Tatrz. doprowadza w latach przedwojennych sport górski do poziomu najsłynniejszych zagranicznych klubów.

Od r. 1904 zaczęto zwiedzać niedostępne dotąd w porze zimowej Tatry na nartach, których użycie stało się wkrótce powszechnem. Powstaje w r. 1907 Sekcja Narciarska Tow. Tatrz., a później i inne kluby narciarskie, uprawiające prócz turystyki zimowej, także narciarstwo sportowe i organizujące corocznie liczne zawody narciarskie.

Zaroiły się góry rzeszą ludzką, a w ślad za prawdziwymi miłośnikami piękna przyrody lub szczytnego zmagania się w górach z własnem „ja" w śmiałym taternickim czynie — za ludźmi, dla których Tatry są „świątynią dumania" i skarbnicą dalekich od szarzyzny życiowej wrażeń i marzeń — przyszli z dolin zwabieni „modą" chodzenia w góry, ludzie inni, nie umiejący czytać w otwartej księdze przyrody, wnosząc za sobą gwar i hałas wycieczkowców podmiejskich, zaśmiecenie i oszpecenie najpiękniejszych zakątków Tatr, obdzierając je masowo z najrzadszych kwiatów, niszcząc wreszcie lekkomyślnie lub złośliwie drogi i schroniska Tow. Tatrzańskiego. W dalszych skutkach najazdu snobizmu na Tatry, pojawiły się projekty „ucywilizowania" ich przez budowę kolejek, restauracyj i t. p., nie liczące się z tem, że te jedyne na naszych ziemiach góry, ta niewielka wyspa pierwotnej przyrody — nie wytrzymują pod względem rozległości porównania z Alpami. Celem przeciwdziałania opisanym wypadkom, chcąc uratować Tatry z myślą o przyszłym polskim „Parku Narodowym", powstała w r. 1922. Sekcja Ochrony Tatr Tow. Tatrz., a dzięki inicjatywie i pracy najwybitniejszych miłośników i znawców gór, rozwinęła żywą i nader skuteczną działalność. Sekcja Przyrodnicza Tow. Tatrz. zgrupowała pracowników na polu badań przyrodniczych, organizując też odczyty, wycieczki naukowe i t. p.

Na duszę młodego pokolenia — nie pozostały Tatry bez wpływu, hartując ciało i wolę na mającą nadejść godzinę próby...

Z chwilą wybuchu wojny światowej — ruch turystyczny prawie zamiera. Najwybitniejsi taternicy spieszą pod sztandary Legjonów Polskich, lub, wcieleni do armij zaborczych, spędzają długie lata tułaczki zdala od Tatr. Wielu ginie — wielu wskutek zawieruchy wojennej rozprasza się po świecie...

A z chwilą powstania niepodległej Polski — bronić trzeba było granic przed nawałą wrogów.

Czasy wojenne nie sprzyjały turystyce, a zwiedzanie Tatr w czasie wojny było, z powodu trudności komunikacyjnych, z braku aprowizacji i przyborów turystycznych w Zakopanem — prawie uniemożliwione.

Niemało przyczynili się też do tego nasi nowi sąsiedzi w Tatrach — Czesi; złudnemi okazały się nasze nadzieje odzyskania ziem etnograficznie polskich u podnóża Tatr, a niedoszły plebiscyt i krzywdzące rozstrzygnięcie Rady Ambasadorów, dające nam małe i to najuboższe skrawki Spisza i Orawy — i ograniczające nas do kilku dolin po północnej stronie — nie rozszerzyło nigdzie naszego stanu posiadania w Tatrach.

Sprawa rewindykacji Jaworzyny i pięknych dolin Białej Wody i Jaworowej, które historycznie i etnograficznie, a także ze względu na geograficzną granicę, leżąc po północnej stronie Tatr, nam się należały — została ostatecznie w b. r. przegraną. Winić musimy sami siebie, a raczej czynniki odpowiedzialne, które nie umiały dość zręcznie i energicznie upomnieć się o słuszne prawa Polski. Jaworzynę i piękne doliny Tatr Wysokich przyznała Rada Ambasadorów powtórnie i ostatecznie Czechom, choć nawet Komisarze Państw Ententy w Komisji Delimitacyjnej, badającej tą granicę na miejscu, przyznali nam jednogłośnie prawo do niej.

Z chwilą przejścia Słowaczyzny w ręce Czechów, spotkali się polscy turyści, chcący odwiedzić dawną „węgierską" stronę Tatr, z szykanami a nawet aresztowaniami ze strony „pobratymców". Dziś to jednak ustało, a legitymacja Polskiego Tow. Tatrzańskiego jest respektowana przez strażników czeskich jako przepustka graniczna w całych Tatrach.

Naodwrót, przeprowadzenie granicy państwowej w Tatrach wywołało z naszej strony konieczność utworzenia strażniczych oddziałów wojskowych. W r. 1919 powstała więc Kompanja Wysokogórska Strzelców Podhalańskich, która w ciężkich zrazu warunkach, dzięki ofiarnej pracy kilku oficerów-taterników — nietylko spełniała świetnie zadanie obrony i ochrony Tatr, lecz także przyszła z wydatną pomocą Tow. Tatrzańskiemu w odbudowie i konserwacji schronisk i dróg, zniszczonych w czasie wojny. Zlikwidowana w ostatnich

latach, formuje się ona znowu, zapewne już na stałe.

Ten krótki rzut oka na przeszłość polskiej turystyki — zamyka okres miniony. Wojenna zawierucha skończyła się, a choć niestety nie wszystkie granice nasze pomyślnie ustalone zostały, może teraz polski taternik i turysta spoglądać ze szczytów Tatr z dumą i radością na rozległe obszary zmartwychwstałej Rzeczypospolitej.

W nowych warunkach obecnych rozwinęło Polskie Tow. Tatrzańskie żywszą jeszcze działalność; w myśl zreformowanego statutu powstają we wszystkich miastach Rzpltej Oddziały P. T. T., pracujące skutecznie w kierunku organizacyjnym, naukowym, turystycznym i propagandowym, a w samych Tatrach rozpoczęto szereg robót dla dostosowania się do wymogów czasu.

Co jest jeszcze w Tatrach do zrobienia? Co można, powinno się lub wolno nam jeszcze zrobić, by pozostawić je pokoleniom następnym przynajmniej w takim stanie, w jakim my je zastajemy! Nie wolno, dla dogodzenia własnej wygodzie czy może dla spodziewanych realnych korzyści, wprowadzać w Tatry tego, przed czem ucieka z dolin znękany życiem człowiek XX wieku. Muszą one pozostać na zawsze oazą, rezerwoarem żywej, dziewiczej przyrody, krynicą wzniosłych wrażeń, przeżyć i natchnień, muszą stać się polskim „Parkiem Narodowym" — są bowiem duchową własnością całego Narodu.

Mając to na uwadze, Tow. Tatrzańskie rozumie, że obecnie nie chodzi już o budowę nowych szos, dróg lub sztucznych udogodnień; jest ich dosyć, a dalsze zagęszczanie ich sieci mogłoby upodobnić Tatry do parku podmiejskiego, niszcząc bezpowrotnie piękno przyrody górskiej.

Drogi istniejące utrzymuje się więc tylko w stanie dobrym, a dla ułatwienia orjentacji nawet dla mniej wprawnych, w czasie mgły i t. p., wobec tego, że dziś już mało kto chodzi z przewodnikiem — opracowano nowy klucz barwnych znaków przydrożnych. Prace nad wykonaniem ich są w toku (w roku ubiegłym wykończył Oddział Zakop. P. T. T. znakowanie doliny Pięciu Stawów Pol.). To samo robi Czeski klub turystyczny po stronie południowej.

Daleko ważniejszą i palącą wprost potrzebą stała się przebudowa starych schronisk P. T. T. Nie mając na myśli tworzenia w górach wielkich hoteli czy przedsiębiorstw restauracyjnych, musiało jednak P. T. T., będąc oddawna niejako „gazdą" w Tatrach, zatroszczyć się, by coraz liczniejsze rzesze turystów znalazły tam znośny nocleg i przytułek.

Przy Morskiem Oku istnieje dostatecznie obszerne i doskonale zagospodarowane schronisko Oddz. Krakowskiego P. T. T., natomiast stare, szczupłe schronisko w punkcie tak ważnym jak Hala Gąsienicowa — jest teraz najzupełniej niedostatecznem.

Oddział Warszawski P. T. T. rozpoczął więc tam w r. 1921, nie szczędząc niesłychanych wprost kosztów i zabiegów, budowę monumentalnego schroniska. Olbrzymie bloki granitowe, znajdujące się w okolicy, były materjałem, z którego wykonano tę budowlę, przypominającą wyglądem jakiś zamek średniowieczny. Wewnątrz będzie ona urządzona nowocześnie i celowo. Uznając w całej pełni nakład pracy i kosztów poniesionych, lecz mając na uwadze doświadczenia alpejskie ze schroniskami kamiennemi, trzeba pozostawić czasowi i praktyce rozstrzygnięcie pytania, czy wspaniałe to schronisko okaże się wygodnem.

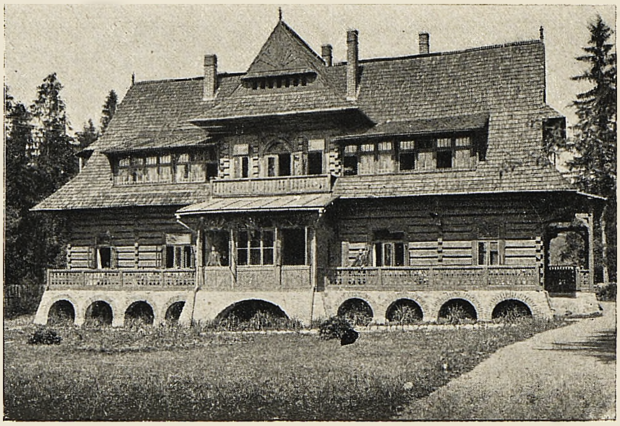
Wreszcie w roku bieżącym rozpoczął Oddział Zakopiański P. T. T. budowę obszernego, drewnianego schroniska w dolinie Pięciu Stawów Polskich (na miejscu dawnego). Mimo bardzo skromnych środków pieniężnych, a głównie dzięki inicjatywie, ofiarnej pracy i zabiegom Inż. K. Stryjeńskiego, dyrektora Szkoły Zawodowej przem. drzewnego w Zakopanem, dźwigają się szybko zręby tej pożytecznej budowli w Zakopanem, skąd w lecie r. b. częściowo przewieziona ona zostanie do doliny Pięciu Stawów; transport ten, ze względu na to, że jedynym dostępem jest wąska, stroma, skalista perć — będzie niesłychanie uciążliwy.

To też każdy, idący w góry i korzystający tam ze schronisk, dróg i urządzeń Pol. Tow. Tatrzańskiego, uważać powinien za swój moralny obowiązek przynajmniej zapisanie się w poczet jego członków. Na razie — niestety tak nie jest, a nawet Czesi zawstydzają nas, naród wielki, ilością członków swego klubu turystycznego.

Oby cele idealne, znaczenie i pożyteczność prac Pol. Tow. Tatrzańskiego — ale też i jego potrzeby — znalazły w dobie obecnej wśród społeczeństwa naszego i ogółu turystów lepsze zrozumienie!

Tadeusz Zwoliński.





»Oksza« Dom profilaktyczny.



Sanatorjum »Odrodzenie«.

TOWARZYSTWO „ODRODZENIE".

Na południowym stoku Gubałówki, zdala od pyłu i gwaru Krupówek, wznoszą się na parumorgowej przestrzeni, zabudowania Towarzystwa Domów Zdrowia „Odrodzenie".

Niewielu zapewne z tych, którzy przybywają na wywczasy do Zakopanego zwiedzali tę Instytucję i niewielu też zna jej pożyteczną działalność. A jednak gdyby tam poszli i uchylili owej zasłony, która dzieli świat zabaw i przyjemności od świata cierpienia i choroby, ujrzeliby widok niezwykły. Ujrzeliby młode życia dotknięte straszną chorobą płucną, a wśród nich i te cierpiące, trawione gorączką twarze i te już wyleczone, uśmiechnięte, wracające do zdrowia, a wydarte, że tak powiem, śmierci.

Od skromnych początków zaczęła się praca Towarzystwa „Odrodzenie": założone w r. 1913 przez Klarę Jelską, w ciągu 11 lat istnienia przy współdziałaniu ludzi dobrej woli, rozrosło się w poważną Instytucję społeczną, która posiada własne dwa domy — Sanatorja dla chorób płucnych, jak wspomnieliśmy, na Gubałówce i Dom Profilaktyczny przy ul. Zamojskiego.

Rezultaty leczenia są uwidocznione w zestawieniach statystycznych „Odrodzenia", z których się okazuje, że liczba wyleczeń sięga 70%. Nic to dziwnego, gdyż poziom leczenia sanatoryjnego stoi tam bardzo wysoko i mimo szczupłości pomieszczenia, jest to obecnie jedno z najpoważniejszych Sanatorjów w kraju. „Odrodzenie" przeznaczone jest dla niezamożnej, polskiej młodzieży męskiej i żeńskiej, wszelkich stanów i zawodów. Niema tu różnic i równie dobrze znajdują miejsce studenci, jak i młodzież rzemieślnicza, a wspólne obcowanie niezwykle korzystnie wpływa na poziom wyrobienia tak pod względem intelektualnym, jak i towarzyskim. Szkoda, że „Odrodzenie" jest zbyt małe i nie może pomieścić setek zgłaszających się kandydatów, wskutek tego bowiem giną setki młodych istnień, które mogłyby wrócić do swoich zawodów i pracować dla Polski.

Ale może już wkrótce skończy się okres odrzucania podań i próśb błagalnych, pisanych łzami, bo oto Towarzystwo „Odrodzenie" przy wielkich wysiłkach i ofiarności jednostek, zakupiło już część materjałów na mające powstać na terenie Gubałówki murowane duże Sanatorjum.

Daleka to wprawdzie jeszcze droga, ale ci, którzy stoją na czele tej pożytecznej Instytucji i którzy oddają się całą duszą idei ratowania młodego pokolenia, ufają, że społeczeństwo, a przedewszystkiem Rząd Polski, nie zostawi ich samych i przyjdzie z pomocą wielkiemu dziełu leczenia niezamożnej chorej polskiej młodzieży.

Na czele „Odrodzenia" stoją: Prezes Franciszek Kosiński, Wiceprezes poseł Medard Kozłowski, sekretarz Klara Jelska, oraz Członkowie Wydziału: Dr. Stanisław Adamski, p. Urszula Brzozowska, p. Marja Chylińska, Drowa Helena Czaplińska i p. Marja Kopecznowa.

Dyrektorem jest Dr. Józef Żychoń, lekarzem kierującym Dr. Stefan Jasiński, asystentami Dr. Tumalewicz i Dr. Jagoszewski.



Podczas posiłku w Sanat. »Odrodzenie«.

ZE ZŁOTYCH KART.

CHAŁUBIŃSKI — STOLARCZYK — SABAŁA — WITKIEWICZ.



Pomnik T. Chałubińskiego.

Czem byłoby dziś Zakopane, gdyby nie Ci czterej mężowie, z tych kart na nas patrzący, trudno odgadnąć.

Główna i niepodzielna zasługa rozwoju Zakopanego i przeobrażenia z biednej górskiej wioski w największe uzdrowisko Polski, do nich należy.

Gdyby nie wojna i przez nią spowodowana w ciągłości życia nie tylko Zakopanego, ale i całego świata, luka, ciągłość dziejów i życia, podtrzymywałaby tradycją pamięć o tem, co minęło, a więc i o tem, czem byli w Zakopanem.

Starsza generacja, ta jeszcze swym wiekiem, współżyciem i współpracą bliższa tych trzech, wymiera powoli a w każdym razie schodzi z życia, w cień zacisza domowego, gdzie własnemi wspomnieniami żyjąc, niezdolna staje już się do podtrzymywania tradycji — młodsza generacja, ta która swem dzieciństwem w te dzieje wrasta, dzięki powojennym warunkom, a i samej wojnie, rozproszona po rozległych ziemiach ojczystych, względnie zmianą życia i przejściami wojennemi wytrącona z zwykłej kolei życia, zachowując pamięć o przeszłości, luki spowodowanej wojną nie ma sił wypełnić i przez to, najmłodsza generacja zaczyna tracić łączność „między dawnemi a nowemi laty“ — a na mogiłę i pamięć ludzi przeszłości zasuwać się zaczyna coraz głębszy cień zapomnienia...

Słowa te odnoszą się głównie do tych, co rok rocznie w miesiącach letnich lub zimowych odwiedzają Zakopane, bo nie śmiem nawet przypuszczać, aby ktokolwiek ze stałych mieszkańców Zakopanego nie wiedział jeszcze i nie znał dziejów własnego kraju.

W imię więc tej tradycji, na kartach nowo powstającego pisma, choć parę słów ich pamięci poświęcić pragnę.

Ksiądz Stolarczyk, syn ludu, urodzony w Wysokiej pod Jordanowem w roku 1816 — obejmuje probostwo w Zakopanem.

Inaczej to Zakopane przed ośmdziesięciu laty wyglądało. Parę, czy — kilkanaście lub kilkadziesiąt skromnych osiedli, karczma i nowo postawiony kościółek — to wszystko — a wokół lasy, hale i znów lasy, lasy bez końca i kresu... a w tych osiedlach, wśród tych puszcz lud półdziki, nieuświadomiony — lud w pierwotnych zwyczajach i w takiejże wierze żyjący.

W takie środowisko przybył młody proboszcz — ale, że zdrowie miał niespożyte, siłę niedźwiedzią i hart ducha człowieka nieulękłego, pokonał trudności — lud, dzikość, narowy i stare przesądy opanował i zwalczył, kładąc przez to podwaliny pod przyszłe kulturalne Zakopane.

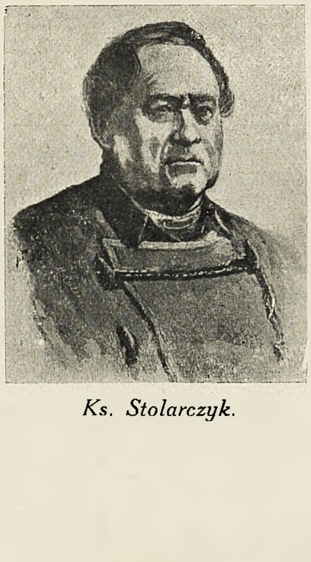
Szczupłość miejsca nie pozwala mi na szczegółowe skreślenie dziejów tego niepospolitego człowieka — faktem jest jednak, że jako pierwszy proboszcz zakopiański, rozpoczyna swą postacią nową kartę w dziejach Zakopanego.

Zamiłowany i zapalony taternik schodził całe Tatry. Niema w Tatrach szczytu, któregoby nie zwiedził; pierwszy z Polaków wchodzi na Gerlach; zapalony taternik, zapałem tym porywa górali, a później przybywa z roku na rok, coraz liczniej łaknącą wypoczynku wśród cudnej przyrody, inteligencja polskiego społeczeństwa.

Gdy wiek i trapiąca go słabość — reumatyzm — nie pozwalają mu na szczytowe wycieczki, idzie w towarzystwie swych przyjaciół w hale, skąd rozmiłowanym wzrokiem pogląda w słońcem lub księżycem oświetlone turnie i szczyty.

Jeden z założycieli i długoletni Członek Pol. Tow. Tatrzańskiego, do ostatnich chwil życia, nie ustaje w pracy, skupiając około swej postaci w latach siedmdziesiątych i ośmdziesiątych ubiegłego stulecia, życie sezonowe Zakopanego.

Po blisko pół wiekowem trwaniu na stanowisku proboszcza zakopiańskiego, zmarł żałowany przez wszystkich, 6 lipca 1893 r. Z księdzem Stolarczykiem łączy się bezpośrednio drugie nazwisko — jeszcze bardziej promienne i kochane, nazwisko Dr. Tytusa Chałubińskiego.



Ks. Stolarczyk.

Kto był Chałubiński?...

Lekarz, przyrodnik, taternik, a przedewszystkiem człowiek — człowiek w najszlachetniejszem znaczeniu tego miana. Urodzony w 1820 r., uczestnik powstania węgiersk. 1848 i polsk. 1863 roku — zobaczył Tatry po raz pierwszy w 1852,

w drodze powrotnej z Węgier. Po raz drugi zjeżdża do Zakopanego w 1852, a poraz trzeci 1873 i odtąd stale rok rocznie zjeżdża na miesiące letnie, aż po rok 1889, w którym nieubłagana śmierć zabiera go z pośród grona wiernych przyjaciół.



T. Chałubiński.

Czem był ten człowiek w życiu Tatr i Zakopanego, tego w paru słowach spisać niepodobna, a że wyrastał nad poziom nie tylko zwykłych ludzi, ale i nieprzeciętnych taterników, świadczy miano, jakiem go ludność ochrzciła, miano: Króla Tatr.

I rzeczywiście, każdy jego przyjazd do Zakopanego bywał uroczystem i niezwykłem świętem. Ludność witała go jak rzeczywistego „króla Tatr“, jak jakiegoś udzielnego księcia — tłumnem wyleganiem na drogę, bramami triumfalnemi, banderjami konnemi. Musiało więc coś w postaci i zachowaniu „pana profesora“ i „pana wielmożnego“ tkwić z tego podbijającego tłumy majestatu — a tem „coś“ były zalety i przymioty duszy i serca.



Sabała.

Jego sposób urządzania wycieczek w Tatry, przy licznym udziale przewodników, orkiestry, spędzane noce pod namiotem, przy rozpalonej watrze i tańcach, przy wesołych i fantastycznych opowiadaniach Sabały, urokiem swym, czarem i poezją oddziaływały na całe otoczenie.

Chałubiński pierwszy nauczył tak ludność tubylczą, jak i coraz liczniej napływającą ludność stołeczną i całej Polski zżywać się z Tatrami — on był poza ks. Stolarczykiem tym łącznikiem między półdzikim ludem skalnego Podhala, a ludnością miejską. On przez skupienie około swej jasnej postaci całego szeregu osób wybitnych, jak Baranowski, Dembowski, Modrzejewska, Paderewski, Sienkiewicz, Witkiewicz z jednej strony, a z drugiej Sabały, Wojciecha Roja, Ślimaka, Sieczki i innych — stworzył podwaliny pod przyszłe zgodne i harmonijne współżycie ludu z „gośćmi“, które niezamącone trwało długo, aż do wybuchu wojny, która te stosunki nieco nadwątliła, i ton ich zmieniła doszczętnie.

Przez częste obcowanie z ludem a przedewszystkiem z Sabałą, poznał jego duszę do głębi, a znalazłszy w tej duszy drzemiące ogniki poezji i sztuki, rozdmuchał je, wpływem swym i dobrocią rozbudzając szlachetne na dnie serca góralskiego drzemiące instynkta.

Wielce pomocnym mu w tej pracy był, bodaj czy nie najszlachetniejszy wzór i typ syna gór — legendowy dziś Sabała.

Jan Kucpłowski-Sabała, urodzony w 1809 r., pomny swą młodością bujnych i pełnych uroku lat tatrzańskiego zbójnictwa, zapewne i sam w niem udział brać musiał, czego drobne ślady znajdujemy w jego opowiadaniach — okres ten jednak, jak się zdaje, trwał bardzo krótko — zupełnie pewne i nieukrywane przez Sabałę jest uprawiane przez niego na wielką skalę kłusownictwo, któremu z zapałem się oddawał — lecz tu właśnie zaznacza się po raz pierwszy nie przeciętny charakter tego człowieka. Sabale nie imponowało samo zdobywanie zwierzyny i nie ona była głównym celem jego wycieczek w góry: jemu imponowała walka z trudnościami i niezbezpieczeństwo, to też jego strzały kierowane bywały jedynie w serca niedźwiedzi, dzików, kozic, wilków itp. groźnej zwierzyny. Za zwierzyną tą schodził całe Tatry, wspinał się na najwyższe turnie, chodził pomiędzy groźnych i niebezpiecznych Liptaków, dla których, dzięki swej sile, zręczności i odwadze, był postrachem. To życie wśród gór, ta walka z niebezpieczeństwem, wieczne włóczęgostwo podchmurne, współżycie z przyrodą, wycisnęły niezatarte piętno na jego duszy, podnieciło fantazję i stworzyło z tego półdzikiego syna gór: poetę o homerowskim pokroju.

Jego dowcipne, a przytem choć w prostą, ale wielce artystyczną formę ujęte opowiadanie, dochowane i przekazane społeczeństwu w formie drukowanego słowa przez Dembowskiego, Sienkiewicza, Stopkę, Witkiewicza, dają dostateczną miarę o głębi ducha, o fantanzji szczerego poczucia artystycznego smaku Sabały.

Uczestnik wszystkich górskich włóczęg Chałubińskiego, Stolarczyka i towarzyszy — odgrywał w nich rolę duchowego przewodnika i gazdy — był tym łącznikiem między swoimi a przybyszami, a równocześnie pomostem między dawnemi i nowemi laty. Około jego postaci gromadziły się nie tylko szeregi przybywających w Tatry gości, ale i szeregi najmłodszego pokolenia góralskiego. Zapatrzeni w jego charakterystyczną postać, zachęceni jego przykładem, wzrastali i szli w życie młodzi górale - inteligenci, Brzega, Orkan, Stopka, Sobczak, Suleja i inni. Gdy w roku 1894 zamknął na wieki przymglone starością oczy Sabała, to na czele tego ruchu stanęło całe młodsze pokolenie z Stanisławem Witkiewiczem na czele. Te jasne postacie taternictwa polskiego, niechaj będą zachętą i przykładem młodemu, wzrastającemu pokoleniu na przyszłość.

K. K.



St. Witkiewicz.

KRZEPTOWSKI



Od dworca do Zakopanego.

WŚRÓD GÓR I CHMUR.

Minęły już chwile gdy Zakopane, lud góralski jak wogóle Tatry i całe Podhale, należały do „mody“. Zajmowano się wtedy nader gorąco zakopiańszczyzną, pisano szeroko i długo, ba nietylko prozą, ale nawet i wierszem.

Dziś zgoła inaczej rzecz ująć należy, dziś lud góralski, to już uświadomiona w zdobyciu grosza czeladka, Zakopane jako takie sili się na najwyższe ceny, a Tatry, ba one jedne, może zostały te same.

Niemniej już w swoim czasie, bo 1850 roku, Dr. E. Janota pisze:

„Podhalanin ma swoje zalety, ale i wady; nie zasługuje zatem na przesadzone pochwały. Jest on ruchliwy, zwinny, zapobiegliwy, trzeźwy, praktyki religijne ściśle zachowuje, jest ciekawy, rozmowny, dla nauki ochoczy, i wogóle lepiej usposobiony, aniżeli wieśniacy z Nadwiśla; z drugiej strony podejrzliwy i niedowierzający, nie lubi obcych, przybywających z dołu, w domu nie przestrzega ochędóstwa; chciwy, nie zna miary w żądaniach swoich, ale to za wpływem i naprawą innych. Słabym, przybyłym do leczenia się, bez najmniejszego skrupułu w szałasach do żętycy dolewają wody, to samo dzieje się z nabiałem i masłem. Również przewodnicy, także nauczeni, pięć i dziesięć razy więcej żądają, aniżeliby przez ten czas byli w stanie zarobić“.

Jak z powyższego widać, do dziś pod tym względem niewiele się zmieniło, o tyle chyba, że każdy góral jest nieskończenie bardziej „ucywilizowany“; że nad pewnemi jego nadmiernemi apetytami czuwa T. K. U. i władze, i że poza żętycą, również cieszy się uznaniem Baczewski.

A jednak mimo wszystkie „cywilizacyjne“ zdobycze, zwożone tak skrzętnie, lud góralski ma swoje cudnie piękne walory, tak jak ma je cała uroku pełna ziemia podhalańska. Trzeba lud ten widzieć w święto w kościele, w dnie powszednie przy pracy, przy zabawie wreszcie, by ująć tę słoneczną beztroskliwość, połączoną jednak z przedziwną zaciętością gdy się na coś uweźmie, by ogarnąć zdumionem okiem tę ogromną, przenikliwą inteligencję, pozwalającą w lot niemal domyślać się słów, które dopiero masz wypowiedzieć, lub też ocenić ich szczerość i ukrytą tendencję. A humor i dowcip górala!? A ciętość odpowiedzi i przemyślny spryt w zdobywaniu okazji do zarobku.

Już w 1853 r. nieznany feljetonista „Czasu“ pisze między innemi:

„Na jednej z hal zastaliśmy krówki, jak gałeczki, szczypiące niską trawę, i pastuszków grających na piszczałkach. Pytam takiego góralika: „A daleko tu do źródła? Pokaż nam którędy iść?“ „A zapłacicie?“ odpowiedział, nie robiąc najmniejszego poruszenia, które widać już otaksował z góry. „Zapewne, że ci zapłacę“... odpowiedziałem. On też żwawo wyskoczył, nietylko sam, ale i z towarzyszem i poprowadziwszy nas kilkadziesiąt kroków, pokazał źródło, które bylibyśmy i sami bez niego znaleźli. Roześmiałem się w duchu, ale i rozgniewałem na tę interesowność. Chytrość ich bowiem względem nieznających miejscowości podróżnych, przechodzi wszelkie pojęcie“.

To było w 1853 roku, a dziś...?

Wszystkie jednak ujemne strony górali, opłaca



przyroda, zwłaszcza jeżeli się weźmie pod uwagę „zalety“ dzisiejszej powojennej publiczności przyjezdnej, która robi co może, by demoralizować ten lud, a już pod względem przebiegłej chytrości nouworiszów-paskarzy rywalizować może śmiało z najsprytniejszym juhasem.

Nie żałujmy tych ostatnich i nie potępiajmy pierwszych. Przecież i tak wszystko przeszczodrze, po królewsku wynagradza jedno spojrzenie na zaczarowany, przepiękny świat gór.

Weźmy samo „Zakopane“ przeceniane i niedoceniane najzupełniej

Niedoceniane nietylko przez miejscową ludność, ale i przyjezdnych, a równocześnie przeceniane przez wszystkich!

Paradoks powiecie?! Nie, tylko żeby Zakopane poznać, trzeba je ukochać, ukochać aż do deszczu dzwoniącego całemi dniami nieustannym szmerem. Trzeba dać coś z siebie, by otrzymać w zamian ten upojny kwiat paproci wzajemnego poznania.

Przykładem takiego ukochania Tatr służyć może książka M. Steczkowskiej, wydana w Krakowie w 1858 r.

Pisze tam autorka między innemi o Zakopanem:

„Siedm tygodni przemieszkałam w tej górskiej osadzie, tak malowniczo, tak rozkosznie położonej, że we śnie tylko ujrzymy kiedy coś równie pięknego. Tatry otwarły mi znowu swoje skarby, nowe widoki, nowe cuda. Z jakąż radością wi-



działam, że te wspaniałe góry nasze coraz więcej są zwiedzane, i że każdy odjeżdża zachwycony ich pięknością unosząc z sobą najmilsze wrażenia i postanowienia powrotu na rok przyszły! Ale jakkolwiek liczba osób zwiedzających Tatry rok rocznie się zwiększa, to jest ona przecież bardzo szczupła w porównaniu do liczby zwiedzających inne góry europejskie, jak np. Alpy“.

A dalej opisuje autorka „Giewont“, wzięty obecnie za tytuł Waszego pisma:

„Trudno znaleźć okolicę łączącą wspaniałość z nowym wdziękiem w równie harmonijny, czarujący obraz, jaki nam przedstawia dolina Zakopanego. Zachodnia część łańcucha Tatrów stanowi południową ścianę tej doliny. Tuż nad nią sterczy Giewont, ogromna, skalista, zupełnie naga góra, z całego pasma najwięcej na północ wysunięta i kształtem swoim różniąca się znacznie od sąsiednich wierzchołków. Giewont od strony Zakopanego wznosi się niemal wszędzie zupełnie prostopadle, jakby wspaniała, skalista ściana wa-





Wesele.

pienna. Sam wierzch jego tworzy długi i tak wąski grzbiet, iż go do ostrza przyrównać można, a przejść po nim niepodobna. Od zachodu wznosi się najwyższy szczyt Giewontu, dostępny jedynie od południa, a od wspomnianego grzbietu głęboką, łukowatą szczerbą oddzielony. Giewont jest prawdziwym królem tej okolicy; z całego łańcucha najbardziej naprzód wysunięty, wydaje się najwyższym, najwspanialszym ze wszystkich turni. Mieszkańcy Zakopanego nazywają go ojcem, mają dla niego jakieś szczególne poważanie. Szczerbina jego służy im za zegar: gdy słońce nad nią się wzniesie, jest właśnie południe".

Wierszem znów ujął Giewont Stęczyński, opisując Zakopane i szczyty górskie w okręgu doliny:

A nad nimi panuje granitowa ściana,
Z drogi po lewej ręce, przyjemnie widziana,
Ogromnego Giewontu, co jak starzec siwy,
Bogaty w rozmaite właściwe swe dziwy;
Którego Gubałówka mchem zielonym stroi,
A na niej, u stóp jego, mnóstwo roślin stoi
I kwiatów rozmaitych od górali znanych,
Troskliwie wpośród lata na korzyść zbieranych.
Giewont siwy, odarty z majowej powłoki,
Zdaje się, iż swem czołem przedziera obłoki,
Jest wskazówką niemylną słoty i pogody.

Drugim szczytem, który cieszy się, acz mniejszą, popularnością w Zakopanem, jest Nosal. I jemu poświęca Stęczyński w swym poemacie specjalny ustęp:

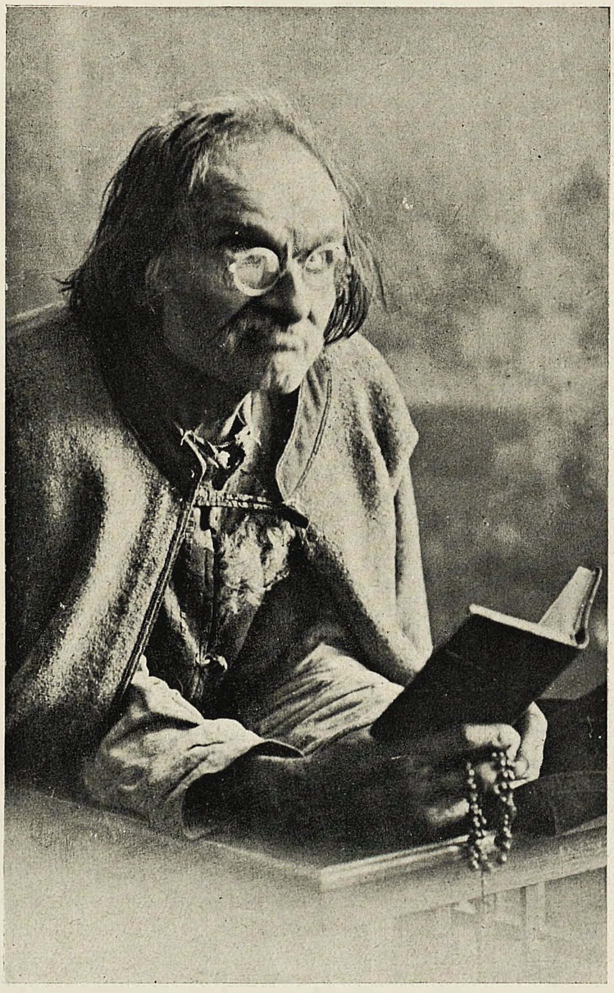
A Nosal z lewej strony wystając ponuro,
Na dolinę pogodną pluje czasem chmurą,
Nie mogąc znieść, że wiele drzew przy nim wycięto,
A miejsce u stóp jego domami zajęto,
Z których dym na powietrzu rozciągnionem skrzydłem
Drażni go bezustannie niemiłem kadzidłem;
Więc z wirchem Jaworzyny, Giewontem, Kacprową
Strążyską, Kalatówką, nawet Goryczkową,
Usiłuje koniecznie, choć to myśl daleka,
Zniszczyć dzieło pomysłu i wygnać człowieka!
Tu masa opok, zamkiem zakopiańskim zwana
Tak szczególnie i dziwnie z sobą powiązana,
Że z pewnych miejsc odległych łudząc twoje oko,
Zdaje się niezdobycie panować wysoko.

Ale wróćmy do autorki książki o Zakopanem M. Steczkowskiej, o której Hoesick w „Tatrach i Zakopanem" zaznacza, że, bodaj czy nie dokładniej od Witkiewicza, a w każdym razie równie szczegółowo i dokładnie, zarówno strój górali, jak zwyczaje i życie ujmuje.



O góralkach tak pisze:

„Kobiety tutejsze w ogólności mniej są przystojne jak mężczyźni: zdarzają się jednak pomiędzy niemi prawdziwe i doskonałe piękności. Rysy ich twarzy zazwyczaj drobne, oczy najczęściej niebieskie, czasem czarne, pełne ognia i życia, nad niemi wąziutka brew pięknym zatoczona łukiem. Jedna w drugą mają zęby prześliczne, białe i równe jak perły. Cera ich twarzy zazwyczaj blada, lekkim tylko okraszona rumieńcem, wzrost mierny, kibić smukła i kształtna, noga i ręka małe. Ubiór ich składa spódnica bardzo fałdzista, dłuższa niż u naszych wieśniaczek, bądź to z perkalu w jasne kwiaty, bądź z muślinu lub kolorowej wełnianej materji. Zapaska muślinowa biała, haftowana ko-





lorową bawełną, czasem czarna jedwabna obszywana czerwonemi lub zielonemi wstążkami. Gorset zgrabny i wcięty, nieraz z bardzo bogatej, złotem i srebrem haftowanej materji, z przodu zapinany na guziczki. Koszula biała i cienka z bardzo szerokiemi rękawami, czerwoną wstążeczką związaną pod szyją, ozdobiona mnóstwem korali lub paciorków, od których spada na piersi krzyżyk lub medalik, zwany o n a k w a. Włosy z przodu gładko omuskane, dziewczęta splatają w jeden warkocz, bogato związany wstęgą; mężatki plotą dwa warkocze, spadające na ramiona. Jak jedne tak i drugie okrywają głowę kolorową chustką wełnianą lub jedwabną, którą związują pod brodą, a koniec spuszczają na plecy. Obuwiem ich są trzewiki, lub zgrabne żółte buciki na wysokich korkach. Muślinowy rańtuch, zarzucony na ramiona, lub piękna wełniana chustka w żywych kolorach dopełnia świątecznego stroju góralki. Na codzień noszą zazwyczaj szafirowe spódnice, zapaski zaś najczęściej tego samego koloru lub zupełnie czarne zarzucają na plecy. Od ciemnej spódniczki i białej, choć grubej koszuli, pięknie odbija czerwona bawełniana chusteczka, którą osłaniają głowę.

„Kobiety tutejsze nierównie są pracowitsze, niż mężczyźni; prócz domowego gospodarstwa, w którem, jak już wspomniałam, biorą na siebie często zatrudnienia męskie: każda niemal nietylko przędzie, ale tka płótno na domową potrzebę, a często i na sprzedaż. Nietylko koszule nieraz bardzo cienkie i białe, ale spódnice i płócienka na pościel są ich własnej roboty. Prawie każda umie szyć i prócz gorsetów, wymagających już krawieckiej umiejętności, sama szyje cały swój ubiór, w czem wielką mają wyższość nad naszemi wieśniaczkami, z których część większa nie umie igły wziąć do ręki. Ubiór ich zaleca się wielką czystością; szkoda tylko, że tej czystości nie utrzymują tak starannie w domu, szczególniej w naczyniu. Stroje lubią niezmiernie; skarby świata oddałyby za parę sznurków p a c i e r z y (paciorków) lub kawałek wstążki. Nietylko młode, ale i starsze są bardzo żywe i wesołe, najmniejszy żart, jedno nic nie znaczące słówko do serdecznego pobudza je śmiechu. Z początku raziły mię bardzo te ciągłe wybuchy śmiechu; później jednak, gdy się przekonałam jak niewinne są jego powody, oswoiłam się z nim zupełnie. Charakter góralek jest wogóle łagodny, często znaleźć można u nich uczucia tak delikatne i tkliwe, że zawstydzićby mogły niejedną z naszych dam salonowych, roztkliwiających się z wyegzaltowaną czułością nad urojonemi nieszczęściami, a na istotne cierpienia bliźnich suchem spoglądających okiem“.

Niestety, tak pięknie opisany strój zanika coraz bardziej, tak samo i górale coraz częściej ubierają się po miejsku, lub łącząc jedno z drugiem wytwarzają cudaczną łataninę, np. ubranie miejskie, na to serdak, a całość wieńczy sztywny czarny melonik! Jak strój zanika też wiele charakterystycznych zwyczajów, czas niepowrotnie zabiera i piosnkę i tańce góralskie, a podana przez nas fotografja kobziarza jest prawdziwym tego dokumentem, jest to bowiem ostatni kobziarz w Zakopanem.

Dziś Zakopane stoi w przededniu jutra — jakie ono będzie? Bóg to raczy wiedzieć, w każdym razie za lat sto, tak samo Giewont patrzeć będzie na mrowie ludzkie, tak samo Tatry ku niebu dźwigać będą śniegiem osute sędziwe szczyty, i tak samo ciągnąć tu będą niezliczone rzesze, po wieczny czar, po wolne piersi tchnienie, potoków szum i ducha odpocznienie.

A. Strzelecki.



Ostatni kobziarz. MRÓZ.



Z letniej wystawy sztuki.

TOW. „SZTUKA PODHALAŃSKA“ W ZAKOPANEM.

Tow. Sztuka podhalańska założone zostało 25 marca 1909 r. w Zakopanem przez grono miłośników Podhala, ludzi wybitnych, artystów-plastyków i literatów.

Celem Towarzystwa Szt. podh. jest: rozwój sztuki na Podhalu we wszystkich jej przejawach i wprowadzanie odpowiednich jej gałęzi przemysłu artystycznego, oraz roztaczanie opieki nad zabytkami sztuki na Podhalu i utrzymanie stylowości Zakopanego i okolicy. Środkami do osiągnięcia tych celów: — urządzanie wystaw, organizowanie pracowni i studjów artystycznych, rozpowszechnianie zadań Tow. Szt. podh. słowem i drukiem, wreszcie ułatwianie zbytu wyrobów art., utrzymywanie zbiorów i bibljoteki.

Towarzystwo to, mające charakter instytucji czysto artystycznej, a nie posiadające żadnych rządowych funduszów, zmuszone było oprzeć swój byt materjalny na ofiarności w pierwszej linji swych członków, a następnie społeczeństwa.

Skromna ilość członków, bo w chwili założenia Tow. wynosząca 41, a w najlepszych czasach około 100 i drobne wkładki członkowskie, zmuszały często Tow. do wegetacji. Inne fundusze, jak procenta od sprzedaży dzieł sztuki, dochody z wystaw itp. — nie stanowiły nigdy poważnej sumy. Subwencje rządowe, z okazji rozpisywanych konkursów, nie wystarczyły bodaj na pokrycie należyte tych konkursów. Jednem słowem, Tow. egzystujące 15 lat, ani razu nie mogło rozwinąć swej działalności należycie, natrafiając na trudności materjalne.



J. Jasiński: Św. Franciszek z Assyżu.

Zdawałoby się, że wobec tego dorobek owych 15-tu lat istnienia Tow. Szt. podh. jest nikły.

Bliższe rozpatrzenie tej sprawy zmienia jednak to mniemanie i przykuwa uwagę do iście syzyfowych wysiłków ludzi stojących na czele Tow. w kierunku zrealizowania postawionych celów, a sam owoc tej pracy jest zdumiewający wobec skromnych środków finansowych jakiemi rozporządzali. Cały szereg ogłaszanych konkursów płatnych, ilość i poziom wystaw urządzanych corocznie, a często kilkakrotnie w ciągu roku, kupno pierwszego warsztatu kilimkarskiego, założenie „Kilimu“, nieustająca inicjatywa w kierunku stworzenia przemysłu art., opieka nad art. przemysłem drzewnym i szkołą zawodową, ba, nawet pomoce finansowe, jak przystąpienie w charakterze członka-założyciela do Muzeum Im. Dr. Chałubińskiego, cegiełka dla tegoż Muzeum, zakup obrazów i innych dzieł sztuki, zapomogi, loterje, itd. itd. — wszystko to mówi samo za siebie.

Jeżeli dodamy szereg odczytów, ekspertyz i to, że kilkadziesiąt prac rozpoczętych musiało Tow. poniechać ze względów na stan finansowy i brak poparcia ze strony społeczeństwa, — to łatwo sobie uprzytomnić ile żywotności i energji cechowało te 15 lat istnienia Tow. Szt. podh.

Założyciele i pierwszy prezes Tow. w osobie zasłużonego dla Podhala Dra J. G. Pawlikowskiego, mogą być za-



J. Kotarbiński: Ulisia.



Terlecki: Polanka.

dowoleni, że myśl Ich pielęgnowana latami nie upadła — przeciwnie, choć warunki nie sprzyjały, po części została zrealizowaną.

Czas wojny światowej Tow. przetrwało pracując z małą przerwą wraz z najlepszą cząstką społeczeństwa, a dziś licząc na jaśniejsze dni, z nową siłą i ufnością zabiera się do czynu. Czas najwyższy by się skończyły ciężkie chwile, jakie przechodziła Sztuka Polska za czasów niewoli i wojny, a choć dziś jeszcze niema większego zainteresowania ze strony społeczeństwa i rządu sprawami Sztuki, — to jednak ufam, że i na to kolej przyjdzie.

Zakopane, ta czarowna kraina i całe Podhale, tak umiłowane przez Polaków, potrzebują nieustannej pieczy z powodu swych bogactw sztuki ludowej — w tej potrzebie kryje się moc i siła wytrwania Tow. Szt. podh.



Rykała: Główka.

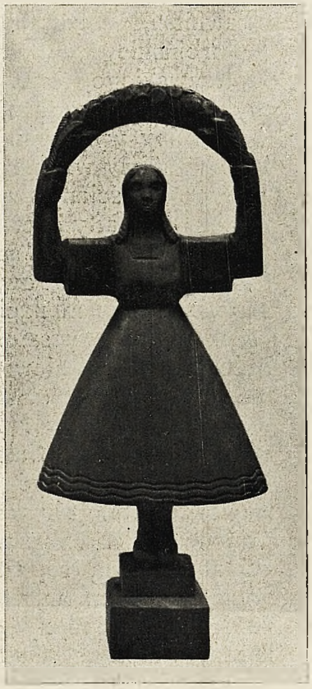
Jeżeli się mówi o sztuce ludowej, to mimowoli najpierw przychodzi na myśl Podhale, gdzie charakter tej sztuki silniej występuje niż w innych dzielnicach Rzeczypospolitej. Obecnie skutkiem udostępnienia Tatr przez zniesienie granicy i ożywienie turystyki, sztuka ta narażoną jest na zupełną zatratę z wielką i bezpowrotną szkodą dla całokształtu sztuki polskiej. Tow. Szt. podh., postawione na straży, walczy o swe prawa, często zupełnie bezsilnie i bez poparcia. Byłoby więc wskazanem, by odpowiednie czynniki rządowe zainteresowały się losami Tow. i dały mu wydatną pomoc finansową, a nie wątpię, że rąk i głów do pracy nie zabraknie, cele bowiem Towarzystwa w niczem nie ustępują pod względem wartości innym subsydjowanym instytucjom społecznym. Jeśli dodać jeszcze, że plany regulacji Zakopanego zaczynają się realizować, a sprawa „Parku narodowego“ w Tatrach jest na porządku dziennym, to brak, lub niedomagania instytucji takiej, jak Towarzystwo Szt. podh. jest nie do pomyślenia.



Cz. Skawiński: Moja teściowa.



A. Kamocki: Lato.



J. Jasiński: Góralka.

Setki i tysiące ludzi z całej Polski, odwiedzających Zakopane, powinno zwrócić swą uwagę na charakter Tow. Szt. podh. i pospieszyć z pomocą, zapisując się na członków. Minimalna wkładka (dwa złote rocznie) pomnożona przez ilość członków, może być już pomocą dla Towarzystwa.

W chwili obecnej Tow. Szt. podh. otworzyło letnią wystawę sekcji plastyków tegoż Tow. Wystawę reprezentują miejscowi plastycy, których tu jest liczna kolonja, zaproszeni goście związani z Podhalem i miejscowy przemysł artystyczny, niestety bardzo słabo reprezentowany. Na czoło wybija się pejsaż podhalański, malowany przez Kamockiego, Wrzesińskiego, Gałka, Rykałę, Kłosowskiego, Terleckiego, Malickiego, Barabasza, Białynieckiego i w. innych. Portrety wystawili Cooper,



Stanisław Gałek: Zima.

Skawiński, Olszewski. Kompozycje Daczyńskiego, Kotarbińskiego, Wałacha i rewolucyjne pomysły Malczewskiego, oraz szereg innych obrazów zamykają malarstwo.

Rzeźby wystawili Jasiński, Paszkowski, Rykała i inni. Kilimy własnej koncepcji p. Łachowej barwnie zdobią ściany wystawy. Malowidła na szkle Gąsienicy, hafty i ceramika dopełniają całokształtu wystawy w ślicznej sali Bazaru Polskiego.

W projekcie Tow. jest rozszerzenie ram wystaw, z większym naciskiem na obsyłanie wystawy przez miejscową sztukę ludową, co do tej pory było częstokroć niewykonalne, a także przez urządzanie Salonów, letniego i zimowego, w których udział wziąłby ogół plastyków polskich. Salony te mogłyby cieszyć się powodzeniem, jeśli wziąć pod uwagę coraz to więcej rozwijającą się turystykę w Zakopanem, a także i to, że jedyny doroczny Salon w Warszawie nie jest w stanie pomieścić całokształtu sztuk plastycznych. „Druga stolica Polski“, jak ktoś żartobliwie nazwał Zakopane, z powodzeniem mogłaby odciążyć Salon Warszawski, a charakter Zakopanego, jako „Parku narodowego“, nadawałby się na miejsce dla tego rodzaju wystaw. Jednak o zrealizowaniu tego trudno dziś mówić, wobec ciężkich czasów ekonomicznych i finansowych. Pisząc o Tow. Szt. podh. nie mogę powstrzymać się od wyrażenia słów uznania dla skarbnika tegoż Tow. w osobie pana Rasińskiego, który przez 15 lat, to znaczy przez cały okres istnienia Twa, piastował tę godność, zyskując sobie uznanie współpracowników.

Czesław Skawiński.



Grupa artystów.

* * *

W połowie sezonu wystawę obrazów zmieniono niemal zupełnie, dając nowe prace. Świadczy to nader wymownie i korzystnie o energicznej działalności Tow. Szt. Podhal. Tym razem jednak nie było to wskazane, a raczej lepiej było może zapełnić wystawę nowo nadesłanemi obrazami, i nie usuwać zupełnie poprzednich.

Obecny wybór prac jest stanowczo słabszy i powiedziałbym niesharmonizowany. Najjaskrawiej odskakują prace p. Witkiewicza od całości. Bajeczne w kolorycie, poza tem są niezrozumiałe dla zwykłego śmiertelnika, a już tytuły poszczególnych obrazów do reszty oszałamiają widza nieprzygotowanego do takiej orgji barw. Ale oszałamianie to jeszcze nie sukces, a w ujęciu rysunku nie nowość i mimo całej oryginalności już — naśladownictwo. Na zachodzie ten rodzaj przyjął się już nawet plakatowo, i jako taki istotnie znalazł rację bytu, zatrzymuje i bawi oko, ale też tylko i tyle. Bardzo ciekawie zapowiada się p. Rafał Malczewski, jego „Trójka nad zielonym dołkiem“ (nie, p. Malczewski, tej przyjemności powtórzenia w druku tytułu obrazu „Giewont“ Wam nie zrobi). Otóż „Trójka nad zielonym dołkiem“ jest doskonała; nie pisząc sprawozdania z obecnej wystawy, muszę niejako poprzestać na kronikarskiem dopełnieniu świeżo nadesłanych prac, ale do twórczości p. Malczewskiego powrócę w następnym numerze, jest bowiem istotnie ciekawa i nader intensywnie poszukuje problemu rozwikłań rzeczy głębszych.

Dalej z nowych obrazów wyróżnia się b. dobrze Rekucki, który dał „Hafciarkę“ i „Ulicznika“, Stapiński „Kwitnące jabłonie“ i „Góralską wieś“, w doskonałem oświetleniu i perspektywie. Terlecki „Góralkę“ trochę bladą. Rykała wystawił parę drobnych prac, zwracają uwagę przedewszystkiem: „Przed halnym“, „Giewont“ i „Halny wiatr“. Malicki dał śliczny „Potok“, Kłosowski soczyste „Piwonje“, Daczyński sceny myśliwskie. Kilkanaście prac dał Wałach, jak zawsze miłych, swoistych; Szyszutowiczowa wystawiła autoportret, oraz portret Dra K.

Niezwykle interesujące są też malowidła na szkle p. Gąsienicy-Szostaka; taki „Taniec zbójników“ i „Kobziarz“ przy całym prymitywie ujęcia są żywe barwy.

Poza temi nowemi rzeczami, oko z przyjemnością wraca do pozostałych eksponatów, i z żalem szuka usuniętych. Wystawa w sezonie nie cieszyła się taką frekwencją, na jaką zasługiwała, ale to już jest winą Tow. Szt. podh., które może z całą dostojnością gardziło reklamą, chociaż to dziś jest konieczne, i to dla obu stron, jak w tym wypadku traciło na tem bowiem nie tylko Tow. Szt. ale i publiczność, nieraz nie wiedząca o tem, że Zakopane ma taką wystawę. — A szkoda!

CO BYŁO, CO BĘDZIE...

„Zakopane stało się czemś tak koniecznem w życiu naszego społeczeństwa, że wszystkie drogi, któremi ono płynie, krzyżują się na tym przesmyku. Z bliska i z daleka przychodzą tu ludzie, gnani najrozmaitszemi przyczynami. Gdziekolwiek wypadki rzucą Polaka, jakiemikolwiek środkami wydostanie się on z matni życia, napewno przyjedzie do Zakopanego. Z nad tundr Leny, z puszcz Parany, z Dalekiego Wschodu, czy Zachodu wracający do kraju wędrowiec przedewszystkiem zawadza o Zakopane. Jest ono miejscem, w którem poznaje się w ciągu kilku miesięcy więcej ludzi, niż gdzieindziej, w któremkolwiek z wielkich miast, w ciągu dziesiątków lat. Poznaje się ludzi wszystkich sfer, wszelkich uzdolnień, losów i niemasz w Polsce lepszego miejsca do obserwacji nad społeczeństwem, do poznania wszystkich jego składowych pierwiastków, do oceniania wartości materjału ludzkiego, do poznania będących w obiegu idei, uczuć i czynów.

„Wskutek tego powszechnego ciążenia ku Tatrom, Zakopane staje się czynnikiem społecznym pierwszorzędnego znaczenia, a świadomość tego faktu wywołuje dążność do zakładania tu najróżnorodniejszych ognisk umysłowego ruchu. Echa zatargów myślowych, odgłosy burz politycznych, walk społecznych, czynów jednostkowych i drgnień tłumów, wszystko to się załamuje w tem ruchliwem mrowiu ludzkiem, które na parę miesięcy zwala się pod Tatry".

Tak pisał przed dwudziestu laty ewangelista Tatr, Stanisław Witkiewicz, w arcydziele swojem „Na Przełęczy".

W nazwanej wówczas „letniej stolicy" u podnóża Tatr odbijało się istotnie wszystko, co polskie. Jeśli jednak Zakopane pretendowało do miana jednej ze stolic, nie mogło poprzestać na roli martwego zwierciadła. Musiało coś swojego życiu polskiemu dawać, musiało być jednym z czynników, tworzących cywilizację narodową. Inaczej byłoby jako bierny mikrokosmos polski, ciekawy przedmiot spostrzeżeń i badań publicystów, socjologów, czy artystów — i nic więcej.

Co mogło dawać narodowi dawne, przedwojenne Zakopane jako stolica, życia zbiorowego budzicielka i przodownica?

W naszem położeniu ówczesnem najważniejszem zadaniem narodowem było jednoczenie wszystkich sił społecznych, które niewola albo rozbijała gwałtem i przymusem, albo rozcieńczała podstępnie, nieraz wśród najlepszych pozorów, łudzących nieuleczalną snadź naiwność polską w sprawach publicznych. Odmienne warunki gospodarcze, polityczne, szkolne i t. d. w zaborach i na wychodźtwie psuły w niepokojącej mierze jednolitość naszego charakteru narodowego; wśród jednostek i zrzeszeń jednorodnych, a rozbieżnych pod względem duchowym, coraz trudniej było tworzyć i pomnożyć jedność moralną, która jest ostoją, istotą narodu.

Ten smutny wynik długiej niewoli obserwowaliśmy co roku w Zakopanem, gdzie dola i niedola polska objawiała się w całej nagości, narzucała się oczom, chcącym i umiejącym patrzeć. Tu jednak mogliśmy skutecznie przeciwdziałać podbojowi moralnemu ze strony państw i społeczeństw obcych, mając sposobność utwierdzania w sobie solidarności ogólno-narodowej, którą wrogowie chcieli zniszczyć.

Niejednemu z nas, kiedy utrudzoną nad dziejami Polski myślą nie mógł pojąć, jak naród niewolny, rozdarty, miał kiedyś świetną wielkość i potęgę, — dodawał wiary, że tak było, ból na widok grobów wawelskich, lub innych pomników przeszłości, potwierdzających słowa historji. Tak samo — nadzieję lepszej przyszłości, radosne poczucie rosnącej siły budziło bezpośrednie poznawania wszystkich ziem polskich i żywe obcowanie z rodakami innych dzielnic: Tak wielka Ojczyzna nasza, tylu nas Polaków!

Zbierająca się w zakopiańskim węźle dróg polskich cała inteligencja ówczesna uważała za obowiązek obywatelski zbliżać się i poznawać wzajemnie. Zadzierzgnięte tutaj stosunki towarzyskie i związki rodzinne były poważnym, bardziej ważnym, niż się wydawać mogło, łącznikiem międzydzielnicowym.

W takiej atmosferze uczuciowej Zakopane było naprawdę jedną ze stolic polskich, w której dusze nasze krzepiły się na dalszy trud życiowy, a przez chwilowe bodaj skupienie się w pracy dla celów ogólnych przygotowywały się do wspólnej, mimo



Morskie oko.



Czerwone wirchy.

kordony i rozdziały wewnętrzne, samowiedzy narodowej.

Staraliśmy się wszyscy, którzy tu bywaliśmy stale, czy przygodnie, aby Zakopane było coraz żywszem ogniskiem jedności narodowej, odbijającem się jasnym płomieniem od Tatr po wszystkie krańce Ojczyzny.

— — — — — — — — — — — —

W czasie wojny przepełnione miasteczko pod Tatrami było wiernem odbiciem wszystkiej pracy celowej i każdego bałamuctwa polskiego. Nie dając głosu rozdrażniającym wspomnieniom z tych lat, któremi zajmie się historja, stwierdzić jeno trzeba, że, mimo wielkiego rozbicia, Zakopane wróciło do Polski w sposób, przynoszący zaszczyt wszystkim jego mieszkańcom i ich organizacji patrjotycznej, której przewodził Stefan Żeromski.

Zmartwychwstałej Rzeczypospolitej przysłużyło się Zakopane, pomnażając samowiedzę narodową głośnem — z pobudki Kazimierza Przerwy-Tetmajera — przypomnieniem sprawy spisko-orawskiej, postawieniem tej kwestji granicznej na poziomie zagadnienia państwowego i międzynarodowego. Ta *causa non est finita:* wymaga dalszej walki i czujności...

Państwo polskie odrazu otoczyło Zakopane skuteczną opieką, stwarzając podstawy świetnego rozwoju materjalnego, którego początki znać już na każdym kroku.

Niepokoi jeno wielki upadek moralny Zakopian. Ludność tubylczą — „naród strasznie chytry — jak pisał w „Roztokach" Władysław Orkan — umiejący i djabła samego oszukać, jakby tego trza było koniecznie", wedle dalszych słów jego, „opanowało jakieś kupiectwo, zachłanność ludzka na pieniądze i zmaleli przez to..." bardzo. Powojenne obłąkanie chciwością zmieniło do cna giętki charakter także innych Zakopian, nieodpornych na ponęty łatwego zysku z rąk byle jakich.

Dopiero wzmożony kult przyrody górskiej przez odrodzone po pięćdziesięciu latach istnienia Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, które urządzało dawniejsze Zakopane imieniem Polski, a wpływ swój moralny na nie odzyskać powinno — może mu kiedyś przywrócić utracone znaczenie krynicy idealizmu i budzicielki życia wzniosłego — codzień, nie tylko w porze wywczasów.

Obecne Zakopane, zmarnowane jako uzdrowisko ciała i duszy polskiej przez niedbałość, która dostrzegła zapóźno przemianę spokojnej i dostojnej wsi podgórskiej w hałaśliwe i nijakie rojowisko



Dolina Kościeliska.



Schronisko nad Morskiem Okiem. *Fot. H. S.*

ludzkie, — nie ostanie się na dziś, jako „letnia stolica“ tych Polaków, co drzewiej uciekali w pustynię tatrzańską, bo jeno w „skalnej świątyni“ były jeszcze „swobody ołtarze“. Jak zapomniany poeta Franciszek Nowicki, patrzyli wówczas wszyscy, nawet dzielny juhas Orkana — smętnie na Tatry. Nad padołem beznadziejnej — zdawało się coraz częściej — niedoli „stały wysoko w ogniu, oblane skrzepłą krwią świecącą; była w nich skamieniała hardość i potęga i martwa duma konających przed światem olbrzymów“.

Po wyzwoleniu z ucisku świadoma część narodu, odpowiedzialna za los wskrzeszonego państwa, nie broniąc sercu świętego, wznoszącego ponad rzeczywistość tchnienia Tatr, zwraca uczucie swe i wolę ku żywym drogom potęgi, ku morzu...

Tutaj pozostanie z piękną tradycją nowoczesna „stacja turystyczna“ z bramą jedną od polskich nizin — drugą do szczytów podniebnych.

Józef Diehl.

PAJĘCZYNA.

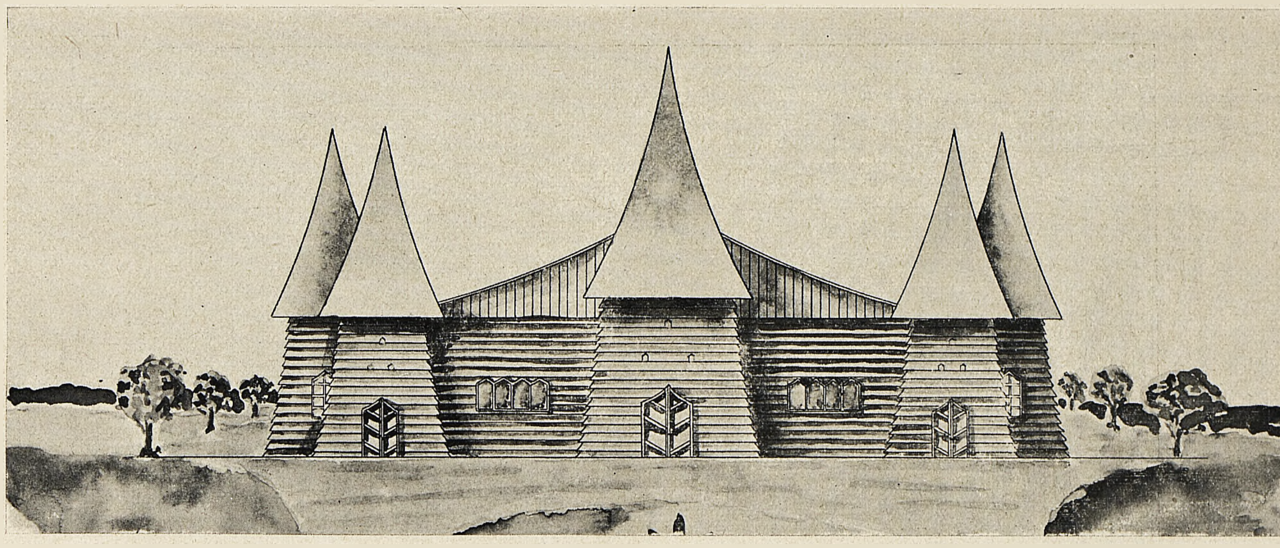
Przemawia do mnie spokój, poprzez ścian obicie:
Majorem brzmią akordy Adagia sonaty;
Kwitną w chińskich wazonach egzotyczne kwiaty—
I jakby w cudnej bajce, słodko płynie życie.

Drobny żwir przed werandą lekkie depcą stopy:
Nadeszła. Widzę teraz jasne jej warkocze
I słyszę pieśń śpiewaną dźwięcznem mezzo-voce
Zakochane w jesiennem słońcu heljotropy.

Dobrze mi jest. A jednak... wątła pajęczyna,
Którą kiedyś wysnuło wnętrze mego serca
Coraz w niem głębszą ranę subtelnie wywierca—
Ach, niby ostrzem stali w to serce się wrzyna!

Gdy życie tlić przestanie w ostatniej iskierce
I sączyć się nie będzie krew o smaku wina,
,,Skradła szczęście'', odgadną, nikła pajęczyna!
A potem zamierało — aż zagasło serce.

KAROL MALINOWSKI.



Widok planowanego teatru w Zakopanem. Elewacja frontowa.

O BUDOWĘ TEATRU W ZAKOPANEM.

Jedną z najdotkliwszych bolączek Zakopanego jest absolutny brak rozrywek. Nie można tu z europejskiego punktu widzenia brać pod uwagę kilku kawiarni z dwumetrowemi w obwodzie dancingami, na których tłoczą się zziajane parki by burzą spłoszone stado owiec. Nie można serjo traktować kina w „Sokole“, zastosowanego doskonale dla potrzeb ludności miejscowej i góralskiej dziatwy. A już mówić niema o czem, jeżeli wspomnieć o teatrze. Ani sala w Morskiem Oku ani w Czerwonym Krzyżu nie odpowiadają elementarnym choćby wymogom najgłębszej prowincji.

Projektowana obecnie przebudowa szopy, ofiarowanej na ten cel przez Klimatykę czy gminę, urąga wogóle wszelkiemu pojęciu, i o ile przebudowa dojdzie do skutku, bo fundusze na ten cel dopiero mozolnie mają być zebrane, to będzie to znów paljatywem, nie dającym absolutnego rozwiązania ani sprawy teatru w Zakopanem, ani wogóle poruszonego na wstępie najdotkliwszego braku miejsca rozrywek w Zakopanem.

Ani koncertów, ani teatru, ani kina, ani klubu, ani kasyna — nic i nic ziejące przeraźliwą pustką. I dziwią się przezacni obywatele perły Tatr, że wystarczy dwóch dni deszczu, by przyjezdni na łeb na szyję uciekali z doliny chmur, gór i pstrągów, dających się łapać, gotować i smażyć, podobno także tylko i jedynie z nudów.

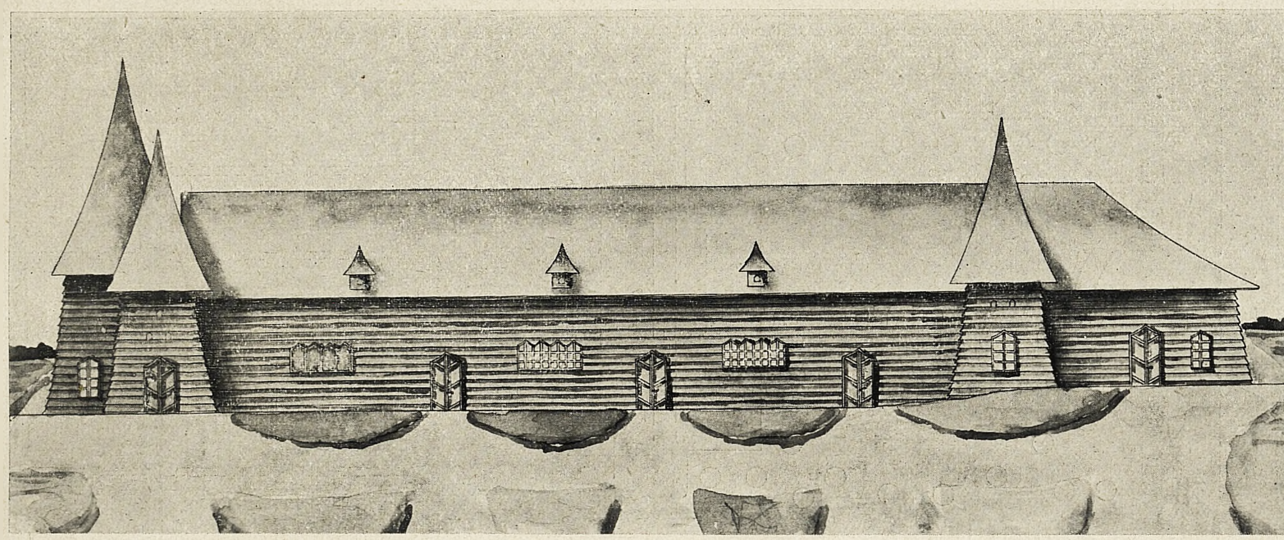
Wychodząc z założenia, że sezon w Zakopanem winien trwać bez przerwy rok cały, z wyjątkiem może dwóch miesięcy wiosennych, postawić należy na pierwszem i naczelnem miejscu zorganizowanie rozrywek i podjęcie budowy gmachu, któryześrodkowałby w sobie wszystko, co dzisiejsza kultura i choćby skromne wymagania przyjezdnym dać winny i, zaznaczmy to odrazu, co Zakopane dać może.

Jeszcze wiosną tego roku na ręce przewodniczącego p. dra Diehla złożone zostały plany gmachu teatru obejmującego, jak załączone plany wskazują, całokształt rozrywek, tak niezbędnych dla rozwoju Zakopanego.

Wobec równocześnie złożonego oświadczenia, że kapitał potrzebny do budowy gmachu jest już zadeklarowany, chodziło tylko o plac, by natychmiast przystąpić do pracy z obliczeniem ukończenia budowy na dzień 1 stycznia, czyli rozpoczęcie sezonu zimowego obecnie 1925 roku. Niestety, mimo niekłamanego zainteresowania, okazanego w tej sprawie przez p. dra Diehla jak również innych wybitniejszych obywateli, sprawa cała ugrzęzła na razie, gmina bowiem ani Klimatyka nie posiada odpowiedniego placu!

Gdy się zważy, że sumę potrzebną do budowy z inicjatywy redakcji „Giewontu“ oraz „Tygodnika Łódzkiego“ deklarowali przemysłowcy łódzcy, że budowa teatru w Zakopanem przez nich uznaną została z punktu widzenia przemysłowo-handlowego za pierwszorzędny interes, trudno istotnie pojąć, że czynniki interesowane nie przystąpiły do bezzwłocznego zakupienia odpowiedniego terenu dla jaknajszybszego wykorzystania tak dogodnej propozycji.

Niemniej, acz na razie należało odłożyć budowę teatru na rok przyszły, akcja trwa, deklarowane wkłady nie zostały cofnięte, i są wszelkie dane, że po nabyciu odpowiedniego placu i porozumienia z komisją regulacyjną, przystąpić można będzie bezzwłocznie do budowy. Celem jaknajszerszego zainteresowania tak miłośników sztuki jak i Zakopanego, podajemy tu plany teatru z pobieżnym opisem. Zainteresowani co do szczególnych danych, jak też chcący przystąpić w charakterze udziałowców do budowy gmachu teatru w Zakopanem, zechcą zwrócić się do redakcji „Giewontu“ lub też Zarządu Akcyjnego Banku Związkowego, Oddział w Zakopanem, pod adresem dyr. Leona Łacha.



Elewacja boczna.

Zaznaczyć należy na wstępie, że podane plany są niejako koncepcją literacką, niemniej w założeniu swem najzupełniej racjonalne, rzeczowe i obliczone, przy jak najniższym kosztorysie, na jak najdalej idące wykorzystanie budynku.

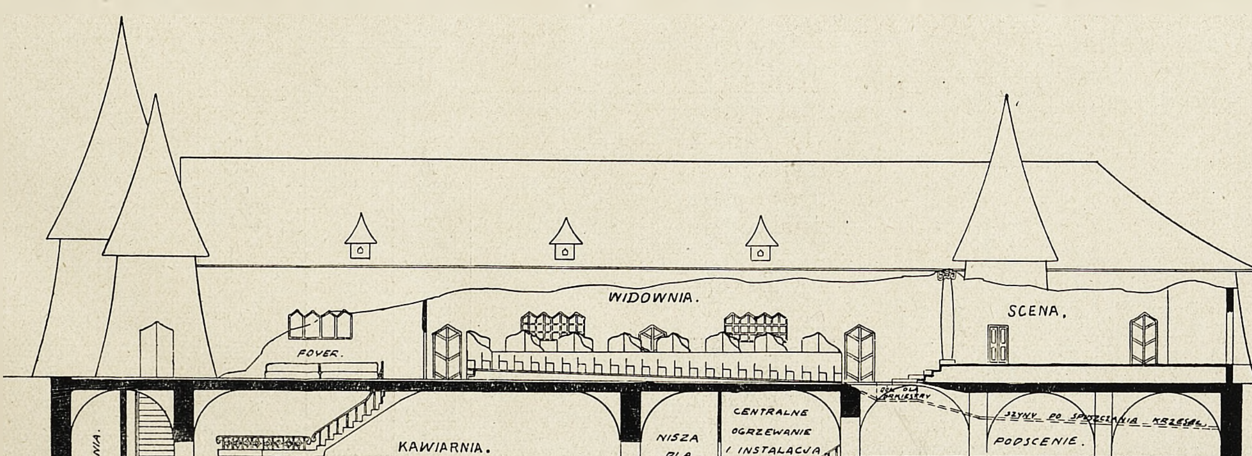
Przy zakreślonym planie, Zakopane zyskałoby gmach mieszczący w sobie przedewszystkiem teatr z widownią na tysiąc osób, i obszernem foyer o górnem oświetleniu, dającem się użyć jako stały salon obrazów. Widownia i foyer miałyby zadanie uniwersalne i wykreślone są w takich rozmiarach, by można w jaknajszerszem pojęciu zastosować i pomieścić w nich, od kongresu czy zjazdu, do wystawy i zabaw w karnawale włącznie, wszystko. Zarzut, że widownia teatralna jako taka jest za obszerna dla zwykłych widowisk w Zakopanem, upada wobec pomysłowej (nie oznaczonej w planie) ruchomej ściany, pozwalającej widownię o tysiącu miejscach, zmienić w ciągu kwadransa w salkę kameralną o trzystu fotelach. Zależałoby to tylko od charakteru widowisk, czy zespołu artystów dających przedstawienia.

W ten sposób pomyślana widownia pozwoliłaby się dowolnie zwiększać czy zmniejszać, stosownie do zapowiedzianej opery czy operetki, koncertu czy prelekcji, komedji czy dramatu i t. d.

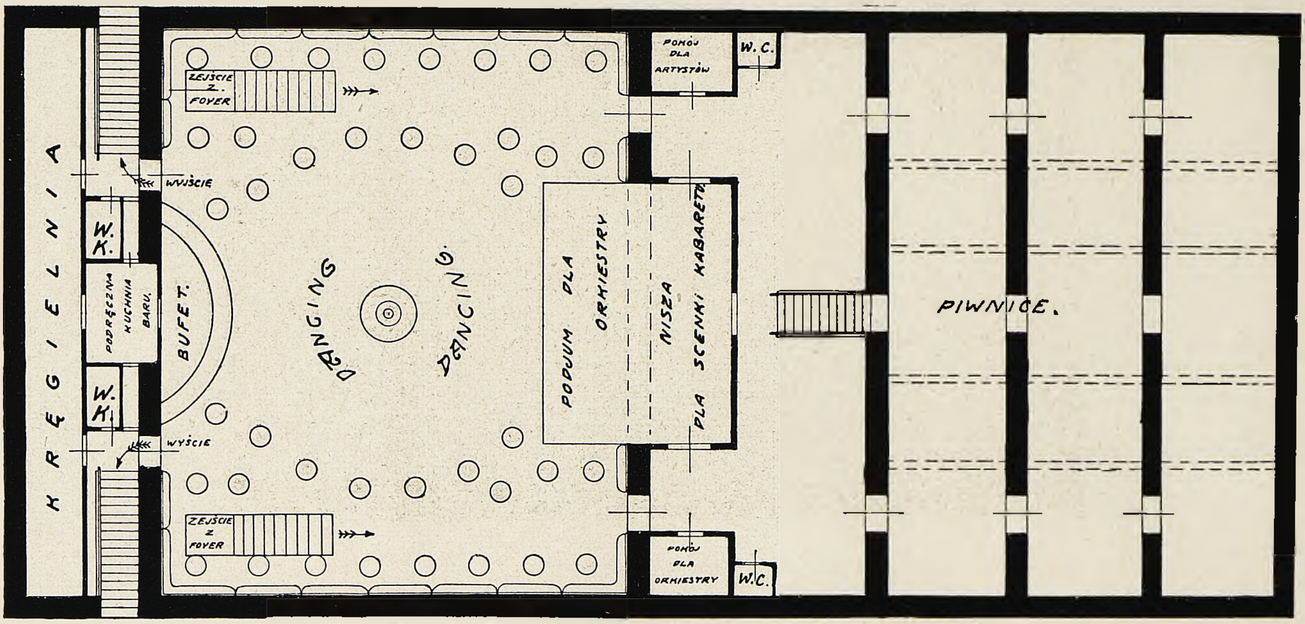
Takie rozwiązanie, zwłaszcza w Zakopanem, pozwoliłoby wszechstronnie wykorzystać budynek i zogniskować w sobie życie artystyczno-kulturalne.

A teraz schodami umieszczonemi z dwóch stron w foyer, zejdźmy do wysokich, obszernie zakreślonych podziemi, również mających jak najszersze zastosowanie.

Jest tu więc wykwintnie, po europejsku urządzony „Bar Amerykański“ z metalowym bufetem, o stołeczkach trójnożnych, wysokich, pozwalających tak zgrabnie pozować się paniom przy coctailach czy orszadzie, dalej olbrzymia kawiarnia, dancing, estrada dla kwartetu muzycznego, scenka dla kabaretu, sala bilardowa, czytelnia, sala sportowa, gimnastyczna, strzelnica, kręgielnia i t. d. (nie wszystko oznaczone w podanych tu planach). Urządzenie całkowite wyż wymienionych podziemi nie obciążałoby Tow. budowy gmachu, nie koszto-



Przekrój podłużny.



Podziemia.

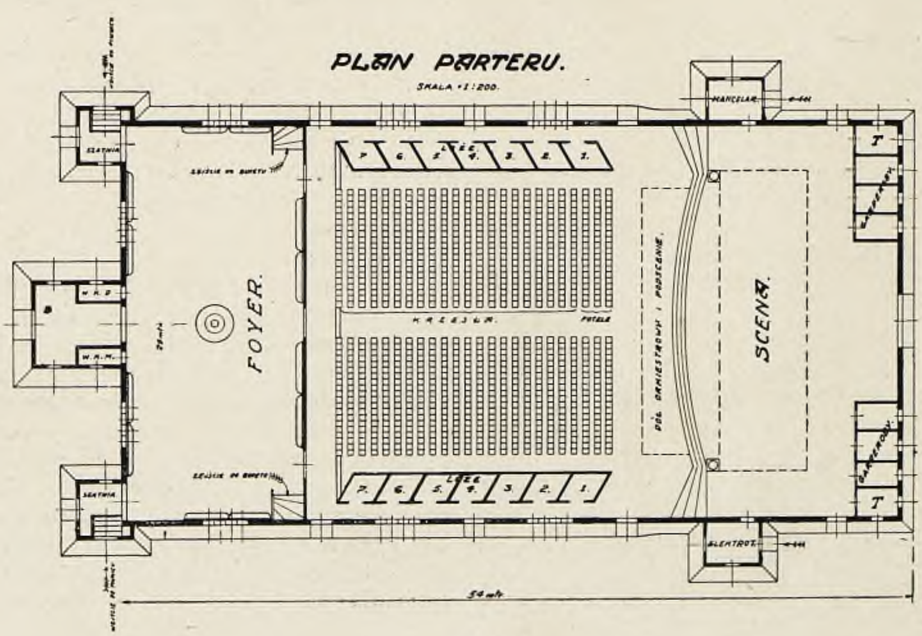
wało złamanego grosza udziałowców, gdyż należałoby do dzierżawców kawiarni, baru, strzelnicy i t. d. Scena pomyślana jest głęboko, dość duża do wszelkiego rodzaju widowisk, bez dekoracji w systemie trój-kotarowym z zastosowaniem jak największego użycia efektów świetlnych.

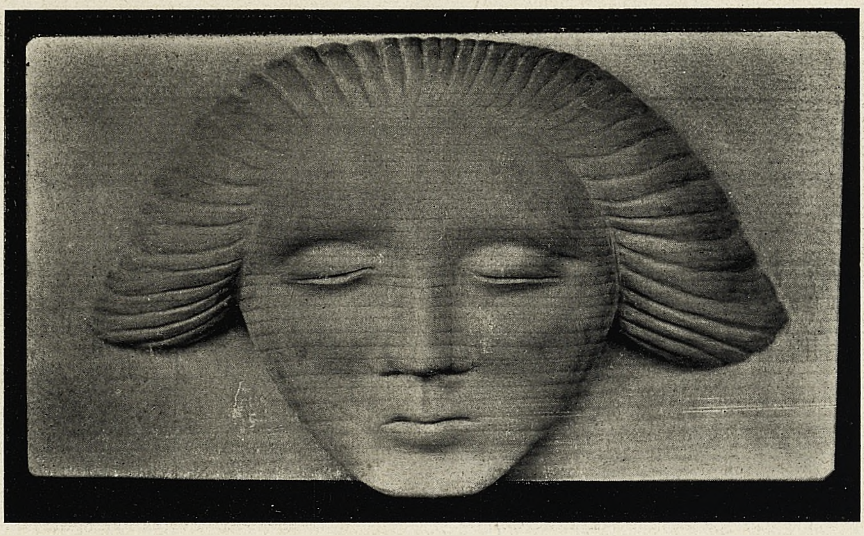
Garderoby artystów, liczne i urządzone tak, by w sezonie przy braku mieszkań mogły służyć na kilkudniowy pobyt równocześnie jako mieszkanie. Nie zapomniano nawet o łazience.

Rzecz prosta, że nie sposób w jednym artykule pomieścić wszystkich danych, musimy więc poprzestać na pobieżnych określeniach. Mając obecnie na oku głównie utylitarną, t. j. praktyczną stronę imprezy, nie poruszamy tu sprawy i znaczenia artystycznych i kulturalno-społecznych zadań teatru jako takiego w Zakopanem. O tem zresztą napisano już wiele i napisać da się jeszcze dużo więcej. Zaznaczyć można jedno, że wzniesienie tak pomyślanego gmachu pozwoliłoby w Zakopanem zwiększyć w dwójnasób frekwencję przyjezdnych, już to organizowanemi zjazdami towarzystw, korporacyj, urządzaniem np. wystawy miast i t. d., co naturalnie musiałoby być staraniem i planową pracą zarządu Towarzystwa Budowy Teatru.

Dałoby w sezonie przedstawienia teatralne pierwszorzędne, goszcząc całkowite zespoły scen Warszawy, Krakowa, Poznania i t. p., a najważniejsze, pozwoliłoby zwolna acz wytrwale tworzyć miejscowy stały zespół artystów, dać eksperymentalny warsztat pracy tym, którzy mogliby i chcieli się wypowiedzieć w formie i kierunku nowych dróg, słowem dali Zakopanemu rodzaj reduty sztuki podhalańskiej, z której źródła czerpaćby mogły wszystkie sceny Polski.

I to jest przewodnią ideą budowy gmachu teatru w Zakopanem! *A. Kowalczewski-Siedlecki.*





SZKOŁA PRZEMYSŁU DRZEWNEGO W ZAKOPANEM.

„Nie równej miary mają wszyscy talenta, lub od Boga nabędą, ale ile komu dane, tyle z lichwą zwrócić winien, by nie wzięto, co ma mniej a dano innemu, co ma więcej, Boskie bowiem rządy takie!“

Temi słowami przemawiał w 1878 r. ksiądz Stolarczyk, poświęcając nowo otwartą szkołę przemysłu drzewnego i szkoła przez długi lat dziesiątek starała się te słowa w czyn wprowadzać.

W roku 1898 otwarta w nowym budynku, na parceli Towarzystwa Tatrzańskiego, inicjatora i założyciela tejże, w tym samym miejscu, w którym ją i dziś widzimy, istniała już faktycznie od 1886 roku, a prowadzona była w Kuźniach do 1878 r. przez cieślę i stolarza zakopiańskiego Mardułę, przygotowywanego do zawodu „profesora i dyrektora“ przez ojca naszego wielkiego Wyspiańskiego, popularnego w Krakowie rzeźbiarza i odlewacza figurek gipsowych. Po zreorganizowaniu jej i przeniesieniu do nowego budynku, powierzono dyrekcję szkoły sprowadzonemu przez rząd austrjacki dyrektorowi Neużylowi, bardzo dobremu organizatorowi i administratorowi. Równocześnie do działu snycerskiego, dołączono oddziały: stolarski, tokarski, ciesielski i rzeźbę figuralną. Pod dyrekcją Neużila znajdowała się szkoła do śmierci tegoż, t. j. do roku 1900, w którym obejmuje dyrekcję Kowacz na okres trzechletni, by ustąpić jej St. Barabaszowi, piastującemu tę godność do 1923 roku.

Szkoła przemysłu drzewnego w Zakopanem miała charakter szkoły rzemieślniczej, a cel przez inicjatorów postawiony, danie zarobku ubogiej ludności miejscowej i rozwinięcie talentu snycerskiego został przez szkołę w znacznej mierze spełniony. Zmiana w stosunkach zarobkowych miejscowej ludności, spowodowana napływem gości, odciągnęła w dużej mierze młodzież góralską od szkoły, stanowiącej dziś nieledwie 30% uczniów; zmienił się przez to i charakter szkoły, która z czysto lokalnej stała się ogólno polską szkołą przemysłu drzewnego. Młodzież zapełniająca ławy szkolne, należy do najuboższej młodzieży wiejskiej, której przez dawanie w rękę fachu i rozwijanie talentu, daje szkoła lepszą przyszłość, podnosząc równocześnie jej poziom kulturalny.

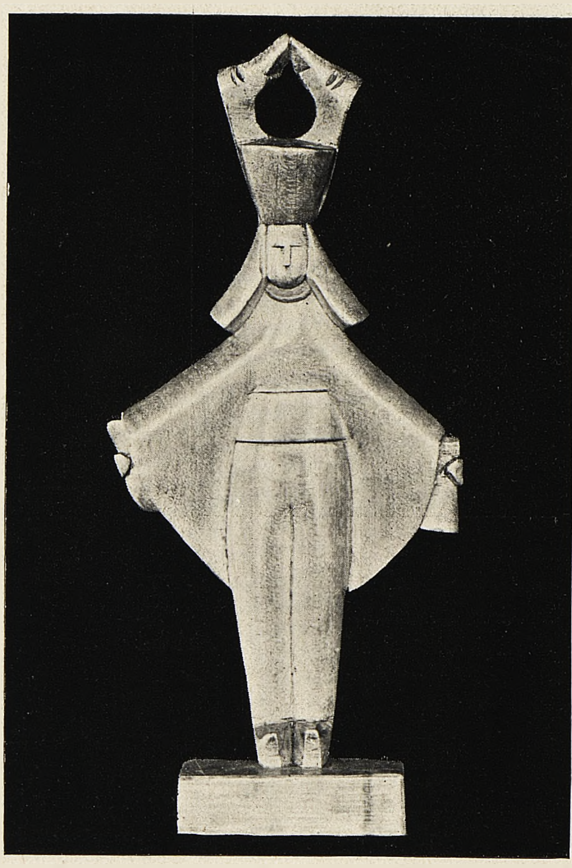
Tyle co do dat historycznych tyczących się powstania i istnienia szkoły, a teraz parę słów o jej celach i zadaniach. Gdy postawienie i wprowadzenie tychże w życie zależy zawsze w pierwszym rzędzie od kierownictwa, niech więc słowa uprzejmie przez obecnego dyrektora szkoły p. Karola Stryjeńskiego, naszemu sprawozdawcy podane, same za siebie mówią. Na zapytanie naszego sprawozdawcy: jakie cele i program ma szkoła przed sobą? — odpowiedział p. Stryjeński:

„Szkoła musi objąć całość przemysłu drzewnego, a najrealniejszem zadaniem szkoły będzie połączyć wszystkie działy ku jednemu celowi... Chcemy rok rocznie wybudować dom z drzewa, umeblowany i ozdobiony przez uczniów szkoły“.

Przyczem wyjaśnia dyrektor, że tą drogą uda się może stworzyć pewną całość, począwszy od zrębu domu, aż do ozdobienia go i umeblowania, o charakterze stylowym, dającym w przyszłości podwaliny pod oryginalny i swoisty styl polski.

Zapytany o kierunek artystyczny szkoły mówi p. Stryjeński:

„W ujęciu samego zdobnictwa i nauczania tego, przeżyła szkoła od początku swego istnienia fluktuacje, mniej lub więcej zależne od ogólnego kierunku, jaki panował w danym czasie w przemyśle artystycznym, przy czem rząd austrjacki miał tendencje artystycznego zniemczania szkoły, przysyłając nauczycieli i wzory wiedeńskie. Dopiero działalność Witkiewicza na tutejszym terenie równoległa do ogólnego ruchu budzącego się w całej Polsce i odnowienie odrębności narodowej sprawiła, że szkoła za czasów Barabasza zaczęła wyzwalać się z pod obcych wpływów i nawiązała





Dyr. K. Stryjeński.

kontakt z podtatrzańską sztuką zdobniczą i architekturą. Że ten kierunek był koniecznością życiową, wskazuje fakt, że cały szereg artystów, jak Brzega, Sobczak, Szczepkowski, wychowanków tego okresu szkoły, wszedł na drogę sztuki rodzimej.

„Dziś szkoła wyszedłszy od tych samych początków i koncepcyj stara się, indywidualnie traktując uczniów od chwili przyjścia ich do szkoły, wydobywać z nich samych wartości twórcze, które drzemią w duszy każdego dziecka. Odpowiedni kierunek, dany przez nauczyciela i naprowadzający na właściwą drogę, da możność rozwinięcia wspólnej cechy, która po szeregu lat wytworzy nowy współczesny i swoisty styl szkoły".

Że dyr. Stryjeński, sam artysta i esteta na dużą skalę, zdoła szkole nadać taki kierunek, nie ulega najmniejszej wątpliwości, a że na właściwą drogę już wkroczył, świadczy urządzona w roku bieżącym w Warszawie wystawa prac uczniów szkoły.

Jakie znaczenie do tej wystawy przywiązuje świat artystyczny Polski, świadczą głosy najpoważniejszych krytyków - estetów, zamieszczone w „Rzeczypospolitej", „Świecie", „Tygodniku ilustrowanym", „Bluszczu" i t. d.

Pragnęlibyśmy przytoczyć je tu w całości, jednak dla braku miejsca, musimy się zadowolnić najcharakterystyczniejszemi ustępami tychże:

W „Bluszczu" z dnia 12 lipca b. r. pisze pani N. Sanatybowa:

„Chłopcy ci, kilkunastoletni górale, uczynili nieświadomie skok poprzez cały realizm i jego liczne odmiany, do sztuki najbardziej współczesnej, syntetycznej, skupionej i w pewnym stopniu klasycznej".

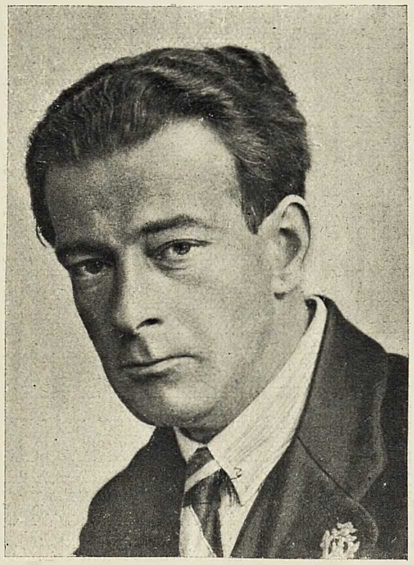
W „Wiadomościach literackich" czytamy znów: „...są to najzupełniej rewelacyjne dzieła sztuki ludowej, nie mające sobie równych w sztuce dzisiejszej".

Do bardziej szczegółowego ujęcia spraw Szkoły Przemysłu drzewnego w Zakopanem, jak też i działalności obecnego jej kierownika, powrócimy w następnym zeszycie „Giewontu".





Muzeum Tatrzańskie im. Dra Tytusa Chałubińskiego.



Dyr. M. Zborowski.

MUZEUM TATRZAŃSKIE IM. DRA TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO.

W roku 1888 garść przyjaciół Chałubińskiego chcąc uczcić jego dla Tatr poniesione zasługi, postanowiła założyć w Zakopanem Muzeum imienia swego przyjaciela i zamiar swój odrazu w czyn wprowadziła, wynajmując na cele Muzeum jeden pokój w domu przy Krupówkach, tam gdzie dziś apteka F. Tabeau. Niedługo jednak Muzeum tu gości, bo dzięki pomocy zarządu dóbr zakopiańskich, budują inicjatorzy drewniany domek przy ul. Chałubińskiego, gdzie zbiory muzealne przyrodnicze i etnograficzne znajdują pomieszczenie aż do 1921 roku.

Jednak od pierwszej chwili powstania Muzeum, założyciele oraz późniejsi kierownicy, wespół z zarządami, postawili za główne swe zadanie, wybudowanie budynku nowoczesnego, odpowiadającego w całem tego słowa znaczeniu celowi, a przedewszystkiem ogniotrwałego — jednak warunki i brak odpowiedniego poparcia finansowego przez długie lata zamiarów w życie wprowadzić nie dozwalały, mimo to zarządy grosz gromadziły, aż wreszcie w roku 1913 zaczęto zamiar realizować i przystąpiono z niewielkiemi funduszami do budowy. Mimo skąpych funduszów podjęto dzieło duże i z dużym rozmachem zabrano się do pracy — motorami tej pracy, śmiało przeciwnościom stawiającymi czoło, byli Drowie Kazimierz i Bronisława Dłuscy, członkowie ówczesnego zarządu.

Jak zaznaczyliśmy, budowa rozpoczęła się w 1913 roku i w tym też roku dokonano poświęcenia kamienia węgielnego, obiecując sobie, w co nikt nie wątpił, dokończenia budowy w ciągu dwóch lat. Niestety wybuch wojny europejskiej w 1914 roku przerwał tak wspaniale zapowiadające się dzieło, powstrzymując wszelkie dalsze prace budowlane aż do 1919 roku, w którym to roku znów za inicjatywą Drów Dłuskich podjęto pracę, tym razem uwieńczoną pomyślnym skutkiem. W roku 1922 roboty posunięto już tak daleko, że można było zbiory przenieść i udostępnić dla publiczności.

Dawny budynek, przy ul. Chałubińskiego, odsprzedano Towarzystwu krajoznawczemu na dom wycieczkowy, który przy przeróbce zaraz w następnym roku, bez szkody jednak dla zbiorów już od dłuższego czasu w budynku murowanym się mieszczących, spłonął.

Myliłby się atoli ten, ktoby sądził, że nowy gmach muzealny został w 1922 roku zupełnie wykończony, przeciwnie, między 1922 r. a obecnym czasem ciągle się dom uzupełniało, zakładając stopniowo: elektryczność, wodociąg, umeblowanie i t. p., a to w miarę napływających, a nigdy dostatecznych funduszów. Zasadniczą ideą obecnego zarządu jest unikanie przy uzupełnianiu gmachu oraz inwentarza, wszelkiego luksusu, a to w imię dobra i rozwoju samych zbiorów muzealnych, wymagających ciągłego kompletowania, a temsamem

dużych wkładów pieniężnych. Dla zarządu ważniejszem jest — i słusznie — wystawienie np. zwykłego pieca w pokoju gościnnym, których jest kilkanaście, a których przeznaczeniem jest służenie idei badania Tatr, przez oddawanie ich ludziom do Zakopanego i Tatr na studja przyjeżdżającym, jak np. urządzenie westibulu i udekorowanie go meblami czy kilimami.

Tyle o samym budynku, a teraz o zbiorach i ich stanie, oraz rozmieszczeniu.

Na parterze w dużych i jasnych salach mieszczą się zbiory etnograficzne, zbiory te powstawały zwolna w miarę rozwoju Zakopanego, a silniejszy rozwój ich datuje się dopiero po powstaniu budynku. W zbiory te weszły przedewszystkiem zbiory najznamienitszych badaczy Podhala, a więc zbiory Adama Krasińskiego, Dembowskich, Gnatowskiego, Steckiego. Zbiory otrzymywało Muzeum bądź drogą darowizn, bądź zakupu. Duży dział zbiorów etnograficznych stanowi dział dotyczący sztuki góralskiej i jeżeli chodzi o ten dział, to dział ten jest wyjątkowego znaczenia i wymaga specjalnej pieczołowitości, gdyż w razie zniszczenia go, odnowienie czy skompletowanie, jest wprost nie do pomyślenia.

Na pierwszem piętrze są pomieszczone zbiory przyrodnicze. Zbiory te jakkolwiek wykazują jeszcze duże braki, dają jednak dostateczne pojęcie o przyrodzie Tatr. Na dział przyrodniczy składają się: geologja, botanika i zoologja.

Oprócz tych dwóch działów, t. j. etnograficznego i przyrodniczego, projektowane są działy: historji taternictwa, pogotowia ratunkowego, łącznie z jego historją. Dział pogotowia ratunkowego już się zwolna formuje, gdyż jak dotąd, pogotowie stale swe materjały do dyspozycji muzeum oddaje.

Nadto powinien powstać jeszcze jeden dział, a jest nim galerja obrazów mistrzów polskich. Galerja taka zdaje się być dla prowincjonalnego Muzeum ze względu na duże koszta nie do pomyślenia, a jednak w warunkach naszych staje się konieczną. Dział sztuki współczesnej powinienby obejmować bodaj po jednym obrazie typowym mistrzów pędzla i dłuta Tatry i Podhale w swojej artystycznej produkcji uwzględniających, lecz w tym kierunku Muzeum zależne jest głównie i jedynie od darowizn, gdyż fundusze jego zdaje się nigdy na stworzenie galerji drogą kupna nie pozwolą.

Poza tem posiada muzeum bibljotekę, której zadaniem jest skupienie wszystkiego, co się odnosi do Tatr, Zakopanego i Podhala i to bez względu na wartość, począwszy od poezji, skończywszy na przewodnikach, wycinkach z gazet i afiszach. W dziale tym są jednak bardzo duże braki, zwłaszcza jeżeli chodzi o starą literaturę tatrzańską obcojęzyczną.

Na drugiem piętrze gmachu mieści się sala konferencyjna, która w przyszłości, w miarę rozwoju Muzeum, będzie prawdopodobnie zużytkowana na cele wystawowe, a nadto szereg pokoików skromnie ale wygodnie urządzonych, z których korzystają bezpłatnie, tytułem subwencji za udzielaną Muzeum pomoc, badacze Tatr i Podhala.

Na dochody Muzeum składają się przedewszystkiem dochód ze wstępów i subwencja rządowa, która w ostatnim roku ze względów oszczędnościowych, została znacznie obciętą.

Frekwencja zwiedzających aczkolwiek dość żywa, nie obejmuje jednak najszerzej pojętych warstw przyjezdnych. Wina to poniekąd Zarządu, który za mało stara się o spopularyzowanie czy to w formie zawiadamiań, czy specjalnych plakatów o możności zwiedzania sal muzealnych a już godziny od 11 do 1 w sezonie, w których Muzeum zwiedzać można są arcyniewygodne i niefortunnie dobrane, brak także katalogu i t. p. Pewna ospałość, jak wszędzie zresztą w Zakopanem, daje się i tu we znaki.

A przecież już w roku 1913 jeden z członków założycieli pisał:

„Stworzenie potężnej, żywej placówki ludoznawczej na Podhalu będzie ogromną dźwignią w skonsolidowaniu narodu... Zbiorowa dusza narodu musi przyswoić sobie wszystkie tradycje, wierzenia duchowe i materjalne wyniki pracy ludu podhalańskiego, koło wyniosłych Tatr osiedlonego, i dać ze swej skarbnicy w zamian to wszystko, czego brakło naszym dzielnym góralom.

„Nie można zapominać o czynnikach wytwarzających łączność pomiędzy pojedynczymi ludźmi i odrębnemi, czasem bardzo się różniącemi dzielnicami jednego narodu; takiemi czynnikami są: posiadanie niezatartych wspólnych wspomnień z przeszłości i wspólnych nadziei i aspiracyj na przyszłość, a dla chwili obecnej wspólna uciecha lub jeden i ten sam smutek, wymiana myśli, styczność na różnych polach pracy, a nawet wspólny interes.

„A pamiętajmy jednocześnie, że Zakopane jest miejscem, gdzie się tak łatwo uwypuklają dla oczu ściągających tu zewsząd rodaków i obcych nasze piękne zalety i smutne, a dotkliwe wady. Opinia cudzoziemców, którzy nas w ludoznawstwie o kilkadziesiąt lat pozostawili za sobą, nie może być dla nas obojętną. Mam pewne dane do przypuszczenia, że Podhale coraz częściej będzie przyciągać cudzoziemskich badaczy kultury europejskiej, niechże więc i oni wyniosą jak najlepsze wrażenie o stanie naszej wiedzy, o naszym artystycznym guście, o polskiej twórczej myśli, umiejętnym organizacyjnym zmyśle i rzetelnej pracy".

Kustoszem muzeum obecnie jest p. M. Zborowski.

Juliusz



Przed defiladą.

ZLOT SOKOLSTWA W ZAKOPANEM.

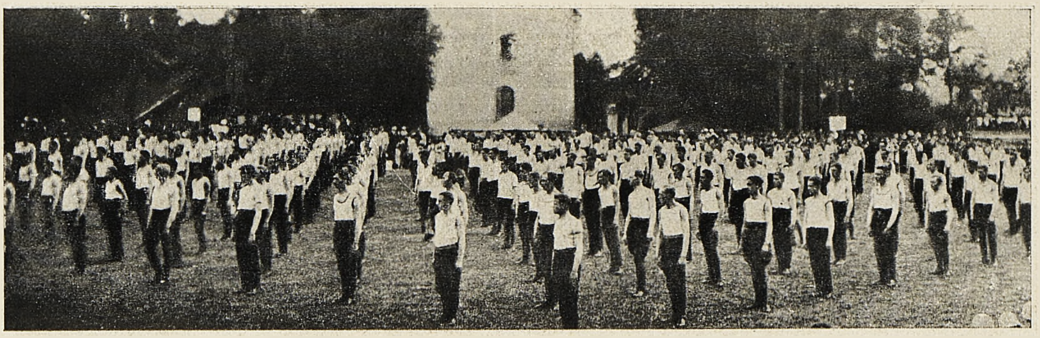
Na dzień 29 czerwca zmieniło Zakopane do gruntu swój charakter. Ruch uliczny zmieniony nie do poznania, goście sezonowi w tej porze jeszcze niezbyt liczni — znikli doszczętnie w tłumie amarantowych koszul i szarych mundurów sokolich. Stroje pań gubiły się wśród granatowych sukienek i białych bluzek sokolic. Dzień 29 czerwca był bowiem dniem święta sokolego — dniem zlotu.

Już dzień przedtem zaczęły do Zakopanego zjeżdżać drużyny sokole: każdy pociąg w sobotę nadchodzący wyrzucał je, a wieczorem specjalny pociąg krakowski sypnął na ulice Zakopanego przeszło tysiącznym tłumem sokolic i sokołów. W niedzielę od rana na ulicach Zakopanego zapanował oryginalny i zmienny ruch; bywały chwile, że ulice na pewien czas pustoszały zupełnie, to znów zapełniały ruchem i gwarem, zależnie od tego, w którym końcu Zakopanego koncentrowały się oddziały sokole.

O godz. 10 rano odbyła się na rynku zakopiańskim uroczysta msza polowa, po niej i po przemówieniach powitalnych ustawił się olbrzymi, jak na stosunki zakopiańskie pochód, który w asy-



Msza polowa.



Ćwiczenia.

ście trzech orkiestr przeszedł ulicami Krupówki, Zamojskiego, Chałubińskiego, Sienkiewicza, Kościuszki z powrotem na rynek, gdzie się rozwiązał.

Popołudniu przy pięknej pogodzie, wobec tłumnie zebranej publiczności na boisku obok klasztoru SS. Sercanek przy ulicy Nowotarskiej, otoczonem specjalnie wybudowanemi trybunami, odbyły się ćwiczenia zlotowe, przy udziale około czterystu sokolic i tyluż druhów. Ćwiczenia wypadły doskonale, czemu dowód dawały gromkie oklaski publiczności. Najefektowniejsze były reje taneczne żeńskiej młodzieży sokolej, ćwiczenia maczugami sokolic i lancami sokołów; na specjalne podkreślenie zasługiwały ćwiczenia ciupagami (taniec góralski) i z tańców narodowych — krakowiak.

Na zakończenie zlotu odbyły się wieczorem w niedzielę w paru punktach Zakopanego zabawy, a więc na rynku „wieczornica góralska" a w budynkach „Sokoła" i Zakładu Czerwonego Krzyża zabawa i raut, w długą noc się przeciągające.

Część sokołów odjechała tego samego dnia, reszta i to znaczniejsza pozostała w Zakopanem na parodniowy pobyt, w celu dokonania paru wycieczek w Tatry.

Odbyty w dniu 29 czerwca zlot sokoli był drugim zlotem sokolstwa w Zakopanem, a urządzony przez okręg krakowski staraniem zakopiańskiego gniazda, które z zadania swego wywiązało się znakomicie, dając dowód swej żywotności i dobrej organizacji, wypadł pod każdym względem wzorowo i pozostawił u biorących w nim udział jaknajlepsze wspomnienie.

Udział w zlocie wzięło dwadzieścia sześć gniazd sokolich, w tem z poza okr. krakowskiego z Górnego Śląska: Rybnik, ze Spisza: Nowa Biała, Jurgów i Łapsze. Druhów i Druhen brało udział w zlocie 1180, łącznie z towarzyszącemi im osobami cyfra przybyłych z okazji zlotu sięga dwóch tysięcy.

Zlot organizował okręg krakowski z wiceprezesem dzieln. i prezesem okręgu p. Edwardem Kubalskim i naczelnikiem okręgu p. Kasprem Nowakiem na czele. Kierownictwo ćwiczeń spoczywało w rękach p. Nowaka, przygotowanie techniczne zlotu w rękach Sokoła zakopiańskiego, który powołał do tego szeroki komitet techniczny z posłem i nacz. gminy p. Medardem Kozłowskim i prezesem Sokoła prof. Stopowym na czele.

Do komitetu organizacyjnego przystąpiła w ostatniej chwili przybyła do Zakopanego właśnie przed dwoma dniami szkoła sztabu generalnego z p. gen. Dziewanowskim, zastępcą dowódcy OK. Kraków i paru oficerami francuskimi w wycieczce szkoły udział biorącymi, na czele.

Jeszcze raz podnieść należy podniosły charakter, znakomitą organizację, niczem niezakłóconą powagę i spokój, jakie cały zlot cechowały. Główną i niepodzielną w tem zasługę ponosi komitet zakopiański, nie żałujący trudu i nakładu pracy, dla pięknego celu i jeszcze piękniejszej idei, oraz inicjatorzy i kierownicy zlotu w osobach prezesa i naczelnika okręgu sokolego krakowskiego, pp. Kubalski i Nowak.

Że zlot sokoli dla Zakopanego był nie tylko atrakcją, ale i interesem, przekonywać nie trzeba; wszak w blisko dwutysięcznym tłumie na zlot przybyłych sokołów i sokolic, było wielu, poraz pierwszy w Tatry zjeżdżających; na tych urok i czar Tatr zrobiły wielkie wrażenie, a odniesione wrażenie wywoływać w nich będzie stałą tęsknotę za górami, do których nieraz jeszcze pewnie pospieszą; a że pospieszą, to zasługą będzie zlotu, który ich tu pod te skalne progi zwołał.



Na Krupówkach.



Ćwiczenia z karabinami. Z lewej strony stoją Dyrektor Szkoły p. Karol Stryjeński i prof. Bohusz-Zończyk.

WYCHOWANIE FIZYCZNE MŁODZIEŻY W ZAKOPANEM.

W czerwcu b. r. odbyła się niezwykła uroczystość zakończenia roku szkolnego w „Hufcu" Państwowej Szkoły Zawodowej Przemysłu Drzewnego w Zakopanem, w obecności posła p. Medarda Kozłowskiego, burmistrza Zakopanego i Dyrektora Szkoły p. Karola Stryjeńskiego.

Na uroczystość przybył Generał Brygady Dziewanowski, zastępca D-cy Korpusu Nr. 5. w otoczeniu sztabu, odebrał raport od Kierownika „Hufca" por. rez. i prof. tut. szkoły p. Bohusza-Zończyka, poczem nastąpiły ćwiczenia karabinami i gimnastyka.

Po ćwiczeniach wygłosił Generał Dziewanowski krótkie a niezmiernie głębokie przemówienie, podnosząc znaczenie wychowania fizycznego tak ważnego dla sprawy obrony granic Rzeczypospolitej, poczem osobiście wręczył najpilniejszym nagrody. Podobna uroczystość odbyła się tydzień wcześniej w Szkole Zawod. Dokształcającej, gdzie niedawno założony „Hufiec" przez Kierownika tejże szkoły, zdawał egzamin ze sprawności przed Dyr. gimnazjum, majorem rezerwy, Stanisławem Turowskim.

Hufce te powstały i ćwiczą pod kierunkiem swojego twórcy por. rezerwy a profesora Szkoły Przemysłu Drzewnego p. Bohusza-Zończyka.

Dzięki poparciu komendanta garnizonu w Zakopanem p. majora Sztabu Generalnego Leopolda Gebla oraz Dyrektora Szkoły Przemysłu Drzewnego p. Inż. Karola Stryjeńskiego „Hufiec" rozwinął się wspaniale, tak że wystąpienia w dniach 3. maja b. r., na Boże Ciało oraz podczas wizytacji generała Dziewanowskiego otrzymały pochwały władz przełożonych.



Ranna gimnastyka.

Jest jednak jedno ale: odwrotna strona medalu nie przedstawia się tak różowo. Uczniowie nietylko nie mają gdzie ćwiczyć, bo boiska w Zakopanem niema, nietylko nie mają przyborów sportowych ale brak najniezbędniejszych rzeczy, jak butów i ubrania powoduje zniechęcenie uczniów, którzy rekrutując się z najuboższych sfer społeczeństwa, nietylko nie mogą sobie kupić ubrań sportowych lub butów, ale codzienne odzienie mają w takim stanie, że nie można od nich wymagać, aby je niszczyli podczas gimnastyki lub ćwiczeń. To wprowadza pewne niedomagania i dezorganizację, z którą energja prof. Bohusza jako tako daje sobie radę. Tak dalej jednak być nie powinno. Tutaj apelujemy do Gminy, Klimatyki, Zarządu dóbr, aby przyszły z pomocą młodzieży przez ofiarowanie terenu na boisko (stadjon). Następnie dobrzeby było, gdyby p. Starosta Strzelbicki, znany ze swej sprężystości, przyczynił się wpływem swoim do stworzenia Rady wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego, której zarys statutu podało Dowództwo Okręgu Korpusu Nr. 5. Celem Rady jest współpraca ze stowarzyszeniami wojskowo - wychowawczemi, władzami szkolnemi i wojskowemi nad przysposobieniem fizycznem i wojskowem społeczeństwa przez prowadzenie szerokiej propagandy słowem i czynem, oraz wywieranie stałego i moralnego nacisku na ogół społeczeństwa celem wzięcia udziału w akcji przygotowania wojsk. Środkami do tego byłyby: budowa stadjonu sportowego, boiska, strzelnicy, organizowanie igrzysk, zawodów, konkursów, odczytów itp. Dochody z tych ostatnich wystarczyłyby w zupełności na pokrycie wszelkich zakupów, umożliwiających uczniom biedniejszym oddawania się sportom i gimnastyce.

Szkoła Zawodowa dokształcająca, założona w roku 1919 staraniem Gminy i profesora Szkoły Zawodowej p. Niwelińskiego, kształci obecnie 230 uczniów i uczennic, rozmaitych gałęzi przemysłu i handlu. Szkoła rozwija się wspaniale pod kierownictwem fachowem prof. państwowej Szkoły Przemysłu Drzewnego p. Stanisława Bohusz-Zończyka i liczy obecnie sześć oddziałów. Od wakacji przybywają szkole trzy nowe oddziały t. j. 3-cia klasa Szkoły Przemysłowej żeńskiej i męskiej, oraz 3-cia koedukacyjna handlowa.

Szkoły te zagranicą są otaczane specjalną opieką nietylko Rządu ale i społeczeństwa i są wspaniale wyposażone we wszelkie pomoce naukowe. U nas inaczej. N. p. w tym roku grozi szkole zamknięcie, w najlepszym razie redukcja oddziałów w razie przeprowadzenia swego planu przez Inspektora Powiatowego szkół powszechnych p. Urbańskiego, z powodu braku lokalu. Sądzimy, że Gmina i Kuratorjum Okręgu Szkolnego Krakowskiego do tego nie dopuszczą, zwłaszcza że szkoła ta postawiona obecnie na odpowiednim poziomie przynosi nieocenione korzyści młodzieży tak handlowej, jak i rękodzielniczej. *Bohusz-Zończyk.*



Wizytacja »Hufca« szkolnego przez Generała Dziewanowskiego, zast. D-cy Okr. Korp. Nr. V., po raporcie. Stoją od lewej ku prawej: Generał Brygady Dziewanowski, pułk. Dr. Piotrowski, major Sztabu Gen. Gebel, major Sztabu Gen. Izdebski, poseł Kozłowski, kierownik »Hufca« prof. Bohusz-Zończyk, Dyr. Stryjeński, por. Skomra.



Medard Kozłowski,
Naczelnik gminy.



Aleksander Strzelbicki,
Starosta pow. nowotarskiego



Dr. Józef Diehl,
Pr. T. K. U.

NASZE WŁADZE.

Zakopane, jako cząstka powiatu nowotarskiego, podlega przedewszystkiem władzy politycznej czyli starostwu, na czele którego stoi obecnie p. radca województwa Aleksander Strzelbicki. Mianowany z dniem 1 stycznia 1924 r. starostą nowotarskim, przybył tu z Gorlic, gdzie przez dziesięcioletni okres piastował godność starosty w najtrudniejszym okresie wojennym. Wiadomo powszechnie, że powiat gorlicki bodaj, że najwięcej ucierpiał w czasie wojny — trudne więc miał warunki pracy p. radca Strzelbicki, a jednak gdy opuszczał swe stanowisko, żegnali go wszyscy z żalem, a słowa uznania dla Jego owocnej i obywatelskiej pracy powtarzane są dotąd powszechnie. O zdolności i charakterze naszego obecnego starosty świadczy i to, że w chwili powstania państwa polskiego i obejmowania władz politycznych przez nasze władze państwotwórcze, radca Strzelbicki należał do tych wyjątkowych starostów, których nowe władze pozostawiły na swych stanowiskach. To jedno już świadczy dostatecznie o obywatelskim duchu p. Strzelbickiego i jest miarą jego stosunku do współobywateli.

Władze samorządowe na terenie gminnym reprezentuje naczelnik gminy p. poseł Medard Kozłowski, działacz o nieprzeciętnych zdolnościach. Wskazuje na to w stosunkowo krótkim czasie zdobyta duża, jak na nasze stosunki, karjera polityczna.

Z wybitniejszych prac p. Kozłowskiego na polu samorządu gminnego należy wymienić: doprowadzenie i przyspieszenie dokończenia budowy sieci elektrycznej, wybudowanie szpitala, łazienek, zaprowadzenie w znacznej części Zakopanego chodników betonowych. W toku są i czekają w najbliższym czasie zrealizowania, chłodnia i fabryka lodu, oraz nowa elektrownia. A więc jak na stosunkowo krótki okres (cztery lata) jest to plon wcale pokaźny i chlubnie świadczący o przymiotach młodego naczelnika gminy i posła równocześnie.

W normalnych warunkach rzecz o naszych władzach kończyłaby się na tych dwóch jej przedstawicielach — w Zakopanem jako uzdrowisku, a więc gminie posiadającej odmienne od innych warunki, posiadamy jeszcze jedną władzę. Tamte dwie dotyczą przedewszystkiem ludności miejscowej, ta trzecia ludności czasowo tu bawiącej, a więc gości i jest niejako łącznikiem między ludnością stałą a przyjezdną. Władzą tą jest Tymczasowa Komisja Uzdrowiskowa. Na czele jej jako prezes stoi adwokat p. Dr. Józef Diehl, który pracą swą oddaje duże usługi sprawie uzdrowiskowej Zakopanego i wszystko to, co jest możliwem do przeprowadzenia w tymczasowości Tymczasowej Komisji Uzdrowiskowej w czyn wprowadza, zabiegając energicznie około zrealizowania planu regulacyjnego Zakopanego, czyni starania o zreformowanie, względnie kreowanie urzędu budowlanego, wprowadza w życie instytucję zwaną „Urzędem zdrowia".

Mówiąc o urzędzie zdrowia, nie można pominąć jego kierownika p. Dra Tadeusza Gabryszewskiego, od paru lat lekarza gminnego klimatycznego, przyczem stwierdzić należy, że na tem polu odniósł p. Dr. Gabryszewski niepowszednie zasługi. Jego bezpośrednią zasługą jest doszczętne wytępienie w najgorszym, bo powojennym okresie wszelkiego rodzaju epidemij na terenie Zakopanego. Jego zasługą jest ujęcie na terenie Zakopanego w pewne prawno-sanitarne przepisy sprawy gruźlicy niebezpiecznej dla otoczenia.



Gabinet karykatur.

Z PAMIĄTEK WOJNY.

Skoro zamącono mi spokój wypoczynkowy — mnie, co unikam pióra, abym do nowopowstającego pisma p. t. „Giewont" skreślił genezę kolekcji karykatur Sichulskiego — własność Stanisława Karpowicza stanowiącą — czynię zadość konieczności, a jednocześnie zwracam się do wszystkich bywalców Zakopanego z uprzejmem zapytaniem:

Czy mogą mi wskazać jednego — tak zwanego „taternika", któryby przyjechawszy do Zakopanego — latem czy zimą, wiosną czy jesienią, wśród tropikalnego południa, lub mroźnego wieczoru, wśród tamującego oddech — wiatru halnego, lub błogich, orzeźwiających podmuchów górskich, po wycieczkach krótszych lub dłuższych, na wyższe, niższe, strome, karkołomne szczyty, wygięte przełęcze lub dolinne spacery — nie zawadził — już to dla posilenia, zaspokojenia trapiącego pragnienia lub wyprostowania sfatygowanych kończyn — ot, dla wypoczynku — o „przełęcz Karpowicza"?...

Szanowny czytelniku, ty, coś niejedno pragnienie, niejeden głód zaspokoił w cieniu tej „przełęczy" — coś wsłuchiwał się z lubością w melodję — już nie mówię paradnej muzyki — ale w pieszczące ucho i łechcące podniebienie — brzęki talerzy, flaszek, szklanek, kieliszków i innych pełnych upragnionego napoju naczyń... coś wdychał woń — no — niekoniecznie... ty zwolnisz mnie od dalszych pean na cześć tego kulinarno-napojowego przybytku — a zapytasz — skąd na ścianach tej „przełęczy" znalazł się tak wspaniały, mistrzowską ręką kreślony, zbiór karykatur?

Otóż — jeśli traf zdarzył, że wziąłem pióro do ręki, to jedynie na to, abym — jako stały gość i inicjator tego cennego zbioru, skreślił, czego dotąd nikt nie uczynił, przyczyny i okoliczności, w jakich narodziła się ta, bezsprzecznie najwspanialsza w kraju, zaprawiona gryzącą, społeczno-polityczną satyrą, kolekcja karykatur, znakomitego karykaturzysty i świetnego artysty-malarza, Kazimierza Sichulskiego.

Było to późną jesienią roku pańskiego 1914, roku, w którym zaczęła się tragedja wojny światowej... Spłoszone najazdem Moskali na wschodnią Galicję, obywatelstwo wiejskie, mieszkańcy miast, adwokaci, lekarze, przemysłowcy, kupcy,

urzędnicy wyparci ze swoich posad, chroniąc swój ruchomy inwentarz, tłumnie ciągnęło, swą ciężką krwawicą naładowane wozy, po wyboistych, długich gościńcach, aby u stóp Giewontu, w gościnnem Zakopanem i jego przyległych wsiach, szukać schronienia i przytulenia dla siebie i swego dobytku. Znalazła się także spora garstka tych, co zjechali się tu wcześniej dla wypoczynku — z Królestwa, Księstwa, Warszawy, Poznania i t. d., a których wojna zaskoczyła i którzy chcąc nie chcąc zostać się tu musieli na zimowe leże.

Był to światek ludzi bardzo ciekawy, przeważnie inteligentny, a nawet świat uczony, ale jako niezdający sobie sprawy z losów wojny, przeważnie bardzo... rozbawiony.

Kogóż tu nie było? Boże mój! — byli adwokaci, sędziowie, profesorowie, księża, doktorzy, muzycy, artyści-aktorzy, artyści-malarze, poeci, literaci, rolnicy, przemysłowcy, legioniści, urzędnicy, różne rodziny — począwszy od najarystokratyczniejszych, były wdowy, wdowcy, panny, panicze, byli tacy co obfitowali w grosz i byli... co przymierali głodem... Ci ostatni znajdowali chętną pomoc w miejscowym komitecie.

Wszystkich nas ogarnął naonczas szał wesołości i szał politykomanji... Czytano chciwie biuletyny wojenne w pismach, i alarmujące telegramy wywieszane kilka razy dziennie przed pocztą — łudzono się, że wojna skończy się lada dzień, z godziny na godzinę...

W rozgorączkowanych mózgach przeważano polityczną szalę to w tę, to w ową stronę, ale zawsze w tem beztroskiem przeświadczeniu, że najbliższe jutro pozwoli im wrócić do swych gniazd. Tymczasem wlokły się dni leniwo — jak owe naładowane wozy, coraz czarniejsze chmury pokrywały polityczny horyzont, wiadomości z pola bitwy dochodziły coraz krwawsze, a sytuacja swą grozą przytłaczała najbardziej wybujałe optymizmem umysły...

Gromadziliśmy się na pogawędki polityczne i niepolityczne w „Morskiem Oku“ i u Przanowskiego (dziś Trzaska). Czarna kawa, herbatka, śmiech, humor, domino i... polityka...

Otóż ta polityka nas zdradziła, bo nad nią zaczęło czuwać „oko opatrzności“ w postaci ówczesnego starosty nowotarskiego p. Z., mocno pomalowanego na czarno-żółto... Ten to pan, z pomocą komisarza klimatycznego i całego sztabu tajnych i nietajnych agentów, w swoim arcy-żółtym lojalizmie, zaczął nasze wolne myśli otaczać swą czułą opieką i rozesłanym cyrkularzem nakazał wszystkie lokale, kawiarnie i restauracje zamykać już o godzinie trzeciej popołudniu, a bez przepustki nie wolno było chodzić po Zakopanem już od piątej wieczorem. Później zmienił w swej wspaniałości ten rozkaz o tyle, że lokale pozwolił zamykać o godz. 7 wieczorem, ograniczając tym sposobem nasze zebrania, a nawet oddając tych, którzy nie mieli domów i nie mieścili się w pensjonatach, na pastwę głodu.

O — panie starosto — na sposoby są sposoby, a jeśliś ty zamknął nam przed nosem drzwi wszystkich lokali kluczem swych cyrkularzy — my znaleźliśmy furtkę, którą nam otworzył gościnny Karpowicz i nie zważając na ewentualne kary, gościł nas w swej restauracji, w tylnym gabinecie pod osłoną czarnych opon, które nie przepuszczały światła na zewnątrz.

Gdy wybiła godzina 7-ma wieczór, zamykały się wszystkie drzwi frontowe, a wtajemniczeni wsuwali się z podwórza do wyznaczonego nam gabinetu, by w miłej pogawędce, tem milszej, że zakazanej, dać folgę swym przekonaniom politycznym.

Do tego sanktuarjum mieli wstęp tylko wybrani, tylko ci, których poglądy szły po jednej linji.

Nie sama jednak polityka gromadziła nas przy jednym stole, bo chętnie pławiliśmy się w dyssertacjach na temat piękna i sztuki, a w pieśniach, w dowcipnych anegdotach, w wypowiadaniu wrażeń dnia, głuszyliśmy bolesne odgłosy wojny.

Ponieważ byłem inicjatorem tych zgromadzeń w „Karpowiczowskiej przełęczy“, przeto objąłem też godność aranżera-gospodarza, do której to godności przywiązany był obowiązek omawiania codziennie — z gazdą Karpowiczem i zacną, dzielną, zawsze uśmiechniętą, dziś niestety już nieżyjącą gaździną — ś. p. Karpowiczową, menu wieczornego.



Gabinet karykatur.



Jam jest Kazio Tetmajer — postać w sztuce wzniosła
I choć dał mi Sichulski miast Pegaza osła,
Chociaż Giewont się ze mnie, jak widzicie, śmieje,
Że będę nieśmiertelny, w Bogu mam nadzieję.
Tą myślą serce moje ja już dzisiaj pieszczę,
Chcesz mówić o mej sławie, to »Mów do mnie jeszcze«.

Poprzedzały te uczty zawsze kolejki „czystej“, ot tak — dla zalania robaka, potem piwo, potem — ze składkowych funduszów zdobytych w „sancta veritas“ — wino, a gdy wino było za kwaśne, podawano miód, a gdy miód był za słodki — sypało się w kielichy połowę miodu, połowę wina — i tworzył się z tej mieszaniny nektar, który szumiąc w głowach, rozwiązywał nam języki, podniecał humory, otwierał gardła do deklamacji i śpiewu...

Prowodyrem anegdotek i humoru był kolega Mieczysław Frenkiel, muzyki prof. H. i doktorowa M. (gazda wstawił nam do gabinetu pianino), śpiewu — proszę się nie śmiać — moja osoba, naturalnie przy wtórze wszystkich!

Uwijał się między nami gazda Karpowicz, a jako stary lutnista lwowski z pod znaku Jana Gala, dzielnie nam w śpiewie sekundował. Obok gazdy, wprawiał się do przyszłego gazdowania, syn jego, Adam, dziś współwłaściciel firmy.

W tym to zbiorowym zespole dobranych kompanów, bractwa z pod znaku „przełęczy Karpowiczowskiej“ — poczesne miejsce zajmował Kazimierz Sichulski. Krucho z nim było, bo wówczas o zbyt obrazów było ciężko, chadzał w mundurku, mieszkał u „Karpia“ na wieży, zjadał skromny gulasz lub kiszeczkę i popijał cienką herbatką... Pogwizdywał z głodu, a częściej klął siarczyście — mówiąc: Ta co? do cholery ciężkiej, prędko się ten bałagan skończy?... Pewnego dnia zapytałem go — czyby nie podjął się zrobienia karykatur z niektórych członków naszego grona? — Ta dobrze — odpowiada, ale materjał kosztuje, a kto to zapłaci — kto kupi? — Poczekaj, rzekę, poszukam amatora... I wszedłem w pakt z „Karpiem“...

Umowa stanęła! Za każdą z karykatur, w miarę ich powstania, miał otrzymać Sichulski umówioną kwotę — a conto zaś tej pracy otworzył „Karp“ Sichulskiemu kredyt w postaci śniadań, obiadów, kolacyj i napojów — resztę dopłacał gotówką.

Jak na owe czasy, okazał się „Karp“ upragnionym i hojnym mecenasem.

I tak, co dnia prawie przybywało jedno dzieło, jedna cięta, gryząca lub tylko z humorem i fantazją traktowana, karykatura i zawisała na ścianie naszego gabinetu, dziś „gabinetem karykatur“ nazwanego. Każde zjawienie się eksponatu wprawiało nas w nieopisany humor i wywoływało komentarze.



Jam Tadeusz Miciński — symbol — wodogłowie,
Gwiazdy z siebie wydzielam, gwiazdy z nieba łowię.
Gdzieś w mistyczne krainy żenie mię tęsknota,
Ilekroć złowię gwiazdę, widzę, że »Nietota«.
Z poławiania gwiazd onych tak opuchłem srodze,
Iż się boję, że z przodu także gwiazdę zrodzę.

A kolekcja rosła... rosła!

Sichulski biedaczyna odgryzł się już zupełnie na ciele i na fantazji, przestał kląć, spoglądał na swe dzieła z przymrużonemi siwemi oczkami i wyrzucał z gardła złośliwo-piskliwy śmiech — hi... hi... hi! Śmiał się też, słusznie dumny ze swego mecenasowstwa — gazda Karpowicz. Śmiali się wówczas, jak śmieją się i podziwiają dziś ci, którym z poza naszego grona, danem było i jest oglądać tę wspaniałą galerję.

Znajduje się w tym zbiorze 48 kartonów karykatur osób, częścią z naszego klubu, a częścią i tych, którzy do naszego ściślejszego kółka nie należeli, ale działalnością polityczną, czy społeczno-obywatelską na uwiecznienie zasłużyli — lub ci, którzy ku wiecznej pamięci „uwiecznieni“ zostali!...

Gdy dziś rzucę okiem po tej kolekcji — widzę — że wielu, wielu już od nas odeszło!...

Kogóż bo tu nie było.

W takim tedy nastroju umysłów i ciężkich przeżyć, przetrwaliśmy zimę.

W grono nasze dostało się i szersze kółko, niekoniecznie pożądanych osób, tak, że z czasem z bólem spostrzegliśmy, że były to indywidua, które nietylko paraliżowały nasze myśli, ale głośno chciały nam narzucić swój „centralistyczny“ sposób myślenia...

Spostrzegliśmy to, niestety zbyt późno!

Było nam poprostu wstyd stykać się z tymi konfidentami — przeciwnej naszym poglądom — polityki, więc choć z trudem, powoli, powoli, usuwaliśmy się od ich towarzystwa.

Nimeśmy jednak zdążyli to uczynić, nie od rzeczy będzie, jeśli na tem miejscu wspomnę o znamiennym incydencie, jaki się na jednym z naszych wieczornych zebrań wydarzył.

A mówię o nim dlatego, że miał miejsce właśnie w owym „gabinecie karykatur“.

W kółko nasze — jak już wyżej wspomniałem — wcisnęły się osoby bardzo niechętnie przez nas widziane, i te pewnego wieczoru naprowadziły



Że pismo święte mówi prawdę — to ułuda —
Na początku nie Słowo było — ale wóda,
A nawet i ta prawda dotąd nie jest znana,
Że człek to nie twór Boga — lecz »Dziecko Szatana«.
Mydlarzu! podaj wody! i me imię wystaw
Przybyszewski ci jestem imieniem Stanisław.

nam kilku gości, pod pretekstem, że pan starosta z Nowego Targu, ten nasz prześladowca, pragnie uraczyć przybyłego z Wiednia na lustrację Czerwonego Krzyża, pana „Oberstabsarzta“...

Cóż było robić? Radzi, nie radzi, musieliśmy się wobec pana starosty okazać gościnnymi i przyjęliśmy go wraz z panem „Oberstabsarztem“ i jednym z urzędników miejscowych, do swego stołu.

Rozmowa nasza, zwykle wesoła, przycichła, humor zgasł, język odmawiał posłuszeństwa, ile że pan starosta ze swoim gościem rozmawiali po niemiecku. Nie dziwiliśmy się temu, gdyż pan „Oberstabsarzt“ był Niemcem...

Niemcem — tak, ale jak się z toku rozmów okazało, bardzo kulturalnym Niemcem. Grzecznie się skłonił, grzecznie przedstawił, bardzo trafnie prowadził dyskurs na temat wojny, na temat Polski, upajał się Zakopanem, przeplatając zwroty łamaną polszczyzną.

Słowem ten doktór, swem cygańsko-artystycznem wzięciem, garnął się ku nam.

Zadziwił nas jednak chłód, z jakim najwidoczniej traktował pana starostę... Ani się doń nie zwrócił, ani z nim rozmawiał, albo rozmawiał niechętnie, faworując ostentacyjnie nas, t. j. tych, którzy do sztabu pana starosty nie należeli.

Pan starosta swemi czarnemi, złośliwemi oczkami podpatrywał tę scenę i nie mógł nie dojrzeć tej frondy. Postanowił tedy oderwać pana „oberstabsarzta“ od nas i zaczął podszeptywać mu dyskurs na temat wojny, na temat związku austrjacko-polsko-pruskiego, w którym to sojuszu widzi zwycięstwo nad koalicją i kwitnącą przyszłość tych narodów.

Położenie nasze zaczęło nabierać niepokojących znamion.

Wzrok nasz przenosił się z oczu do oczu. Wyczekiwaliśmy z momentu na moment, kto przerwie tę berlińską apoteozę z Wilhelmplatzu?...

Twarz naszego sympatyka, „oberstabsarzta“, w miarę gloryfikacji regim'u pruskiego, mieniła się kolorem piwonji, a oczy tępo utkwiły w staroście i jego poplecznikach...

Momentalnie przemknęło nam przez myśl pytanie, czy rzucone z taką pewnością hasła tych panów z pod znaku czarnego orła, padną na po-



Gdybym mógł — tobym szlachtę całą z Polski wygryzł.
Tygrys niegdyś zażarty, dziś wypchany tygrys,
Czasu wojny lojalny byłem, byłem cacy,
Jam wróg wojny, nieśmiertelny — Daszyński Ignacy.
Pocóż mię o zasługi dla Ojczyzny pytasz,
Mojem dziełem jest przecież do Gdańska korytarz.

datny grunt pana „Oberstabsarzta“, tem bardziej, że ośmieleni jego milczeniem, dali formalny upust swej elokwencji i głosy ich się podniosły!... Wtem, stała się rzecz dziwna...

Ręka pana „Oberstabsarzta“ ciężką pięścią uderzyła w stół!

Wstał, poprosił o głos, przeprosił, że będzie mówił po niemiecku i znamiennym djalektem wiedeńskim, odpowiedział tym panom z ferworem, krótko — lecz dobitnie!

Mówił, że są na błędnej drodze, że dziwi się, że oni, Polacy, głoszą takie przekonania, że on, wiedeńczyk, nie godzi się z temi poglądami, że większa część jego rodaków jest tego samego co i on zdania i zgoła do Berlina nieprzyjaznego usposobienia. Zakończył zaś swoją płomienną mowę słowami, które nam niezatarcie utkwiły w pamięci. — Ja jestem Niemiec, rodowity wiedeńczyk, krzyczał, ale nienawidzę Prusaków. (Ich bin ein Deutscher, a echter Wianer, aber ich hasse die Preussen!)

Podniósł kufel z piwem i w szlachetnem uniesieniu, kierując się w stronę naszą, wzniósł okrzyk:

Hoch! hoch! drei mal hoch! — Polen!

Wypił do dna i usiadł.

Zaległa cisza, w majestacie której błogość łaskotała nasze uczucia.

Nie potrzebuję dodawać, że miny tych panów zrzedły, że głosu więcej nie zabierali, że pilno im było spoglądać na zegarki i usprawiedliwić pożegnanie późną godziną.

Odtąd rozluźnił się już ostatecznie węzeł towarzyski, zebrania stawały się coraz rzadsze, a reszty dokonał czas, który rozrzucił nas po kraju.

Jedni z wiosną wrócili długiemi, okolnemi drogami przez obce kraje do domów, inni zmienili lokal, aby nie wpaść w... niepożądane towarzystwo!

A karykatury są!

A karykatury, pendzla Sichulskiego, wiszą na ścianach „Karpowiczowskiej przełęczy“ — a wśród nich jedna — spowita w krwawy paragraf — pana starosty Ż...

Warto zobaczyć!

Ludwik Solski.

* * *

Do słów cenionego artysty cóż dodać, chyba żal, że brak miejsca nie pozwala na podanie wszystkich karykatur, a także, że z ciętych a pełnych dowcipnej satyry wierszy sympatycznie znanego literata p. E. Biedera udało się nam odnaleźć tylko parę, które podajemy.

Pożądanem byłoby wydanie albumu tych bezsprzecznie cennych „pamiątek wojny“ w Zakopanem, do czego może przyczyni się nasza notatka.



Na dwóch szczytach stanąłem — daję na to słowo!
Jakem Solski — uwielbiam także sztukę nową.
Sztuką nie jest ta sztuka, którą głoszą gongi,
Sztuką większą jest nieco — w »Morskiem« łowić pstrągi.
Karpowicz — mój przyjaciel, co złoci mi lato,
Z wdzięczności na swych ścianach wywiesił mię zato.



ZWARJOWANY INTERWIEW.

Mam pisać o Zakopanem! Doprawdy sam jestem ciekaw niezmiernie co o niem napisać można! Bowiem Zakopane dziś to dromedar o dwóch garbach, jednym to przeszłość, drugim to przyszłość, oba wyrastają ponad teraźniejszość! Zakopane ongi — to kultura, inteligencja, intensywna praca jednostek wybitniejszych i dążenie ad astra. Zakopane jutro, to pierwszorzędna stacja tyrystyczno-klimatyczna, to naprawdę letnia stolica Polski.

Tymczasem Zakopane dziś — to smutny teren walk dwóch, nie tyle świata championów, ile privatissime zwalczających się olbrzymów miejscowych, trzeci Giewont przygląda się tej walce ale na razie czynnego udziału w nim nie przyjmuje, rzecz prosta, i rozumie się samo przez się, że mowa tu o „Giewoncie“ skalnym a nie ilustrowanym.

Zresztą brak czasu i ochoty na zabawę w rzucanie grochu o ścianę! Nie było nas — był las, nie będzie was — będzie las, będzie Giewont stary, będą Czerwone Wirchy i Tatry niebosiężne, a w prochu legną przyziemne ambo-ambicyjki i tak opacznie a krzywo pojęte plany i zakusy stworzenia z Zakopanego, własnych idei, własnego folwarku.

— — — — — — — — — — —

Oto słowa, jakiemi na wstępie przyjął nas sędziwy mieszkaniec Krupówek.

Zastrzegłem się natychmiast, że jako niejako „homo novus“ na tle limb i kosodrzewiny obcy jestem wszelakiemu samogwałtowi poczynań tutejszych, zgłaszam się zaś po objektywnie ujęty interwiew, jako zwykły śmiertelnik.

Panie, usłyszałem w odpowiedzi, od pana jedzie dziennikarzem z Warszawy.

Czem skorupka za młodu, wtrąciłem minorowo...

Tem na starość kaleczy, zakończył mój sędziwy interlokutor, lecz nagle ożywiając się, rzekł:

Więc pan chcesz usłyszeć moje zdanie o Zakopanem.

Prosiłbym...

Zdanie objektywne?

Tylko takie ma dla nas wartość.

No, więc notuj pan — proszę.

Stenografuję, odrzekłem, dławiąc oddech w piersi, gryząc ołówek, i jedną ręką trzymając się za głowę, drugą schwyciłem za klamkę, kurczowo trzecią trzymając ołówek.

Zakopane... to raj!

Aj! — wyrwało mi się mimowoli.

Co się panu stało?

Nic, ołówek stanął mi dęba i... złamał się.

Zatemperuj pan.

Zrobione.

Pisz pan dalej.

Zakopane to raj, oświetlony al'lampada.

Co to znaczy?

Pan nie wie?

Doprawdy — jak to rozumieć... spytałem półgębkiem...

Po hiszpańsku panie — al'lampada, czyli jak lampa da światło to masz co kilometr świeczkę, a w dzień słońce, chyba że jest pochmurno.

Aha! odetchnąłem.

Więc oświetlone al'lampada — ma pan?

Mam, bąknąłem niesamowicie...

Zakopane to oaza w pustyni, ma wszelkie udogodnienia — ma pan udogodnienia?

Ja mam... ale Zakopane...?

Pisz pan, od rana wszystkie sklepy otwarte, w nich dostać można czego kto chce, i za ile nie chce, wszędzie gra muzyka, zwłaszcza w parku, na skwerach i przy kaskadach...

Ależ niema przepraszam... żadnych...

Nic nie szkodzi, pisz pan dalej!

Zakopane cieszy się ogromną frekwencją gości zwłaszcza w porze sezonowej, dostających ostrego szału z nadmiaru rozkoszy, wygód, taniości i t. d. Uprzejmość mieszkańców, sięga zaparcia się... ma pan zaparcie?

Dziękuję — ale jestem zdrów...

Tak się to mówi — dopieroś pan przyjechał, otóż aha! — Liczne pensjonaty, pod opieką stu wdów pałających...

Przepraszam, ale nie rozumiem.

Sztuka, tego tu nikt nie rozumie, a to takie proste, ot bierze się jedną wdowę, pół chałupy i ćwierć kartofli — ma pan kartofle?

Miałem dwa wagony ale w zimie sprzedałem...

Ale napisane...

Właśnie, właściwie to te kartofle były tylko napisane, bo w rzeczywistości był tylko fracht.

Panie, pan z Warszawy?
Nie, z Łodzi.
A to przepraszam.
Nic nie szkodzi — jedźmy dalej.
Otóż taka wdowa.
Jedna wdowa?
Czasem dwie — pół chałupy — tuzin talerzy, sześć widelców i garnek do barszczu — to już razem pensjonat, a mimo tak prostych środków i najprymitywniejszych urządzeń, można przy wygórowanych cenach osiągnąć stopę utrzymania Ostendy lub Nicei.
Zdumiewające.
Nieprawdaż!?
Przepraszam, wtrąciłem, ale przecież Klimatyka ustanawia ceny i...
Nic nie szkodzi — jedź pan dalej, Klimatyka dużo rzeczy robi, a to jeszcze niczego nie dowodzi.
Ale gmina...
Gmina ma na głowie wybory i miał węglowy, którym wysypuje ulice, by praczki miejscowe z miału miały zarobek — masz pan zarobek?
Po 30 groszy od wiersza w „Giewoncie".
To niewiele — jedź pan dalej.
Ba, ale dokąd i za co?
Do Morskiego Oka, autem na gapę.
Dziękuję, jeszcze mi życie miłe.
No to siedź pan i pisz dalej. — W swoim czasie — masz pan czas?
Skoro jestem w Zakopanem.
To musisz pan mieć jeszcze dużo pieniędzy, jeszcze więcej cierpliwości, dużo optymizmu...
I zdrowe płuca, dodałem.
A to poco?
Ze względu na tumany kurzu,
Przedewszystkiem na Krupówkach niema kurzu, bo jeżdżą beczkowozy.
Ale na innych ulicach...
A któż panu każe łazić po innych ulicach?
Myślałem...
Jak pan jesteś dziennikarz, to poco myśleć, a po drugie, jak śnieg spadnie, to kurzu wogóle niema.
To w zimie, ale w lecie...
Mój panie u nas i w lecie może spaść śnieg, bo chyba nie powiesz, że w Zakopanem panują upały.
To nic, a jednak wczoraj było mi gorąco.
Nie chodź pan po kabaretach.
Kiedy to był zwykły rachunek w...
Nic nie szkodzi — ale wracając do interwiewu, otóż Zakopane ma moc rozrywek, więc teatr, kilka kinematografów, kasyno, rozliczne kawiarnie, dancingi, muzeum wiecznie zamknięte, wystawę obrazów stale otwartą gdy nikt nie przychodzi, ma dwie apteki, 160 warsztatów kunsztu szewskiego.
Czy nie zawiele...?
Może, ostatecznie — w Zakopanem każdy umie buty uszyć, 240 kuśnierzy.
A to poco?
Jakto — a któż panu kurtę skroi?
Zaco?
Za dolary.
Nie — ja...
Ja też nie.
Więc co?
Albo ja wiem.
I to się u pana nazywa interwiew?
Kiedy ja nic nie rozumiem.
A to poco — pan myśli, że ja rozumiem, że wogóle w Zakopanem kto rozumie o co chodzi, poco i dlaczego? Robi się nic nie robiąc i jest zrobione.
Ale co?
Nic i w tem cała sztuka, w sezonie i tak miejsca niema!
Tak jest pełno?
A pełno.
Więc o co chodzi?
Albo ja wiem?
Więc zdaniem szanownego pana, wszystko jest jaknajlepiej.
W Zakopanem? Naturalnie!
No tak — rozumiem...
Nareszcie, więc teraz już pan wie.
Niby wiem.
Interwiew pan ma?
Interwiew? — Napisałem!
No to czego pan chcesz jeszcze?
— — — — — — — — — — —
Wobec powyższego, skrupulatnie zanotowanego djalogu, straciłem najzupełniej jasny wątek myśli, przesyłam więc mój wywiad dla „Giewontu", spieszę do Orbisu po bilet i zmykam.

C. P. R.

Przypisek redakcji.
Wobec pobranego zgóry honorarjum, interwiew zniewoleni jesteśmy umieścić, może kto co z tego zrozumie.





H A L N Y.

Wiatr halny!

Czyż tylko?

Oto w chmur spowiciu jako na sarkofagu wieków, spoczywa Giewont tajemniczy.

Sni od stuleci, sen przeszłości cudny, majaczą mu się w zbrojach srebrnych rycerze skrzydlaci.

Śnią mu się dziewy krasnolice, puharów brzęk, a lutni gędźba przesłodka.

Śpi Giewont w chmur spowity przędziwo.

Aż oto drgnęła granitu pierś mocarna, dreszcz przebiegł szczyty gór.

Ocknął się Giewont z snów, omotan leży na kamiennej pościeli, bez ruchu, bez władzy, uwięzion stutysięcznych ócz spojrzeniem.

Jako pajęcze nici biegną ku niemu głodne szczytów źrenice, i więżą mocarza.

A Giewont chciałby powstać, chciałby strząsnąć z siebie wieków pleśń i stuleci mchy szmaragdowe, gotów strącić nawet ów krzyż, którym jak stygmatem męki usta mu zamknięto i ruszyć w świat, w błękity, w chmur opalowe błyski — ku słońcu!

Dreszcz grzbietu gór, wstrząsł limb surowych ciemnym pióropuszem, podał zew wichrem targany świerkom wyniosłym, przypadł w kosodrzewinie, i rozdzwonił się a rozjęczał w purpurze krokusowych pól błysku.

Giewont się budzi — więżą go źrenic ludzkich pajęcze przędziwa.

I oto w naturze cisza legła, by poszept gór tem łacniej usłyszeć, pochyliły się czuby drzew, by w pokłonie, zakotłowało w dolinie, runął grom...

Halny rozwinął wichrowe skrzydła a z granitów sarkofagu Giewont uniósł się, by powstać i sięgnąć ku słońcu.

Halny szumi, halny tupotem wichru gra i biegną w schron czarniawy ludzkiego mrowia i opadają więzy spojrzeń z kamiennych bark i Giewont dźwiga się mocarny z chmur...

I zeszedł, by surm bojowych graniem, wichru halnego grozą poprzedzon i kłaniały mu się czuby świerków puszystych, i brylantami siały drogę potoków kaskady...

A Giewont szedł, szedł zwolna a krzepko i w doliny zieloną zstępował ruń.

I oto ujrzał niskie przyziemne chaty, ujrzał trwogi bladej lęk, i dziew krasnych lica, przybladłe, i ujrzał całą nędzę dni naszych, całą przeokropną beznadziejną szarzyznę ducha, myśli i poczynań człowieczych i stanął bezwolny na rozdrożu.

A halny wył, gontynami chat trzeszczał, czupryną lodów trząsł, tumanem kurzu i popielisk rozruszonych świat krył, i Giewontu przeogromną postać szarym obłokiem słonił.

A Giewont stał i na osiedliszcza ludzkie spoglądał, i wraz z chwilą każdą szarzał i posępniał, naokół piorunnym źrenic błyskiem ognie z krzesanic miotał i — gasł.

A halny wył, huczał, zawodził, by ludzką czerń trzymać w zrębie chat, by obłędem strachu ku ziemi przygiąć najhardziejsze z bark i Giewontowi swobody mgnienie dać a wytchnienia.

A Giewont na rozdrożu stał i ludzkich poczynań nędzę spojrzeniem ogarniał, aż zwrócił kamiennych stóp ślad ku Tatrom, tam szczytów i drogi k'słońcu szukając...

Daremno!

Halny wył, szamotał lasem drzew, skrył Tatry, słońce skrył...

A Giewont na rozdrożu stał, na oślep drogi szukać jął, od nędzy ludzkiej precz, ku szczytom Tatr, ku słońcu... I szedł mocarny kolos skał na oślep... przed się... aż doszedł granitowego łożyska sarkofagu, z którego wstał...

Raz jeszcze spojrzał wstecz, żali nie ujrzy uśmiechu choć jednych krasnych lic...

Daremno... Zbatożył ludzkie stado lęk, zapędził w mrok trzeszczących chat!

Ku słońcu Giewont uniósł wzrok...

Nie widno słońca z za chmur!

Tatr choćby dojrzeć szczyt... śniegów wieczystych biel... Daremno!

Pustka i głusz, huragan, wichr, nocy mrok, i obłędny stada ludzkiego lęk...

Ni jedna perć skalista orlostopą górala mocą żywa, ni jedna z chat uśmiechem rozdzwoniona, ni krasnych lic, ni słońca, ani Tatr...

I legł w granitów sarkofagu Giewont na dawny sen, spowity w całun chmur.

A halny wył, i trząsł czubami drzew.

AKS.

Z SEZONU LETNIEGO W ZAKOPANEM.



Przyjazd.

Pierwsza dorożka z kufrem lub walizką jak pierwsza jaskółka wiosnę, oznacza w Zakopanem rozpoczęcie letniego sezonu.

Jak za dotknięciem czarnoksięskiej różdżki, jak uśpiona księżniczka pod całusem królewicza z bajki, tak pławią się pod słońca pieszczotą Krupówki, śmieją barwnemi oknami wystawy magazynów, dzwonią muzyką kawiarnie, zacierają ręce wszyscy, którym jest dane wziąć daninę taką czy inną z przybywających gości.

Sezon się rozpoczął!

Jest to co prawda anachronizm, gdyż obecnie już sezon w Zakopanem trwa właściwie cały rok — ale tradycja w słowie, choć myszką już trąci, utrzymuje się nadal, przynajmniej wiosna tem usprawiedliwia wszelkie mycia, szorowania, malowania i t. d.



»Cepry«.

A więc sezon letni w Zakopanem w tym roku dał...

Ba czego nie dał?!

Przedewszystkiem i zaznaczmy to na wstępie, dał dużo rozczarowania miejscowej ludności.

Nie wiem czy wpłynął na to złoty, czy podatki, czy inne konjunktury, dość, że jak trafnie zapewne określił to jeden „Krupówczanin“, urodzony nie tyle na Krupówkach ile w Samborze, a pochodzący z Przemyśla... dużo bardzo więcej zjechało latoś i musi, wszędzie gorąc okrutny, bo wszyćkie „cepry“ t. j. goście przyjechali gołe...

Istotnie, jeżeli już trzeba wybrać patrona obecnego sezonu, to najodpowiedniejszy byłby, turecki święty!



Na Krupówkach.

To też choć sezon letni był rojny i gwarny, niemniej pożytku z niego niewiele.

W kawiarniach i restauracjach zbyt miały przeważnie herbatka i kawa oraz, o horor, urzędowe obiady, i tak zwane zwyczajne, trzeba przyznać lepsze i tańsze, niż gdzieindziej.

Przyjezdnych zdaje się zwabiła tym razem coraz bardziej szerząca się fama, że Zakopane nie jest tak drogie, w każdym razie nie droższe od innych miejscowości, a góry i Tatr szczyty wraz z przecudnemi wycieczkami mają swój urok i coraz większy wywierają wpływ.

To też kogo tu nie było!

Kogo się nie spotykało!



W słońcu.



W cieniu.

Ludzie, którzy się od lat nie widzieli, i nie wiedzieli o sobie, raptem ni stąd ni zowąd spotykają się pewnego poranku na Krupówkach.

Pierwsze pytanie niezbyt świadczące o logice lecz wymownie stwierdzające wyczerpanie mózgów, brzmi: A! Pan tu przyjechał? Zupełnie jakby ten ktoś z pod ziemi wyskoczył.

Odpowiada się stereotypowo:

A tak, przyjechałem.

Potem odrazu wsiada się na rasową i dobrze ujeżdżoną szkapę „drożyznę" i jazda po Zakopanem! Zwłaszcza używają na tym sporcie panie.

Wogóle ludziska skarżą się tu na wszystko a np. nigdzie się tak nie jeździ gładko — mimo wzgórz i dołów — jak właśnie po Zakopanem!

Pani złota, ależ to dziura!

Paniusiu, a jak ze skóry obdzierają!

Paniusieczku, poco my tu przyjechali?!

W Marjenbadzie taniej, pisze mi przyjaciółka.

Na Rivierze połowę tegobym wydała, mówił mi kuzyn!

I dalej na ten temat wiesza się psy „na perłę Tatr", której psy, nie perły, z rozporządzenia gminy muszą nosić kaganiec, by nikomu nie przeszkadzać w tej zabawie!

A Zakopane jest cudne!

Giewont drwiąco się śmieje z „ceprów".

A Czerwone Wierchy, Świnica, Gerlach stary aż się zanoszą ze śmiechu nad bezdennem, plotkującem, bezdusznem i bezmyślnem rodem człowieczym.

Mimo a raczej oprócz zdyskwalifikowanej lub redukowanej „jenteligencji", która naprawdę w letnim sezonie była straszna, spotyka się, jak zwykle w Zakopanem, nazwiska mocne i silne, które same mówią. Oto sędziwy Rosen, Wojciech Kossak, oto Axentowicz idą wolno lubując się słonkiem i starannie omijając egipcjanki z Łodzi i Warszawy, rozgłośne swym szczebiotem i jaskrawą gamą barw, niemożliwych svetrów, jumprów i t. p. cudactw. Tam na werandzie siedzi mistrz Kasprowicz, obok Solski, z dawniejszych bywalców nie widać dotąd Frenkla, dotąd nie przyjechał Makuszyński i t. d.

Pań strojnych, eleganckich mało, jak na lekarstwo, podobno zamierzają zjechać w jesieni i na zimę. Zato nie brak hożych, bujnych Hel, Zoś, Maniuś i flirt nieśmiertelny kwitnie równie dobrze z dorodnym góralem, jak z wymo-



Flirt.



Biegi.



Konkieta.



Trzy boginie.



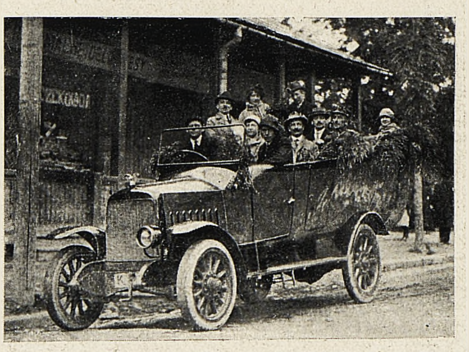
Za chlebem



Kwiatek.



Zbiórka.



Wycieczka.

kłym ceprem, który opala się na gwałt na słońcu, by zdobyć choćby dla łysiny, patynę bronzu i dorównać choć w części poopalanej jaknajwszechstronniej płci pięknej. Chociaż nawet słońce w tym sezonie nie dopisało i nie dopiekło jak należy.

Nie zawiódł jedynie „Tydzień Tatrzański" wyposażony bogato w odczyty, koncerta, przedstawienia, ba, nawet raut, loterję amerykańską i sprzedaż znaczka, dając w rezultacie wcale pokaźny zasiłek.

Wogóle już na brak rozrywek nie można się uskarżać, bowiem nie było ich wcale, od czasu do czasu koncert, przedstawienie, odczyt, wieczór recytatorski, wszystko razem anemiczne udziałem publiczności.

Jeżeli nawet kabaret w Morskiem Oku po miesiącu został zlikwidowany, to chyba wystarczy.

Powodzeniem cieszą się „dancingi". U Trzaski miejsca brak, ale też doskonała orkiestra i wyborna para taneczna Marjan-Ralf, jak też słynna piła p. Meladysty, świadczą najwymowniej, że o ile się publiczności coś da — to w Zakopanem powodzenie pewne. Chociaż znów konserwatysta i tradycjonał Karpowicz, nie cierpi dancingu a ma też pełno jak nabił, oprócz tego ma spokój i rację!

Większość przyjezdnych, nie mając zbytnich funduszów, ma ostry szał turystyczno-taternicki i lata bez wytchnienia do Morskiego, Kościeliskiej, Strążyskiej, jednem słowem gdzie ich nie posiejesz, wyrastają całe gromady, zaśmiecając najpiękniejsze zakątki papierami i resztkami włóczonych z sobą wiktuałów, i obrzydzając najskuteczniej wycieczki prawdziwym miłośnikom przyrody.

Naturalnie nie brak i tu przemiłych buziaków a nawet dzielnych piechurów, ale młodzież to, która z zachwytu trzaska w górach, z czego nader niewiele ma Trzaska i inne doliny tatrzańskie i Oka choćby perskie, tak bowiem zwał się zlikwidowany kabaret, nawiasem mówiąc, przy wcale dobrych siłach, lecz pozbawiony najzupełniej fachowego kierownictwa. Zato orkiestra w Morskiem Oku była bardzo dobra, lecz publiczność tego sezonu, zamiast na werandzie, nawiasem mówiąc największej i najładniejszej, wolała słuchać koncertów... czyniąc zbiegowisko na ulicy i taniej i weselej.

Życie zresztą ogniskowało się głównie na świeżem powietrzu a już zwłaszcza na Krupówkach.



Na miejscu.



Piła.



Na polance.

Nie było dnia bez atrakcji: to wyścig piechurów, to raid samochodowy, to zlot sokołów, wieczornica góralska, dzień w dzień coś nowego, a że koszt uczestnictwa w tych rozrywkach był minimalny, bo żaden, więc rojno i gwarno całe falangi „ceprów“ korzystały z słońca i pogody, muzyki i zabawy — na darmochę.

Zato jakże człowiek oddychał całą piersią, gdy udało mu się wyrwać z roz-jazzbundowanej bandy, i znaleźć się w urocznie pięknym zakątku, zdala od całego jarmarcznego wrzasku i egzotycznego pele-mele sezonu.

Egzotycznego, bo od wielbłąda począwszy a na mulacie skończywszy, mieliśmy tu najróżnorodniejsze ekstrawagancje, bo był nawet cyrk, ale zwinął namioty po tygodniu, gdyż publiczności w głowach się pomieścić nie mogło, że trzeba bilety kupować w kasie, co jedna z pań przyjezdnych opatrzyła nadto sprawiedliwym okrzykiem oburzenia, że doprawdy nie wiadomo od czego jest ta Klimatyka, żeby nawet takiej drobnej rozrywki nie dostarczyć przyjezdnym bezpłatnie!

Słowem sezon się nie udał, ale nikt na tem nie traci, bo chociaż to będzie paradoksem, ale obecnie w Zakopanem sezon właściwie się zaczyna, gdy się właściwy kończy!

Jesień tu bywa najpiękniejsza a trwa do pierwszego śniegu, z którym równocześnie spadają narciarze i rozpoczynają się zawody, wraz z t. zw. sezonem zimowym, saneczkami i całą masą urozmaiceń opromienionych słońcem, roziskrzonem w miljardach śnieżno-djamentowych lśnień.

To też ciszej teraz od połowy września, ale o ile piękniej, mniej gości, ale zato o ileż cenniejszych!

To też kto naprawdę ceni góry i może sobie na to pozwolić — właśnie teraz przybywa na wypoczynek — i w tem tkwi tajemnica coraz bardziej zacierających się przerw sezonowych w Zakopanem. Latem ścisk, owczy pęd, wrzawa, zgiełk, ciasnota i zamieszanie. Jesienią cisza, spokój, przyjezdni pełni kultury, no i pieniędzy, a ceny ogólnie niższe, zwłaszcza po pensjonatach i na mieszkania, których brak nie daje się w tej porze odczuwać zupełnie, co zresztą w najbliższej przyszłości będzie napewno anomalją i przejdzie do legendy, gdyż może nigdy Zakopane tak się nie rozbudowało, jak obecnie.

W rzeczywistości, naprawdę, mówiąc całkiem i najzupełniej serjo, to cała rzecz z pobytem w Zakopanem ma



Widok z bajki.



Kierdel.



Na hali.



Rywale.



Bagatela.



W gęstwinie.



Wanda Nowetti, tancerka salonowa. Dancing w Tatrzańskiej.

się stanowczo mimo gór i cen krzywizny, znacznie prościej niżby się zdawało.

Najważniejsze to, kto przyjeżdża.

Cudowna ta miejscowość, ma bowiem swoje kaprysy, jak piękna kobieta, a że jest stokroć piękniejszą, no więc i kaprysy ma sroższe.

Otóż, ludzie starsi i bardziej spostrzegawczy dawno to już zauważyli — skoro tylko do Zakopanego zjedzie falanga sezonowiczów nieodpowiednio gotówkowo wyekwipowana, nie dość kulturalnie że tak powiem wyposażona moralnie, choćby zresztą była nieco amoralna, na to przyroda górska się nie obrusza, wtedy zaczynają się dąsy.

Najprzód zaczyna się robić trochę zimno!

Potem trochę ciemno, słonko bowiem na znak kapryśnicy chowa się za góry.

Giewont zaczyna się złośliwie uśmiechać.

Deszcz zaczyna przesłodką swą symfonję.

Dzień, dwa, trzy...

Wreszcie słonko wygląda ciekawie, są niepożądani, nie zwiali, a no to od początku.

Znów zaczyna się trochę zimno, trochę ciemno, bardzo dużo mokro, cepry intruzy chodzą jak połamane taterniki, czekają z dnia na dzień pogody i... wieją.

Ten system kaprysów stosuje Zakopane do niepożądanych gości, tak długo, aż zostanie a raczej z nowo napływających się zbierze — sama śmietanka, sam miód... W Szczawnicy powiedzieliby sam cymes.

I wtedy się robi odrazu, ni stąd ni zowąd słonecznie, cudnie i pięknie.

Otóż jak zaznaczyłem obecnego lata zjechały takiego „gatunku“ cepry, że nietylko słonko dało nura, ale nawet sam Karpowicz miał tego dosyć i wyjechał nad morze.

Ale teraz wróci, bo najcudowniejsza w Zakopanem jest jesień!

Bajki, że tu deszcze!

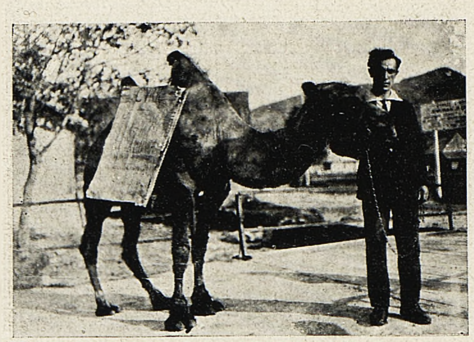
Bajki, że zimno, ponuro, smutno!

Wierzcie na słowo, skoro was tu niema (mówię tu o was, o powojenna elito!) rozjaśnia się słońce, góry, horyzont, słowem oczyszcza się cała atmosfera!

Otóż to jest pierwszy i najważniejszy sekret „kto przyjeżdża“ i od tego zależy aura Zakopanego.



W smoczej grocie.



Egzotyczny gość.



Panna.

Drugi punkt! Poco się tu przyjeżdża! I to jest niemniej ważne!

Dla zabawy i rozrywek?

Narazie niema się do czego spieszyć.

Dla kuracji?

Nonsens!

Dla wypoczynku?

Aha właśnie!

Dla jaknajtańszego urządzenia się w lecie za psie pieniądze?

Najgorzej.

Więc poco?

Do Zakopanego przyjeżdża się poto, co Zakopane ci samo z dobrej a niewymuszonej woli — da! A więc przyjeżdża się bez rachuby małostkowej, bez zagranicznego paszportu, bez ołówka do skrzętnych notowań ile kosztuje herbatka a ile bułka! Jak do kochanki spieszysz dla niej samej, tak przyjedź do Zakopanego, a opromieni cię słońce uśmiechu, radość powitania, deszcz, bo i to bywa, ale to będzie wtedy deszcz pocałunków...

Do Zakopanego przyjeżdża się z cichą gór tęsknotą, z umęczeniem życiowem, z głodem wolnego piersi tchnienia, no i z gotówką!

Trudno, niema karesu bez interesu, a najbardziej idealna, wysubtelniona i przepoetyczna miłość, pociąga za sobą wydatki.

A więc kto, poco — a teraz trzecie i ostatnie, dlaczego?

Otóż to, do Zakopanego nie należy przyjeżdżać po to tylko...

By odsądzać od czci i wiary wszystko i wszystkich.

By na wszystkie zarządzenia, urządzenia, zdarzenia, nieporozumienia mieć tylko zgryźliwość, zrzędność, przekorę, złośliwy kalembur, cały ten bagaż zostawcie wraz z żółciowemi kamieniami — w domu.

Będzie wam lżej i w Zakopanem, nie tylko lepiej ale nawet dobrze, bardzo dobrze.

Pocóżby się wogóle wyjeżdżało, żeby nie ta kolosalna przyjemność.

Nieprawdaż? Otóż urągajcie zdrowo — a kto raz był w Zakopanem — i tak znów tu przyjedzie.

Marjusz.



Marion, tancerka excentrique. Dancing u Trzaski.



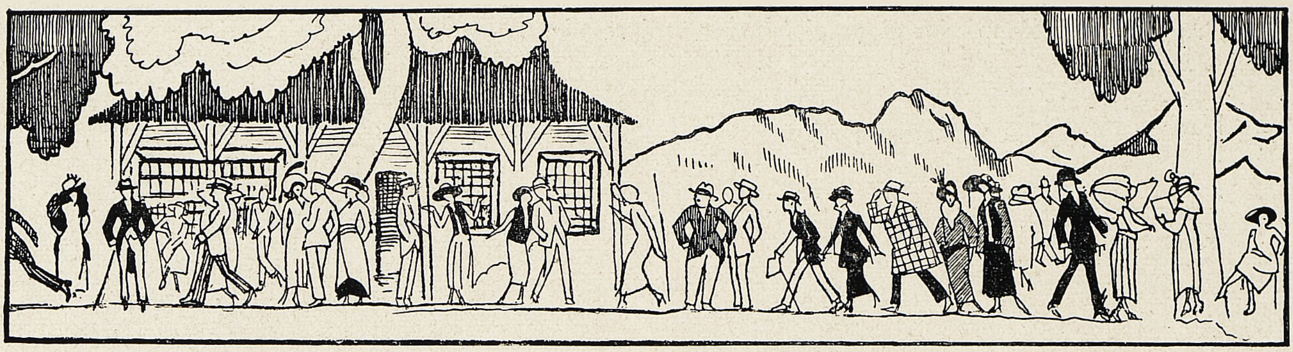
U Trzaski.



Faworyt.



Odjazd.



CEPROM WSZELAKIM RAD KILKORO.

Gwiżdż na Tatry, gdy Ci znane
Krupówki i Zakopane,
W słońcu złotem gdy skąpane
Jakże bliskie — jak kochane.

Tu się radość życia treści,
Tu używaj co się zmieści,
Wszystko wzrok, słuch, nos twój pieści
Do ekstazy, do... boleści!

W dali widne gór kontury,
Tu — Europa! Aut mkną sznury,
Kurz się wznosi w kształcie chmury,
Kształty pań noszą — ażury.

Czujesz się jakbyś był w niebie,
Śmiejesz się — śmieją do Ciebie,
Pieski zachwyt cię kolebie
Na Krupówkach, boś u siebie.

Tu, poprostu, nie do wiary,
Nie wiesz Nizza czy bulwary
Cotty, Haubigant, aut smary,
W lot mieć możesz — memoiry!

Byś mógł co dnia wdychać pranę,
Cielsko w wichr turń miał skąpane,
Odkop skarby zakopane,
Kopnij się via Zakopane!

Zakopane baśń to z feerie,
Więc korzystaj z letnich ferji,
Drapnij z miejskich peryferji
Z dni otrząśnij się mizerji.

Tu odżyjesz, zbędziesz ciała,
Dusza będzie Ci się śmiała,
Od żony — odgrodzi skała.
Ceper z ciebie choć żeś pała!

Byś u pań miał większą wagę,
Plecak kup se i ciupagę,
W taternicką wpraw się blagę
I u Karpia pij malagę.

Potem łżąc na całym froncie,
Gdy się wyśpisz już gdzie w kącie,
Mów, że byłeś — na Giewoncie.
Serjo łazić Boże broń cie!

Warjat skalne zbija progi!
Butów szkoda, szanuj nogi,
Siły chroń dla swej niebogi.
Jawa, shimy to twe drogi.

Ceń to co masz z Bożej łaski,
Chcesz gór — no to masz obrazki.
Twój sport »jazzbandowe« wrzaski!
Więc na dancing mknij do Trzaski.

Tu co wieczór sarabanda,
Tańczy Marion, Rachel, Wanda,
Smakowita to speranda,
Każda objąć bo swój stan da.

W górach, w górach, miły bracie!
W Zakopanem wkrąg je macie.
Tu czar życia czeka na cię,
Weź choć dzionek w pensjonacie.

Noc niech będzie pod zasłoną,
Makuszyński rzekł tam pono,
Coś o duchach, że... brojono,
Dziś już drzwi — naoliwiono...

Wszędzie cicho, grzecznie, ładnie,
Co poczyna duch, któż zgadnie?
Gdy trenujesz się przykładnie,
Nic nie trzaśnie, choć... upadnie! —

Zważ, o chłopca tu najtrudniej,
A niewiasta — ileż złud w niej?!
Tyś sam — chociażby najludniej,
Więc używaj, jak pies w studni.

Czyś jest młody, czyś jest stary,
Prosty, krzywy, zdechły, jary,
Józef zwiesz się, czy Makary,
Strzeż się — wkrąg, bo — Putyfary!

Choćbyś miał i dziesięć płaszczy
Każda jeden, gdy ci staszczy,
Ostatnia się na cię złaszczy,
I czy chcesz, czy nie — przywłaszczy!

Zato masz rekompensaty,
Przywilejów całe światy...
W obiad wódzię, drób, sałaty,
Czasem — gdy mąż zjedzie — baty!

Na Krupówkach, gdyś jest — caca!
Niczem między owce baca,
Każda oczy ci wywraca,
A ogniste są by raca.

Tu dziewczęta, tu mężatki,
A na każdej strojne szatki,
Każda szuka wrażeń gratki
I przypina bliźnim łatki.

Ty się nie martw — zerkaj bokiem,
Szoruj równym, męskim krokiem,
Tu i ówdzie zawadź okiem.
Koncert masz pod »Morskiem Okiem«.

Że największa to werenda,
Mniejszość się tu słodko szwenda,
Jazz-band-argot brzmią horrenda,
Z gór nie zbłądzi tu przybłęda.

Za werendą, schody, dziura,
Za schodami — tuż... kultura.
Teatr! Muz progenitura
W nurt kastalski daje nura.

Gdyś napoju, jadła syty
Masz tu dramat, śpiew, odczyty,
Lecz nie codzień jesteś bity,
Patrz, jest afisz? Chłoń zachwyty!

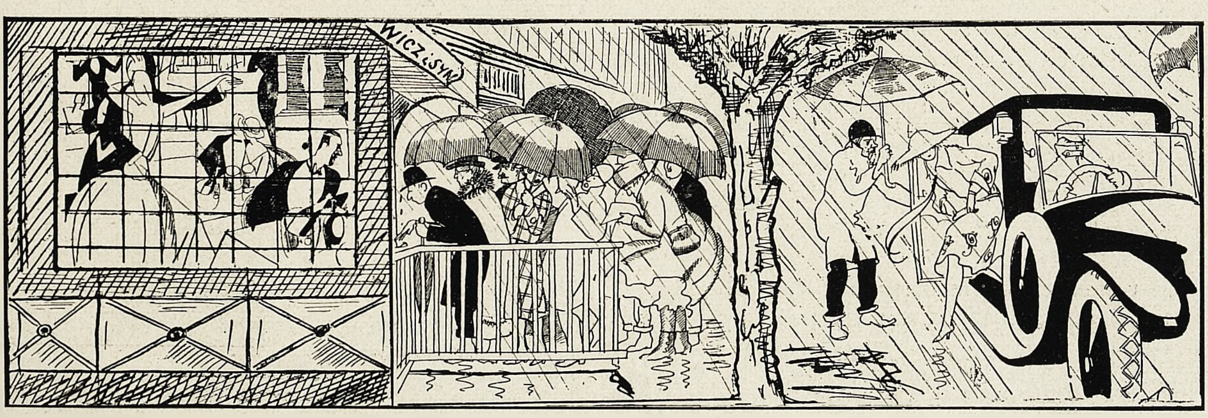
Od Didura do Kaweckiej,
Boy — Dante-Baranowiecki,
Fraka czerń, czy dekolt kiecki,
Łączy złota kult zdradziecki.

Gdy już masz narowy pańskie,
Zajrzyj jeszcze do Tatrzańskiej,
Czytaj w win karcie szampańskiej
Przy... herbatce podhalańskiej.

Świeci księżyc — Giewont mruga!
W pensjonatach śpi — zasługa...
Płynie wartko Bystrej struga,
W knajpkach bystrzej płynie druga.

Gwiżdż na Tatry, gdy ci znane
Krupówki i Zakopane,
Cudne w dzień, słońcem skąpane,
W noc cudniejsze... gdy zawiane...

MORS.





Karol Kwaśniewski.
Redaktor „Głosu Zakopiańskiego".

Wysiłki w kierunku stworzenia prasy zakopiańskiej, sięgają wielu lat wstecz, a próby wydawały mniej lub więcej udatne rezultaty.

Pierwsza próba stworzenia organu miejscowego, datuje się z roku 1891. Zaczęło w roku tym wychodzić p. t. „Zakopane", którego wyszło parę numerów. W roku 1892 wychodzi „Kurjer zakopiański", w roku 1893 „Gazeta zakopiańska", wydawcą jej był S. S. Będzikiewicz, a redaktorami naprzód Walery Eljasz, później Z. Turowicz. „Gazeta zakopiańska" z roku 1893 wychodziła niespełna cały rok.

W roku 1899, zaczął Feliks Doerfler wydawać pismo p. t. „Zakopianin", z którego urodził się „Przegląd zakopiański" wychodzący przez lata 1899 do końca 1905, a więc przez około siedmioletni okres. Było to więc pierwsze zakopiańskie pismo, o charakterze stałym, a pod względem redakcyjnym stało na bardzo wysokim poziomie. Redaktorem jego był Dyonizy Beck, a w współpracownictwie brali udział bardzo wybitni ludzie, że wspomnimy tylko St. Witkiewicza, Mieczysława Limanowskiego, K. Tetmajera.

W roku 1902 zaczął się ukazywać finansowany przez dr. Chramca a redagowany przez Ciąglewicza „Giewont", skierowany przeciwko „Przeglądowi zakopiańskiemu", walczącemu w tym czasie z ówczesną radą gminną i jej naczelnikiem drem Chramcem. Pismo to jednak po wydaniu 10 numerów, zakończyło swój żywot.

W roku 1903 i 1904 wychodzi jako dodatek do „Głosu Narodu" „Tygodnik zakopiański", redagowany przez red. Beaupre i Rogoszową.

W roku 1907 przystępuje biuro klimatyczne do perjodycznego wydawnictwa p. t. „Zakopane", którego redakcję i ryzyko wydawnicze obejmuje w roku 1908 komitet wydawniczy z dr. Józefem Żychoniem na czele. Pismo to zaczyna w roku 1908 nabierać charakteru poważnego i stałego wydawnictwa i na tym poziomie utrzymuje się aż do wybuchu wojny t. j. do połowy 1914 roku. W wydawnictwie tem brał czynny udział w ostatnich przedwojennych latach obecny prezez T. K. U. Józef Diehl. Wojna i jej specyficzne warunki podcięły byt dobrze i silnie rozwijającego się organu zakopiańskiego. Te warunki też przyczyniły się, że przez siedmioletni okres t. j. aż do roku 1921 Zakopane pozbawione było w zupełności swego pisma.

W roku 1921 zaczyna wychodzić „Gazeta zakopiańska". Wydawał ją liczniejszy komitet, w skład którego wchodziły jednostki z czysto narodowego obozu, z śp. inż. L. Krobickiem, dr. Józefem Diehlem, obecnym posłem i nacz. gm. p. Kozłowskim, M. Sędzimirem i innymi na czele. Pismo to w okresie wyborów do sejmu i senatu oddało duże przysługi sprawie narodowej. „Gazeta Zakopiańska" zaczęła nabierać charakteru pisma stałego i przetrwała lata 1921, 1922 i część 1923 roku. Brak jednak stałego sprawie oddanego redaktora i dorywczość pracy odbiły się na wydawnictwie zgubnie, gdyż w roku 1923 z wiosną pismo przestało wychodzić. Podjęte próby w lecie 1923 r. wznowienia wydawnictwa spełzły na niczem.

Wreszcie w roku 1923 latem, podjął jeszcze jedną próbę stworzenia miejscowej prasy obecny wydawca „Głosu Zakopiańskiego" p. M. Skibiński.

Na dzień rozpoczęcia wydawnictwa wybrano dzień przyjazdu do Zakopanego Prezydenta Rzeczypospolitej p. St. Wojciechowskiego. W dniu tym t. j. 4 sierpnia ukazał się 1-szy numer „Głosu Zakopiańskiego". Brak poparcia i wreszcie trudne warunki wydawnicze na terenie Zakopanego tamowały rozwój pisma aż wreszcie w grudniu zmusiły wydawcę do chwilowej przerwy.

Dzięki jednak poparciu pewnych kół z gremjum właścicieli pensjonatów „Głos Zakopiański" podejmuje w lutym 1924 r. znowu wydawnictwo z redaktorem Karolem Kwaśniewskim na czele.

Pismo dzięki zabiegom nowej redakcji i dużemu nakładowi pracy, zaczyna się rozwijać a dla zwalczenia technicznych trudności wydawniczych przestaje drukować się w Zakopanem i przez jakiś czas drukuje się aż w Lublinie, a obecnie w Krakowie.

Poza tem ukazuje się sporadycznie na terenie Zakopanego jednodniówka w wydawnictwie i redakcji p. Adama Czerbaka, poświęcona sprawom lokalnym. *W. S.*

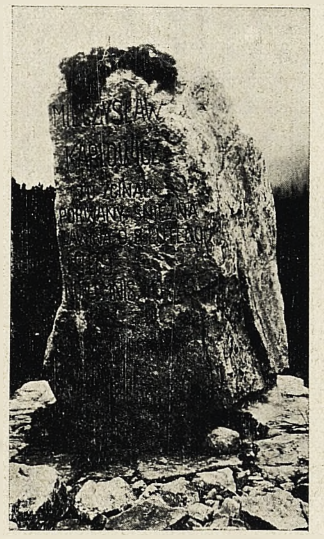


M. Skibiński.
Wydawca „Głosu Zakopiańsk".

ZAKOPANE JAKO STACJA TURYSTYCZNA.

W ostatnich latach ubiegłego stulecia słownik nasz wzbogacił się między innemi dwoma nowemi wyrazami: t a t e r n i k, t a t e r n i c t w o. Sam fakt powstania tych słów, których brak poprzednio nie dawał się odczuwać, świadczy o nowych warunkach, o nowych potrzebach naszego życia zbiorowego. Niedawno względnie, bo jakie cztery, pięć dziesiątków lat temu, dowiedzieliśmy się, że na południu naszego kraju posiadamy zakątek górski pod względem malowniczości, dzikości i bogactwa przyrody nie ustępujący osławionym terenom alpejskim Europy. Odkrycia dokonał Dr Chałubiński. Odtąd zaczęła się wędrówka Polski w Tatry. Nie odrazu wszakże oceniliśmy w całej pełni znaczenie turystyki górskiej i względy moralne, którym istnienie swoje ona zawdzięcza. Był czas kiedy wycieczki w Tatry, mające wtedy charakter wypraw w nieznane kraje, stanowiły przywilej ludzi bogatych i żądnych wrażeń niezwykłych. Taternictwa jeszcze nie było. Od roku wszakże 1874, kiedy powstało Towarzystwo Tatrzańskie, które za cel postawiło sobie „umiejętne badanie Tatr i Karpat, oraz rozpowszechnianie zebranych o nich wiadomości, zachęcanie do ich zwiedzania, tudzież ułatwianie przystępu do nich i pobytu tamże swoim członkom, oraz badaczom przyrody i artystom“, ruch turystyczny został ujęty w łożysko, które, pogłębiając się i rozszerzając, doprowadziło go do obecnego stanu, charakteryzującego się słowem: taternictwo. Istotnie mamy dziś taterników i taternictwo. Mamy dziś ludzi, dla których zwiedzenie Tatr od czasu do czasu nie jest już rozrywką, ale prawdziwą potrzebą duszy i ciała. Są to taternicy, a charakter swoisty ich wycieczek, wyróżniający je od innych podobnych, tworzy odłam turystyki górskiej: polskie taternictwo.

Na przestrzeni 60 km. w powietrznej linji, od Salatyńskiego i Siwego Wierchu po Jaskinie Bielskie rozsiadły się Tatry właściwe, ramionami grzbietów swoich opierając się z jednej strony od wschodu o Spisz, z drugiej o Orawę; Liptów i Podhale zamykają je od południa i północy. Na przestrzeni tej, obejmującej zgórą 1000 km^2 łańcuchy górskie idą od wschodu na zachód, odnogi zaś ich na południe i północ, wskutek czego doliny Tatrzańskie przeważnie rozciągają się w tych ostatnich kierunkach. Od południa Tatry spadają łagodnemi zboczami. Od strony północnej urywają się nagle, tworząc olbrzymie przepaści, trudne do przejścia „żleby“ i „krzesanice“. Wogóle od polskiej strony Tatry są mniej dostępne. To też zadanie „uprzystępnienia Tatr“ dla Towarzystwa Tatrzańskiego jest bez porównania trudniejsze, niż dla pokrewnych towarzystw węgierskich z tamtej strony. Oddać wszakże należy sprawiedliwość Tow. Tatrzańskiemu, że w przeciągu niezbyt długiego swego istnienia uczyniło wiele w tym kierunku i dziś niemal wszystkie ścieżki górskie „perci“ bardziej zwiedzane są wyznaczone i zaopatrzone w odpowiednie udogodnienia, jako to: łańcuchy, klamry,



Pomnik Karłowicza.

drabinki, stopnie kamienne i t. p. Na wszystkie prawie szczyty polskie perci są przeprowadzone. Tow. Tatrzańskie posiada również w kilku miejscach schroniska, gdzie za niewielką opłatą można znaleźć nocleg i dostać posiłku według cennika, wyznaczonego przez Towarzystwo. Ono też stworzyło i dozoruje instytucję przewodników, rekrutujących się wyłącznie z miejscowych górali.

Założone w r. 1909 „Tatrzańskie ochotnicze Pogotowie Ratunkowe“ ma na celu „poszukiwanie zaginionych turystów i niesienie pomocy w nieszczęśliwych wypadkach na obszarze Tatr“. Istniejąca w łonie Towarzystwa Straż Ratunkowa, każdej chwili gotowa jest udać się w góry. W razie wypadku zgłosić się należy do naczel. Straży M. Zaruskiego (Krywań, ul. Ogrodowa l. 5, telefon Nr 114).

Najbardziej znane i zwiedzane przez turystów i nieturystów są Morskie Oko i Czarny Staw — jeziora w głębi gór, otoczone wspaniałemi granitowemi ścianami Mięguszowieckiego, Rysów, Żabiego i Siedmiu granatów. Doskonała szosa, prowadząca do tych jezior, wije się lasami z początku w stronę Tatr Bielskich, a później doliną Białej wody i Rybiego potoku, odsłaniając co chwila niezrównane widoki na najwyższe szczyty Tatr: Garłuch (albo Gierlach) Lodowy i Łomnicę z przyległemi mniejszemi. Obecnie szosa ta otrzymała połączenie z szosą węgierską, idącą naokoło Tatr Wysokich (wschodnich) do Jaskiń Bielskich i dalej — do Łomnicy Tatrzańskiej, Smokowców (Szmeksu) i jeziora Szczyrbskiego, skąd droga oddala się nieco od gór i biegnie wzdłuż linji kolei żelaznej. Komu zdrowie lub siły nie pozwalają na wycieczki piesze w góry, ten znajdzie pełnię estetycznych wrażeń, przejechawszy wspomnianą drogę na tamtą stronę gór — na stronę węgierską. Kto zaś nie uchyla się od trudów pieszej górskiej wycieczki, ten idzie do Morskiego Oka — zwykle

przez Zawrat, wąską przełęcz pomiędzy Świnicą a Koziemi Wierchami, do doliny Pięciu Stawów polskich, skąd przez Miedziane albo przez Świstówkę dostaje się do Morskiego Oka.

Jednodniowe wycieczki na Giewont (1900 m), Czerwone Wierchy (2.128 m), Świnicę (2.306 m), Kozie Wierchy (2.295 m), Krzyżne (2.110 m), należą do najbardziej ulubionych przez ogół polskich turystów. Mniej zwiedzaną jest skończona w r. 1907 ścieżka zwana „Orlą percią" — jedyna w swoim rodzaju ścieżka w całych Tatrach, idąca granią wzdłuż całego grzbietu górskiego od podnóża Wołoszyna aż do Zawratu.

Nie zliczyć tutaj pięknych i ciekawych dróg w Tatrach polskich. Większa ich część rozchodzi się nakształt promieni z ogniska — z miejscowości zwanej Kuźnicami, krańcowego punktu drogi kołowej od Zakopanego.

Nie kończą się wszakże Tatry na granicy węgierskiej, która biegnie graniami i obejmuje z trzech stron klin polskiej ziemi, należący do Galicji. Węgierskie Tatry stanowią nierozerwalną całość z polskiemi, a ponieważ granica istnieje tylko na papierze, Tatry dostępne są dla turystów tak z jednej jak i z drugiej strony. Więc od Morskiego Oka idą turyści przez Rysy (2.503 m) do stawu Popradzkiego na stronę węgierską — skąd blisko już do Szczyrbskiego Jeziora; przez Kościeliską dolinę, przełęcz Tomanową i doliną Cichą do Pod Bańskiej, a stamtąd na szczyt Krywania (2.596 m); przez Polski grzebień do doliny Wielickiej i na szczyt Garłucha (2.663 m) najwyższy w Tatrach, przez Rohatkę albo przełęcz Lodową do doliny Pięciu Stawów Spiskich, otoczonej wspaniałemi graniami Łomnicy, Durnego, Baranich Rogów i Lodowego; przez Koperszady w Tatry Bielskie, do Jaskiń, do doliny Kiezmarskiej.

Za Chochołowską doliną — Tatry Zachodnie, zupełnie prawie przez turystów nieuczęszczane i pod względem turystycznym mało zbadane, a jednak przedstawiające ogromny i piękny teren do górskich wycieczek.

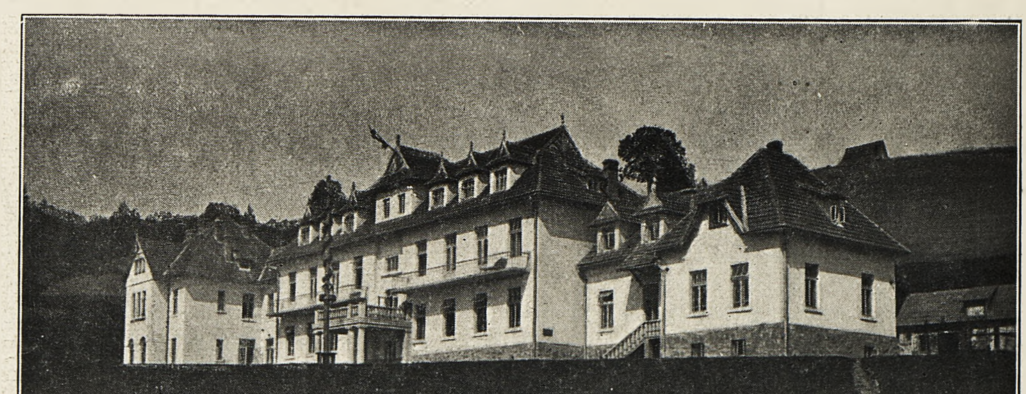
Zima w Zakopanem — ze względu na wysokość nad poziomem morza (przeciętnie 860 m) i pasma gór wysokich, śnieżna i długa. To też znany u nas od lat kilku sport narciarski rozwija się znakomicie. W r. 1907 powstał „Zakopiański Oddział Narciarzy Tow. Tatrzańskiego" (obecnie Sekcja Narciarska Tow. Tatrzańskiego), który zogniskował w sobie ruch turystyczny zimowy. W promieniu widzenia Zakopanego niema ani jednego szczytu (z wyjątkiem paru mniejszych turni), na którym w zimie nie stanęłaby noga człowieka; z dalszych wszystkie główne zostały również dla turystyki zdobyte.

Należy wziąć pod uwagę, że Tatry w zimie — to świat zupełnie odrębny, w głównych tylko zarysach przypominający góry, znane nam z lata. Biała pustynia — ogromna, martwa i groźna: nie widać i nie słychać potoków, stawy pod lodem, siklawy w grubych pancerzach; ani zbyrkania stąd, ani głosu pasterzy. Mróz 30 stopniowy, śnieżyce — kurniawy z akompaniamentem lawin, spadających w doliny — oto tatrzański obraz zimowy. Mimo to, a może właśnie dlatego, alpinizm bowiem wszelki, taternictwo — to walka — turystyka nasza zawładnąwszy w zupełności Tatrami w lecie, coraz tęższy przypuszcza szturm do ich lodowatego zamczyska.

Ścieżek, łańcuchów, klamer żadnych niema w zimie, bo wszystko gruba warstwa śniegu przykrywa. Wchodząc na szczyt za każdym razem trzeba szukać drogi, jakby to był szczyt nieznany, a wejście nań — wejściem pierwszem. Ten urok wiecznie powtarzających się „wejść pierwszych" — to królewski przywilej zimowej turystyki.

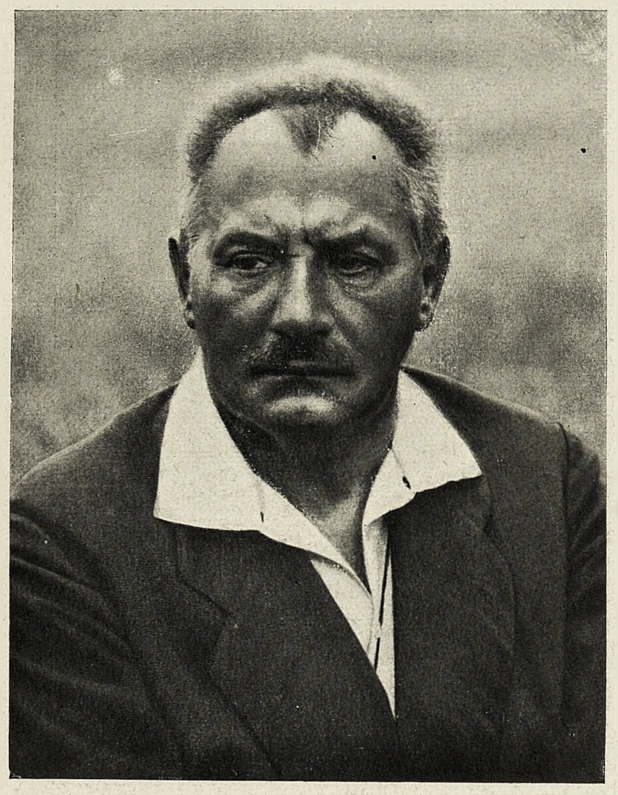
Do r. 1907 wycieczki w zimie należały do bardzo rzadkich wyjątków i nie miały szerszego znaczenia. Od tej jednak daty zimowa turystyka zaczyna zataczać coraz szersze kręgi; umiejętność jazdy na nartach — w Zakopanem i okolicy, wprowadzona przez Sekcję Narciarską Tow. Tatrz. w innych miejscowościach przez pokrewne towarzystwa krakowskie i lwowskie — pozwala zapuszczać się coraz dalej w tajemnicze zimowe pustkowia Tatr, coraz bardziej udoskonala się technika chodzenia po śniegach, coraz bliżej zapoznają się turyści ze strasznym swym wrogiem — lawinami śnieżnemi. W ciągu lat pięciu odbywają się tak szybkie i tak do gruntu sięgające przeistoczenia, iż obecnie Zakopane jest w przededniu dwóch równorzędnych niemal turystycznych sezonów: letniego i zimowego.

Marjusz Zaruski.



Szpital powszechny w Zakopanem.

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA.



Jan Kasprowicz.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy od cichych pól,
Od rżysk i rzecznych pobrzeży
Od przecznic i od ugorów,
Od wypaczonych chat,
I od tych stodół zwietrzałych
Chłopięca płacze piosenka...

Pod wieczór było sierpniowy, gdy opuszczaliśmy „Harendę“ Jana Kasprowicza.

Od cichych pól, jakby tęsknotą wiane srebrne się wiły mgły, od rżysk kwilenia biegły senne, zrywały się gędźbą wieczorną, przypadały w ugorach, milkły, znów klangorem rozbrzmiewały studźwięcznym.

Białego Dunajca śpieniony ciemno-grzywy nurt, gderliwie wadził się z kamiennym łożyskiem, pomrukiem swarliwym niosąc w dal, poszept by pacierzy modlitewne szmery.

Hen od Zakopanego, echem gór niesiony, grał dzwon, płynąc wolno w przestworzu by ptak, melodji skrzydłem aksamitnem, niesion w gwiezdne dale.

— — — — — — — — — — —

Zawarczał trzask motoru, rozdarł ciszę dźwięk dziki, porykujący, automobilowego sygnału, upiornie przemknęło coś brudno-czarnego białą taśmą drogi.

Urok prysł...

Jak błota bryzg na kryształowej szyby jaśń, tak padło jazgotem swym w fioletowy zmrok, czarne pudło opętańczo mknącego auta.

Jesteśmy na drodze Poronin-Zakopane.

Wysoko nad urwistym brzegiem wznosi się t. zw. „Harenda“, umiłowany serdecznie dom Jana Kasprowicza, a dostęp doń nie łatwy, przez most wzniesiony wysoko nad rwącym nurtem Dunajca a potem w wyż zda się podniebną, stromym ściegiem kamiennych kilkudziesięciu stopni, aż staje się pod granitowym obmurowaniem sadyby.

O ile nie łatwy dostęp do „Harendy“ o tyle serdeczny a niewymuszony do gościnnych gospodarstwa.

Na wstępie u szczytu, jakby z Böcklinowskiego obrazu fantazją snutych kamiennych schodów, przywitała nas przemiłym subtelnym uśmiechem małżonka Mistrza, a uprzedzona już o naszej wizycie, powiodła wprost do bibljoteki.

Kilka słów powitania, i oto snuje się już swobodna, niewymuszona nić rozmowy, o Zakopanem, o sezonie obecnym, o „Salome“, ostatnim, niezwykłym erudycją i swadą odczycie Mistrza, wy-



Jan Kasprowicz z żoną.



Bibljoteka J. Kasprowicza.

głoszonym na kilka dni przedtem w Zakopanem, no i naturalnie o najbardziej obecnie umiłowanem dziecięciu... o „Harendzie“!

Mistrz z dumą ukazuje na półki uporządkowanej i już ulokowanej n. b. własnoręcznie bibljoteki, z głębokiem zadowoleniem zaznacza własne pomysły o przebudowie, snuje dalsze projekty i widać z każdego słowa, że gorąco ukochał ten „kąt ciasny lecz własny“. — Ale to się jeszcze rozszerzy, dodaje Mistrz na zakończenie z dobrotliwym a pełnym pogody uśmiechem, ogród się też powiększy... z czasem wszystko się zrobi.

W rozmowie dostają się i nam miłe słowa zachęty w podjętej pracy wydawnictwa „Giewontu“ zwłaszcza gdy okazuje się, że choć nie w jednym czasie, spędziliśmy młodość w jednem i tem samem gimnazjum Marji Magdaleny w Poznaniu.

Tu mistrz się ożywia, młodzieńczym rumieńcem zapala, wspomina młodość górną i chmurną, plac Bernardyński, rektora Wituskiego, księdza Pędzickiego, ucisk niemiecki, i tyle, tyle innych ludzi, spraw i rzeczy.

Jak różańca koliwa snują się paciorki wspomnień, przeżyć, to tak świeżych, by jagody krasnej jarzębiny, to szarych, zwiędłych, a drogich i pyłem lat spopielonych...

O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zielu
z za siódmej góry, z za siódmej rzeki
które na smutek słodkie ma leki...

Wspomnienia! Szara godzina... wieczorny fioletów zmierzch, tkany w mgieł srebrzystych szlaki, spowity jednem przeogromnem, mocarnem tchnieniem ziemi.

— — — — — — — — — — —

Czas na nas, nie należy nadużywać gościnności. Zdjęcia dla „Giewontu“ dokonane, niezrównany p. Henryk Szabenbeck z uśmiechem zadowolenia i słusznej dumy składa aparat fotograficzny.

Kilka serdecznych słów podzięki — pożegnanie — odjazd.

Prócz dokonanych zdjęć, niosę z sobą cichą zadumę, która jutro będzie już... wspomnieniem... i — moją pieśnią wieczorną.

Zakopane, 16 sierpień 1924.

Adam Kowalczewski Siedlecki.

Z STAROANGIELSKICH BALLAD O ROBINIE HOODZIE[1])

ROBIN HOOD I TRZEJ SYNOWIE WDOWY

Rok nasz miesięcy dwanaście ma,
Wiadomo o tem wszędzie,
Lecz w całym roku to miesiąc maj
Najcudowniejszy będzie.

*

Do Nottinghamu szedł Robin Hood
I sierdzi i puszy się srodze,
Wtem jakąś starą babinę on
Płaczącą napotkał w drodze.

*

„Cóż tam, starucho? Co słychać mów,
Jakie masz dla mnie nowiny?“
„Ach! w Nottinghamie młodzianków trzech
Zginąć ma tej godziny“.

*

„Spalili plebanję, czy sam też ksiądz
Zginął z ich ręki? Czy może
Cudzą małżonkę shańbili gdzieś,
Czy dziewczę uwiedli hoże?“

*

„Ani plebanji nie spalił nikt,
Nie zabił księdza, ni żony
Nie shańbił cudzej, ni żaden gwałt
Nie był na młódce spełniony“.

*

„Więc cóż zrobili?“ rzekł Robin Hood,
„Powiedz mi, proszę, tej chwili“.
„W lesie, mający każdy swój łuk,
Królewską zwierzynę ubili“.

*

„Pomnicie, stara, jakeście mnie
Godziwie raz nakarmili?

[1]) Robin Hood, podobno hrabia Robert Huntingdon, bohater angielskiego ludu, zmarł 1241. Legendarne jego dzieje przypomina życie i czyny tatrzańskiego Janosika.

Robin Hood żyje w licznych balladach staroangielskich, z których najstarsze pochodzą z czasów Karola III; zebrał je pierwszy Wynkin de Wode i ogłosił w Londynie 1495. Robin Hood był obrońcą ludu, rabując bogatych, łupem obdarzał biednych, walczył o prawo użytkowania lasów, jezior, itd. (podobnie jak według opowiadań najstarszych Kostka Napierski).

Główną siedzibą Robina Hooda były lasy Sherwood w hrabstwie Nottinghamskiem.

Klnę się", rzekł Robin, „że mam tę wieść
W najstosowniejszej chwili".—

*

Do Notinghamu szedł Robin Hood
I sierdzi i puszy się srodze,
Wtem jakiś stary wędrowny człek
Zeszedł się z nim w swej drodze.

*

„Cóż tam, staruchu? Co słychać, mów!
Jakie masz dla mnie nowiny?"
„Trzech w Notinghamie młodzianków", rzekł,
„Ma zginąć tej godziny".

*

„Dobrze; swe szatki na moje zmień,
Na moje zmień co żywo:
Czterdzieści srebrnych ta groszy masz
Na wino czy na piwo".

*

„Twój przyodziewek dostatni jest,
Mój zasię łachman zdarty;
Skąd ty i dokąd, ja nie wiem nic,
Lecz z starca niewczesne to żarty".—

*

„Dalej, staruchu! zmień suknie swe,
Na me zmień strój łatany;
Dwadzieścia tutaj czerwieńców masz,
Idź, ugość swe kompany!"

*

Ledwie na czubek głowy mu wlazł
Stary kapelusz dziada:
„Przy innym handlu następny raz
Znajdzie się na to rada".

*

Potem starucha kubraczek wdział
W niebieskie, czerwone łaty,
I sakwy z chlebem nie wstydził się
Przewiesić na strój ten bogaty.

*

Potem i w dalszy ubrał się strzęp,
W dziadowskie szarawary:
„Nie można twierdzić, by próżny był
Ten dziadowina stary“.

*

Potem pończochy starego wdział,
Do kolan cery i cery!
„O, jako żywo!“ rzecze Robin Hud,
„Śmiech mnie porywa szczery!“

*

Potem w trzewiki starego wlazł:
Dziura do dziury ucieka:
„O, jako żywo!“ rzekł Robin Hud,
„Ubranie robi człowieka!“

*

Do Nottinghamu szedł Robin Hood
Sierdzi i puszy się srodze,
Z dumnym burmistrzem spotkał się wnet,
Na miejskiej się spotkał drodze.

*

„Bóg z tobą, panie burmistrzu!“ rzekł,
„Bóg z tobą zimą i latem!
Cobyś staremu człekowi dał,
Co byłby dziś twoim katem“.—

*

„Dam ci ubranie“, pan burmistrz rzekł,
„Ubranie dam ci, ubranie;
Trzydzieści srebrnych i nowy strój,
Tyle kat dzisiai dostanie“.

*

A na to Robin jak skakać jął,
Jak kręcić się naokoło!
„Nigdym nie widział“, pan burmistrz rzekł,
„By dziad tak skakał wesoło!“

*

„A ze mnie nigdy nie bywał kat
I nigdy nie będzie, to wiecie!
Przeklęty“, rzekł Robin, »jest taki człek,
Co pierwszym był katem na świecie“.

*

„Sakwę na mąkę i sakwę na groch
I żyto przewieszam przez szyję!
Mam sakwę na mięso: sakwę na chleb
I sakwę, gdzie rożek swój kryję“.

*

„W kieszeni chowam ten rożek swój —
Mam go od Robina Huda,
A gdy przyłożę go do mych warg,
Dla ciebie dąć mi się uda!“

*

„O dmij-że, zuchwały człecze w swój róg,
Znam cię ja dobrze“, tak powie;
„Chcę, abyś zadął, aż dwoje ócz
Wylezie ci na wierzch w twej głowie“.

*

Zagrał na rogu po pierwszy raz,
A róg tak huczy i dźwięczy,
Iż stu łuczników zleciało z hal,
Z turnieji i przełęczy.

*

Zagrał na rogu po drugi raz,
Zagrał tak przeraźliwie,
Iż sześćdziesięciu przygnało ich
Po lesie i po niwie.

*

„A ci co zacz są, co przyszli tu
Polami?“ — tak burmistrz zapyta:
„To moi ludzie“, rzekł Robin Hud,
„To ich do ciebie wizyta!“

*

I szubienice przenieśli w las,
Do jaru przenieśli tej chwili;
Oswobodziwszy swych ludzi trzech,
Burmistrza tam powiesili.

Z staroangielskiego przełożył
Jan Kasprowicz

(Artur Quiller-Couch: The Book of Ballads. Oxford 1920)



Delegacja Związku Górali z posłem Rojem na czele.

DO WAS, KTÓRZY TU PRZYJEŻDŻACIE!

O Zakopanem utarło się tyle komunałów, nie tyle dalekich od rzeczywistości, ile zgoła fantastycznych, iż prostowanie ich, i że tak powiemy sprowadzanie na realny grunt będzie jednem z najgłówniejszych naszych zadań.

„Giewont", jako kwartalnik będzie miał rocznie cztery bogato ilustrowane, poważnej objętości zeszyty, oraz w sezonie dowolną ilość biuletynów, wydawanych sporadycznie w miarę potrzeby, poruszenia tej lub innej kwestji, interesującej czytelników naszych, poza tem będziemy raz do roku wydawać jeden zeszyt specjalny „Giewontu" w języku francuskim dla zagranicy, na który złoży się tak ilustracyjnie, jak treścią najlepszy i stosownie wybrany materjał naszego wydawnictwa polskiego.

Rozporządzając tak odpowiednim aparatem, możemy szczerze i mocno ująć w ręce propagandę Zakopanego.

Przedewszystkiem *Zakopane nie jest drogiem* i kosztownem, przeciwnie, wiele bardzo rzeczy można tu mieć taniej niż gdzie indziej, wystarczy przejść się po sklepach i magazynach. Pobyt i urządzenie się w Zakopanem też nie kosztuje więcej, jak w innych tego rodzaju miejscowościach. Rzecz cała polega na praktycznem ujęciu wydatków, poinformowaniu się należytem, co gdzie i jak poczynić należy.

Naiwność, niezaradność, niepraktyczność i na próżności oparta chęć wyrzucania pieniędzy zawsze i wszędzie znajdzie niesumiennych wyzyskiwaczy.

Zakopane jest tanie, nawet bardzo tanie w stosunku do sumy wrażeń, uroku miejscowości i ogromnej dozy sił i zdrowia, jakie dają stosunki klimatyczne!

Ale *Zakopane nie jest uzdrowiskiem dla ludzi poważnie chorych!*

Zakopane to nie sanatorjum, pełne białych sal, lśniących korytarzy, cicho mknących pielęgniarek w przesyconej lekarstwami atmosferze.

Zakopane to słońce, góry i wichr, roześmiany błękit nieba, tętniąca żywą gorącą krwią radość życia!

W zachodnio-europejskich warunkach bytowania, Zakopane, jako stacja klimatyczna, zajmowałaby pierwszorzędne miejsce, stałaby na wysokości już nie potrzeb, ale wykwintnego komfortu

i dawałaby przyjezdnym to wszystko, na co kultura i nowoczesna technika w opanowaniu tego rodzaju środowisk zdobyć się tylko jest w stanie.

Jeżeli dziś Zakopane nie stoi jeszcze na tym poziomie doskonałości, wina to w każdym razie nie dzisiejsza, tak się złożyły warunki dziejowe i społeczne.

Obecnie Zakopane jest nasze i w naszym ręku! Tak Rada gminna, której wpływy udało się pozyskać inteligencji dopiero niespełna 4 lata temu, jak T. K. U., t. j. „Tymczasowa Komisja Uzdrowiskowa“ nie szczędzą trudów i pracy, by wyrównać i wypełnić zaległości w rozwoju Zakopanego. W pracy tej jednak konieczny jest jeszcze jeden nader ważny czynnik.

A tym czynnikiem — to przyjezdni, a raczej ich dobra wola! Od niej w nierównej mierze, zależy rozwój Zakopanego.

Nie sposób tutaj w krótkim urywku, omówić obszerniej, i bardziej szczegółowo olbrzymich zadań, jakie jeszcze czekają tak gminę, jak komisję uzdrowiskową, powrócimy jeszcze do spraw tych w całym szeregu rzeczowych artykułów w naszym kwartalniku, na jedno chcemy tylko zwrócić uwagę, że rozwój Zakopanego i od Was, którzy tu przyjeżdżacie, w dużej części zależy.

Trochę dobrej woli, cierpliwości i umiłowania gór i Zakopanego, mała ustępliwość z wielkomiejskich nałogów i przyzwyczajeń — a jeden pogodny, cichy wieczór w Zakopnem da więcej ukojenia nerwów, aniżeli miesiąc cały w mieście, nadszarpnąć ich jest w stanie.

A teraz jeszcze jedno, ogólnie przyjęte jest mylne mniemanie, że pobyt w Zakopanem należy dzielić na dwa sezony, letni i zimowy, naprawdę sezon w Zakopanem, wyjąwszy może październik i listopad, trwa cały rok.

A nie w „sezonie“ jakże można się tu urządzić już nie tanio, ale za pół darmo.

I tu w tej radości życia, w tej energji promieniejącego słońca, w życiodajnym poszumie świerków i potoków górskich — spowita weselem — śpi przyszłość Zakopanego. Bo Zakopane śpi!

I śni — śni ciężki koszmarny sen, śnią mu się kuracjusze, gruźlica, infekcja, dezynfekcja, mikroby, bakcyle, sezony i t. d., i t. d.

A rzeczywistość żąda na jawie, śmiechu, wesela, muzyki, tańca, rozrywek, teatru, kasyna, stadjonu, igrzysk, corsa, jednego, rok cały trwającego karnawału, by leczyć, ale leczyć i koić ludzi zdrowych i tylko zmęczonych i zmaltretowanych całorocznem zmaganiem się z nową troską codziennego życia.

Neurastenja, apatja, anemja, zimnica i ile tam jest tych siostrzyc szarej niedoli codziennej, tu w klimacie zakopiańskim znikają, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, choroby płucne w zaczątku *przy skłonności* do gruźlicy, leczą się i giną pod wpływem życiodajnego słońca, ale tu właśnie potrzebny jest pogodny i beztroski uśmiech.

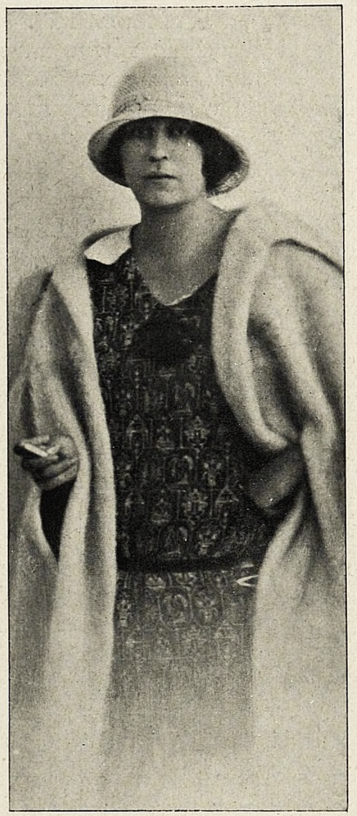
Zakopane, to zdrowie, to moc, to wichr, ale cudowny ten lek zamknięty jest w kryształowym flakonie śnieżnych górskich szczytów i zwie się *radością życia i pocałunkiem słońca.*



„SWEGO NIE ZNACIE!"

P. MARJI WITKIEWICZOWEJ.

„Cudze chwalicie, swego nie znacie
Sami nie wiecie, co posiadacie".



Magdalena Samozwaniec.

Dobrze powiedział poeta — „Swego nie znamy" i dlatego jeździmy co sezon do Zakopanego, by wreszcie zbadać i ocenić nasze góry, nasze wody, naszych żydków, nasze stare piękności i naszych murzynów. — „To nie to, proszę pana, to te paszporty" — odpowie na to niejeden skromnie. — Nieprawda, Zakopane ciągnie. — Każdy z nas musi się kilka razy do roku przekonać naocznie czy Giewont nie został na świeżo pomalowany przez artystę-malarza p. Gałka, czy „durny Wierch" zawsze taki niemądry, czy „Morskiemu Oku" nie wpadł w oko taternik. Czy żydzi nie używają „Polskiego Grzebienia" lub czy z „Czerwonych Wierchów" nie zleciał jaki „endek". By zaspokoić tę ciekawość, wsiadamy do polskiego „simplon-expressu", grającego tłukiem kół i łańcuchów wyraźnie nie co innego tylko „Titine" i jedziemy w góry. Poczciwy „Express", który nie bierze życia zanadto poważnie, staje często po drodze, na skrajach lasu, by pasażerowie mogli nazbierać maślaczków, napić się maślanki, kupić sobie masła, a mamy by mogły wysadzić (z pociągu) swoje maleństwa nie cierpiące zwłoki. I tak bez zbytecznego pośpiechu, bo co nagle to po djable, dojeżdżamy do Zakopanego. Co dalej następuje po wyjściu z pociągu, to już wiemy, przedewszystkiem walki „kuracjuszy" z „choracjuszami" o miejsce w chałupie lub pensjonacie. Kaszlący choracjusze znalazłszy wreszcie dach nad głową, wychodzą samotnie na niedalekie spacery obrywając płatki z margerytek — „Kocha — nie kocha? — Kocha!... (bakcyl „Kocha" inaczej lasecznik grużliczy). Ci zdrowi i dziarscy, którzy wynoszą się w góry nocując nad „Morskiem Okiem" i którzy wiedzą nawet dobrze co piszczy w trawie, na której śpią wraz z uroczemi taterniczkami, odzywają się z pogardą o Zakopanem „tem na dole". A przepraszam, przedewszystkiem nie jesteśmy tak bardzo „na dole" — a 900 m. ponad przeciętny poziom morza to nic? Jesteśmy w każdym razie na pierwszem piętrze, i to na bardzo wesołem, gdzie wystarcza nieznacznie pokręcić nosem, by odczuć, że się ma w tej „stancyjce" klimatycznej wszystko co potrzeba, t. j. opierunek, nocleg i wikt, często nawet z Wiktą (wikt składa się nietylko z klopsu), no i muzyczkę, oczywiście Jazz-band. Słyszy się czasem takie niemiłe niepoczciwe zdania, że „Jazz-band zagranicą już nie istnieje" a przecież u nas niema innej muzyki, a my np. dla Francuza przecież też jesteśmy „zagranicą"? Ba! u nas to nawet tę dziwną podniecającą muzyczkę złożoną z samych pał i cymbałów słychać już od rana; przygrywa ona do wszystkich okazyj życia, przez cały dzień z nieustającą werwą. Naprzykład do czesania, gdy się tego nie czyni w domu ale u fryzjera na Krupówkach, który oczywiście wtedy po łebkach traktuje swoje klientki, także do sprawunków, do plombowania zębów, jednem słowem życie w Zakopanem odbywa się przy muzyce, no a z muzyki wypływa oczywiście taniec. Zaczyna się od tego, że zdenerwowany kuracjusz zaczyna bębnić po stole palcami, potem zaczyna to robić pod stołem, a wkońcu doprowadzony do ostateczności puszcza się na „shimmy". Jest jedno najlepiej tańczące małżeństwo w Zakopanem, które ogarnął istny szał „tanga" i „blue'sa". Tańczą przy gramofonie cały dzień, noc i tydzień, podobno tańczą nawet przez sen „Jawę". Są obawy, że w opustoszałych przez tańczących u Trzaski kuracjuszy mieszkaniach, zacznie wkrótce odbywać się „taniec apaszy".

W każdym razie „na dole" jest dobrze i wesoło, lepiej z pewnością niż tam „na górze" na „Zaworach" lub w „dolinie pięciu stawów" i siedmiu boleści. I tu się trzeba drapać czasem, ale to tylko w małych pensjonatach — zresztą ludzie zawsze muszą o coś nudzić, wszystko im niedobre, wszystkiego za dużo. A to za dużo muzyki, a to Mischke w ząbki kole, a to że u fryzjera spadł komuś włos z głowy, a to znów że za mało wody, „nie można się kąpać". „Coby na to po-

wiedział Anglik?" Coby na to powiedział Anglik? A to dobre! Niech da z powrotem nura do Anglji, kiedy taki zawodowiec, a nam niech da święty spokój — bo czyż przeciętny Polak potrzebuje tak bardzo wody? My Polacy jesteśmy czyści z natury, węgli jeszcze chwała Bogu nie nosimy. Zresztą Zakopane nie jest miejscem kąpielowem tylko zakopanem. Kilka dni temu jeden z letników, który widocznie nauczył się zagranicą zużywania siły wodnej na kąpiel, chciał i tu użyć tej rozrywki, oczywiście nie udało mu się to, i musiał poprzestać na deszczu. W pensjonacie, w którym zamieszkał, odpowiedzieli mu zresztą bardzo słusznie „że woda poszła na tennisa" (naturalnie chodziło tu o polewanie wodą nowo budującego się placu tennisowego). W łazienkach klimatycznych ta gwałtowna potrzeba kąpieli wzbudziła podejrzenia co do czystości tego kuracjusza. „Musi się pan koniecznie kąpać?" — spytała niechętnie dama sprzedająca bilety — „poczeka pan ze dwie godziny". Gdy po dwóch godzinach uparty letnik doczekał się wreszcie swojej kolejki, kąpielowy przedstawił mu „Wanne" ale bez „monny" i bez wody. Na gwałtowne dopominanie się gościa o tę ciecz, „człowiek" odrzekł z godnością: Wody niema? a skąd miałaby być woda? przecież to sezon. No! naturalnie ciągle zapominamy, że to „Sezon", przecież jesteśmy tu nie dla siebie, ale dla „Sezonu". „Sezon" w Zakopanem się otworzył, to prawie tak, jak gdyby się „Sezam" otworzył. I my wtedy otwieramy ramiona szeroko, by pożegnać najdroższych bliskich, których zostawiamy w domu i lecimy przypatrzeć mu się zbliska (eee ktoby tam leciał). A gdy się „Sezon" kończy, to wtedy zaczyna się dopiero dobra zabawa i dobre powietrze — ale wtedy wyjeżdżamy. Dla „Sezonu" trzeba też „coś" dać z siebie. To „coś" to gruby pieniądz (tak jak czas). Trzeba także podziwiać piękności a la „Tut-ankh-amon" a więc: „Karomame", „mame", Semiramis, Antisemiramis, „Nitokris", „Mali", „Gibmirwas" i „Apfel". Bywają też i mumie a la „Tut-ankh-amon", które niedoceniane przez P. Archeologów same balsamują się „Halką" i „Polską różą" p. Żaka. Oprócz tańczących i spacerujących piękności, widać też w zacisznych opłotkach rozrzucone przez kobiety nagie ciała w celu naświetlania z najlepszej strony. Na ten widok słońce zażenowane chowa się za chmury: niebo płacze gorzkiemi łzami, a Pan Bóg grzmi.

Bardzo modne jest w Zakopanem kurtyzowanie kurtyzan, wszystkie czeszą się teraz a la „garconne", po polsku „a la chłopczyna". Gdzie spojrzeć, widać karki strzyżone równo maszynką jak do gilotyny (która w miarę zastosowana nicby nie zaszkodziła). Nie w parze jednak z tem uczesaniem Garsona idą rozłożyste biodra polek, pod tym ostatnim względem może im dorównać tylko Polak, który jak wiadomo jest powściągliwy w szerokości ramion, lecz zato barczysty w biodrach, no ale przynajmniej „wiedzą sąsiedzi na czem kto siedzi". Polak rzadko umie postawić na swojem, ale zato umie siedzieć na swojem. W Zakopanem z nudów, a raczej z nadmiaru „tych przyjemności, bez których życie byłoby znośne", bojkotuje się cudzoziemców (conajmniej jak w Niemczech), oczernia się murzynów, choć bez nich niema zabawy, jak się wyraził jeden właściciel dancingu: „że wystarczy taki jeden głupi murzyn, żeby cały lokal nabrał wyglądu europejskiego". Jeden także z cudzoziemców chciał urządzić na własną rękę i nogę dancing, ale nie udało mu się, bo co nie „Trzaska", to się w Zakopanem nie przyjmie. Jedyny cichy i poważny salon, gdzie można się przespać kilka godzin, spotkać znajomych, pomówić przyciszonym głosem jak w kościele, lub przeczytać książkę, to jest zakład dentystyczny prof. Mischkiego. Drugi nadzwyczaj miły kącik, to stacja kolejowa, ma się bufet, jeden z jedzeniem, drugi przeciwnie, z gazetami. Można też spotkać wyjeżdżających znajomych, lokomotywy gwiżdżą sobie na ludzi, nastrój jest pełen nadziei lepszych chwil i pogody (o ile deszcz nie pada). W każdym razie Zakopane ma swoje ukryte zalety głęboko zakopane (i stąd jego nazwa) i możemy mieć nadzieję, że w zimie znów się do niego wybierzemy, aby jeszcze raz spróbować odnalezienia tychże.

Magdalena Samozwaniec.

CHIMERA.

Niby tak jesteś blisko moja Pani Daleka,
Że wciąż stajesz przedemną, jako zorza z za fal,
A za szybą pociągu mi codziennie ucieka
Twoich oczu błękitność i ponsowy Twój szal.

W świście auta, co ginie na zakręcie ulicy,
W śmiechu maski pijanej, wirującej śród sal,
I w organów melodji w jakiejś starej kaplicy,
Wszędzie, wszędzie jedynie Ciebie szuka mój żal.

Czasem widzę Cię w kinie na zamglonym ekranie —
Grasz komedję miłości, wieńce splatasz mi z łez,
Lub odżyjesz w piosence, nieudolnie śpiewanej
W ogródeczku na wiosnę, kiedy pierwszy kwitł bez...

Kocham w Tobie Chimerę mą tęsknotą zrodzoną
(Śród pijackich zapomnień śmieszny rytm błędnych [słów)
I Twe oczy, Twe oczy, Twoje oczy, co toną
W bieli czystych, naiwnych, najtajniejszych mych Snów.

Wiecznie jestem w rozdarciu, wiecznie jestem [w pogoni,
Wiecznie Ciebie i Ciebie, tylko Ciebie mi brak,
Lecz Cię dognać nie mogę, choćbym dosiadł sto koni,
Przeto Ciebie, Daleka, tak straszliwie mi brak...

ANDRZEJ NULLUS.



NASZE PENSJONATY.

Co jest największą troską przyjeżdżającego „gościa“ do Zakopanego?

Pensjonaty!

Tak!

Pierwszorzędne — drogie i krępują.

Skromne, w zielonej gęstwinie drzew, z widokiem na Giewont i werandą słoneczną — zazwyczaj krępują jeszcze więcej, a kosztują znacznie drożej.

Więc?

Ba, tu jest dylemat, i to nie byle jaki. Przedewszystkiem pensjonaty w Zakopanem muszą zerwać z przedpotopową tradycją, z jednej strony eksploatowania pensjonarjusza materjalnie, z drugiej i kto wie czy to nie jest ważniejsze — moralnie, t. j. towarzysko.

Weźmy n. p. wielki, pierwszorzędny pensjonat. Towarzystwo liczne i, jak twierdzi zarząd, dobrane. Tymczasem w samem określeniu „liczne“ już jest paradoks — bo skoro jest takiem, w żaden sposób nie może być... dobranem, przynajmniej w początkach.

Po wielu przegrupowaniach, rzecz prosta, fasonują się grupy i grupki, koła i kółeczka, ale gdy się zważy, że większość przyjeżdża tu na 4—6 tygodni, nim się ten towarzyski amalgamat w alchemicznym kotle sympatyj lub wzajemnych antypatyj usmaży — towarzyskość, swobodę i wygodę djabli biorą.

Zaczyna się więc, w dużym pensjonacie, a więc licznem i „dobranem“ towarzystwie, od wzajemnych dąsów. Ten pan jest prezesem, ów majorem, ta pani jest doktorową i nie ma nic albo bardzo niewiele, tamta ma butony, auto, męża i trzy córki. Wszyscy na siebie koso patrzą i dziko chrząkają, conajmniej przez dni jedenaście. Wreszcie wzajemne nudy przeważają szale sym- i antypatyj, no i robi się bigos nie tyle hultajski ile dantejski w piekielnych swych a beznadziejnych w rezultacie poczynaniach na grudzie towarzyskich poczynań.

Możliwość wypoczynku i tej beztroskiej swobody znika, coraz więcej w miarę „grupowań się“ i porozumienia. Tworzą się nie tyle kółeczka, ile „ententy“. Trzeba się nastrajać do ogólnego kamertonu, lub zasłużyć na miano dzikusa, o ile chadza się, jak odyniec, w pojedynkę. A już zabijająca jest hierachja przy tabl'docie, przymus towarzyski po każdej herbatce, przytakiwanie starszym (rangą), wsłuchiwanie się z lubym uśmiechem szecherezadowym bajkom z tysiąca i jednej nocy i t. d., i t. d.

W małych pensjonatach dzieje się mniej więcej to samo, choć z mniejszem „wydziwianiem“ i na bardziej patrjarchalną nutę. Zazwyczaj dyktaturę obejmuje jaka złotowłosa panna Niusia, albo co gorzej rezolutna pani Nacia, lub też, i to jest najgorszem, herod-mama licznych latorośli na wydaniu.

Jakby nie było, wtedy już bezapelacyjnie rządzą kobiety, od właścicielki pensjonaciku począwszy, a na Ulisi, wnoszącej rano do pokoju śniadanie, skończywszy.

Przedewszystkiem musisz podlegać regulaminowi z punktualnością pijącego Karlsbad, lub pociągu via Chabówka-Zakopane.

Chcesz spać — słuchasz gam na pianinie, jesteś na spacerze, spotkałeś znajomych, w połowie frazesu, rzucasz ich na środku drogi, i pędzisz do domu, bowiem — waza na stole!

Po obiedzie chcesz się zdrzemnąć? Najgorzej. Panna Niusia wydaje rozkaz spaceru do Białej. Pani Nacia powłóczystem spojrzeniem proponuje Kuźnice, a herod-mama poprostu każe ci załatwić ten lub inny sprawunek, lub conajmniej zmienić książki. Gdy wreszcie znalazłeś chwilę wolną i miłe towarzystwo po drodze, bije ósma i znów na łeb na szyję lecisz do swego pensjonatu — bo kolacja.

Wreszcie po kolacji, szczęśliwym trafem na wety nie ukoronowanej produkcjami wokalno-koncertowemi, chcesz odetchnąć, iść do swego pokoju, by poczytać książkę czy napisać list. Acha! właśnie, możnaby, dlaczego nie, ale panie wybierają się na „dancing“, znów panna Niusia złotowłosa, wynudzona całodzienną lekturą, robi aluzję do twej uprzejmości, pani Nacia nic nie mówi, lecz patrząc na ciebie, usilnie pracuje wznoszącym się lubo biustem i ponsowych ust kwiatem, szepce

o kinie, a herod-mama wspomina „smoczą grotę“ w Morskiem Oku. Gdy to wszystko pozostawia cię nieczułym i zdecydowanym pozostać w domu, otrzymujesz poprostu rozkaz towarzyszenia, potwierdzony słodko minorowym, nieznoszącym opozycji, akcentem samej pani domu, a raczej właścicielki pensjonatu, że przecież „panie same nie mogą“.

Naturalnie nie pozostaje ci nic innego, jak zgodzić się z *force majeur'em,* idziesz do Trzaski, siedzisz w gwarnym lokalu, bawisz damy, szczęśliw, że nie tańczysz, wreszcie po dwunastej — jazda do pensjonatu, do którego nie dochodzisz tak odrazu, bo trzeba jeszcze odprowadzić panie, znajome pań, i wędrujesz człeku po nocy od Chałubińskiego do Nowotarskiej, lub z Kościeliskiej do Sanato, aż biały ranek zróżowiony jutrzenką kiwnie szelmosko na ciebie z okienka rączką panny Niusi, lub z werandy paluszkiem pani Naci, którym ni mniej ni więcej, tylko zbałamuconym cudną pogodą cudownego ranka, zachciało się wycieczki do Strążyskiej i — właśnie czekały na Ciebie!

Tak oto dzionek za dniem spływa i nim się człek opatrzy, urlop ma się ku końcowi, i dobrze jeszcze, jeżeliś się nie zaręczył, albo innych cięższych jeszcze nie zaciągnął zobowiązań.

Bo przecież, Boże drogi, różnie bywa, a wypadki chodzą nie tyle po ludziach, ile po pensjonatach.

Czasami, a nawet częściej, uprzejmość towarzyska, naprawdę poczytywana jest za flirt, który, bez wiedzy głównie interesowanego, panna Niusia zręcznie przekształca w harmonję dusz, kompromitującą nawet dzisiejszą à la garçon, skurtyzowaną, zondulowaną i zdeterminowaną panieńskość. Herod-mama wkracza wówczas na trzeszczącą w czysto zakopiańskim stylu à la tyrolienne, rozjodloną werandę, i, nie proszona, z aplombem udziela swego błogosławieństwa, i ani wiesz kiedy z wolnego jak juhas w smrekach młodzieńca, nagle czujesz się szczęśliwie narzuconym narzeczonym, i klamka zapadła. Prawdziwy rzetelny flirt z panią Nacią, który zapowiadał się krokusowych upojeń głębią, naturalnie bierze w łeb, pani Nacia jest obrażona i zresztą słusznie, a wszystkiego złego przyczyną podanie soli lub sosjerki przy stole, wymuszona fonda na dancingu, jedno uprzejme odprowadzenie z kina i fatalne, przygodne, wypadkowe sam na sam z panną Niusią o księżycu na werandzie!

I gdybyż to było wszystko, czem dziś zagraża pobyt w pensjonacie, to dajmy na to, żonaty, stateczny człek miałby spokój.

Ale gdzietam!

A wszechwładna, także w czysto zakopiańskim stylu wyhodowana plotka?!

Niech kot w nocy przejdzie po korytarzu, zaraz następnego ranka herod-mama zrobi przy stole lekką, o sile armatniego pocisku, aluzję do ciebie z panią Nacią włącznie, pani domu i pensjonatu zmiażdży was spojrzeniem, a panna Niusia podkreśli to wszystko rozszczebiotanym, dziewczęcym uśmieszkiem, nie pozostawiającym żadnych złudzeń co do twej stateczności.

A spróbuj spóźnić się, lub wrócić późną nocą do pensjonatu! Wszystkie drzwi, niezamykane jak rok długi, począwszy od rozwalonej furtki, są zamknięte jakby czarodziejską mocą, na mur.

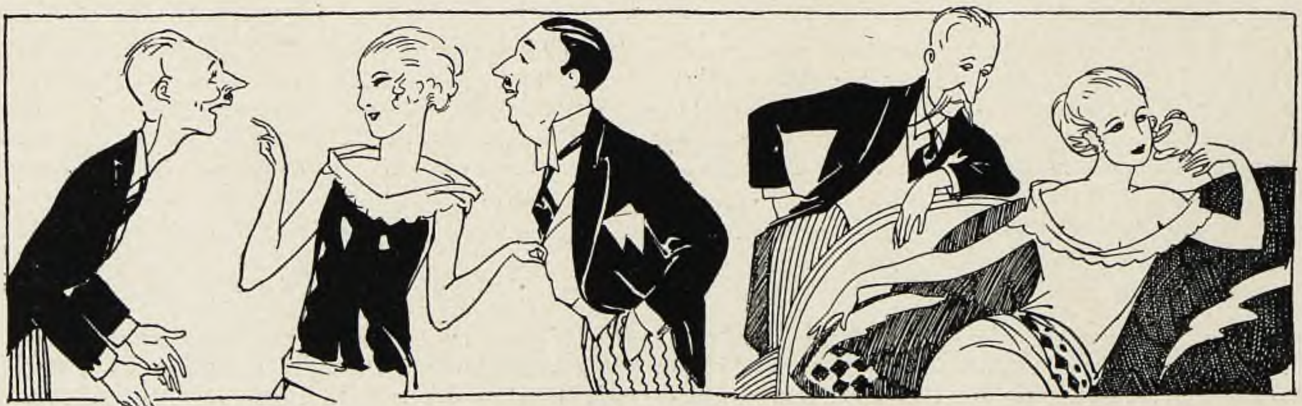
Dzwonisz (jeżeli notabene jest dzwonek), haskasz, pukasz, potem kwadrans dla odpoczynku wstydzisz się, że wszystkich pobudzisz, potem chodzisz wzdłuż sztachet, upatrując jakiejś dziury dla przejścia, znów dzwonisz, stukasz, pukasz, znów się wstydzisz, i ani się domyślasz, że za każdą z szyb, tkwi rozpłaszczony nosek i para ocząt mniej lub więcej letnich, doletnich, nieletnich, ba, nawet gorących, wypatrujących cierpliwie co to będzie i jak się to skończy.

Otóż z tym regimem pensjonatów raz trzeba zerwać, i czas po temu najwyższy. Pensjonaty, jako takie, albo staną się przeżytkiem, albo muszą dostosować się do nowych czasów.

Przedewszystkiem więc zamiast wspólnego stołu, stoliki na maximum 4 osoby, a także pojedyńcze. Pozatem niewola punktualności musi być jeżeli już nie zniesiona, to złagodzona znacznie, z tem że o ile ktoś wypadkowo się spóźni, to obiad czy kolację dostanie później lub zastanie w swoim pokoju. Trzecie i najważniejsze, teror towarzyski znosi się absolutnie i kategorycznie.

Dodałbym jedno tylko, mianowicie pewne ustosunkowanie sił, a raczej płci! Niedopuszczalnem jest bowiem, by w jednym pensjonacie lokować 9 przedstawicielek płci pięknej, pięcioro dziatwy, dwóch taterników (którzy wiecznie siedzą w górach) i jednego mężczyznę w pełni zdrowia, sił, no i zalet towarzyskich. T. K. U. mogłoby ze skutkiem wejrzeć w tę sprawę.

Stary Kawaler.





Rohacze. *Fot. T. S. Zwol.*

WYPRAWA NA ROHACZE.

Wycieczka w Zachodnie Tatry ma swoisty, odrębny urok, związany z ich charakterem, budową, rozległością i tą najcenniejszą samotnością, która wychodzi tam zadumana naprzeciw wędrowca, wychodzi na drogi, które nie istnieją, na perci, których zaledwo gdzieniegdzie dopatrzyć się można.

Marzyła nam się dawno wycieczka na Rohacze, w szczególności na Rohacza Ostrego, tego króla Tatr Zachodnich.

Wieczorem, dnia 7 czerwca, po dniu roboczym, wyjechaliśmy furką do doliny Chochołowskiej. My — to jest nierozdzielna trójka, dwaj bracia Zwolińscy, Tadeusz i Stefan, ja i towarzysz K. O. Niemało zgryzoty przed wyjazdem przysporzyła nam bardzo niepewna pogoda. Niebo zachmurzone, ale dość chłodny wieczór rokował pomyślne widoki na dzień jutrzejszy. Jedziemy tedy wyekwipowan jak należy na dwudniową wyprawę w okolice, gdzie trzeba się odżywiać z własnych zapasów a noc przepędzać wprawdzie nie pod gołem niebem, ale w schronisku niezagospodarowanem.

Na Nędzowym Groniku dopada nas już noc. Od leśniczówki Dziadonia droga do Chochołowskiej w opłakanym stanie. Ta droga, dawniej tak dobra i gładka, przedstawia cały skomplikowany system dolin i gór, boleśnie odbijający się na naszych szczękach i kościach. Rzecz dziwna, że Tadeusz Zwoliński, kartograf, tak mało się tem cieszy. Noc coraz bardziej nieprzenikniona nas ogarnia. Na tle nieba odcinają się zarysy dawno znanych i sercem witanych turni. Nareszcie — stop i schronisko.

Wita nas ubolewania godne zanieczyszczenie, iście sarmackiej maniery — z pod stodoły. Dziwna obojętność na to, co stanowi o człowieku, o jego stosunku do bliźniego, który ma się zagospodarzyć kiedyś w tych samych kątach. Przykra refleksja na temat, kto też tu chodzi teraz i poco? To nie miłośnicy gór, to nie ludzie, którzy chodzą z jakiejś duchowej potrzeby; czy to bodaj wogóle ludzie? Porozrzucane jak przez Kanibalów kości, zgniłe ziemniaki, puszki, papiery, wreszcie niezabezpieczony nawet majątek tylokrotnie już okradanego schroniska, poprzednicy bowiem zostawiają lekkomyślnie otwarte okno, oddając na łup złodziejom sprzęty i urządzenie schroniska. Oczyszczamy tedy stajnię Augjasza, zagospodarowujemy się jako tako, gotujemy herbatę, połykamy na poczekaniu co jest pod ręką w plecaku — i spać.

Godzina 1 w nocy. Okropne gorąco bucha z pieca na izbę, zapada się w jakiś ciężki senzmorę, przez świadomość snu przebija się melodyjny szum potoka, ogarnia nicość... śpimy.

Przecieram o jakimś czasie oczy. Ciemno. Zamknięte okiennice nie dopuszczają ani promyka światła, niewiadomo, dzień, czy noc. Patrzę na zegarek i indjańskim okrzykiem zrywam wiarę z twardych pryczy. Godzina 4 minut 30 rano. Mycie, zbieranie się na gwałt, gotowanie, składanie najkonieczniejszych rzeczy i przed 6 jesteśmy w drodze.

Przeszedłszy mostek, posuwamy się w kierunku hali Chochołowskiej. Trzeźwy i cudnie pogodny ranek. Gruba rosa kapie z drzew, perląc się w przelocie spadania jak tęcza.

Ranki, wy ranki cudne! Od dalekiego dzieciństwa wieje mi zapach poranków, witanych rozmarzonem okiem dziecka. Przez życie całe było ich tak sporo, a czuła, nasycona szczęściem tych poranków pamięć, wyławia je z daleczyzny minionych lat.



Na tratwie.

Potoki wy! potoki szumne! Skroś ciemnych lasów słyszę zawsze waszą gędźbę, jak mię wita, jak przez lata jednakie srebro radości niesie.

Drzewa, drzewa gór! Oploty szczęścia zielone, druhowie mili! Hale wy szmaragdowe, kamienie świtem niebieskie, obłoki wędrowne i dalekie. Na sercu, coś jak żal. Żal minionych lat, że się tak mijają jak woda w potoku zielona, jak obłok na niebie. Że się zapadają w niepowrotną przeszłość, jak zapadają się siwe kamienie na halach, że są niecofnione jak woda, że od nich, od tych minionych lat, zapach wieje, nozdrzami nieuchwytny, daleki już, daleki.

Hala śpi. Zadzwoni czekan o kamień, odpowie las... Zbudził się biały pies owczarz, naciąga się wtył, wprzód, wygiął krzyże w pałąk, łaskawie szczeknął. Niech tam baca słyszy że stróżuje, on, srogi owczar, co na nędzną służbę, na łańcuch przed szałas poszedł.

Zaturlikały dzwonki krów. Leżą w wysokiej trawie, patrząc na nas granatowem okiem. Gdzieś na płasience odpowiada im turlikanie owiec, co wcześniej wyszły. W głębokim cieniu, co pada od ścianek Mnichów idą na Bobrowiec owieczki cieniem tym błękitne.

Przed nami w całej krasie słońca odsłaniają się szczyty, Wołowiec, Rakoń. Jeszcze w żlebach śnieg leży, jeszcze po upłazach rudzieje trawa śniegiem wyleżana. Posuwamy się wolno na wyższe piętro hali i wreszcie wydostajemy się na próg kotła pod Wołowcem. Żmudna, mozolna „pompa" po usypiskach i piargach zboczem zupełnie nagiem. Jeszcze na niem kwitną Soldanelle i Primula minima. Za nami widać Kominy Dudowe, ostry dach Giewontu, wspaniałą pierś Świnicy, Tatry Wysokie, Lodowy, Jagnięcy, Kołowy.

Giewont co chwila tonie w morzu srebrnych mgieł. Od wschodu zaciąga wiatr, który kotłuje to morze tak, że tylko niebieski szczyt z nich wypływa jak okręt. My jesteśmy w sferze wiatru południowego i troska nasza o pogodę nieco przycicha. Wychodzimy wreszcie na przełączkę między Długim upłazem a Wołowcem.

Świecie! Świecie! Z rozległego kotła, którego dnem szliśmy, z szerokich krajobrazów zielonych, dostajemy się nagle w świat dziki a tak cudny w swej dzikości straszliwej.

U stóp dolina Zuberska. Dolny jej spad to morze lasów cichych i milczących w porannem słońcu. Wyżnia część, to dziki, zawalony piargami i śniegami kocioł, z którego dna i pięter błyszczą oczy jezior, naprawdę oczy pawie. Rohacki Staw Niżni mieni się niemal u stóp. Wyżni jeszcze pod lodem. Na lewo czarna ściana Rohacza Ostrego, z charakterystycznym zębem w grani. Od szczytu w dół zwalają się okropne w tym cieniu urwiska, poprzecinane ostremi wstążkami śniegu zalegającego żleby. Dalej odcięty głęboką przełęczą Rohacz Płaczliwy z długą granią ku Zielonej przełęczy. Zielony przedni Wierch, Banówka Salatyński, wszystkie w słońcu. W szerokich i związanych z sobą niewysokiemi progami kotlinach, w których drzemią stawy, rodzą się mgiełki, nadmuchane złotem oddechu ciepłego wiatru. Płyną, czepiają się grani. Oto zdaje się że sam szczyt oderwał się od swego trzonu, i płynie po zwełnionem morzu nieba. Jest coraz wyższy, coraz bardziej wniebowzięty, już... już ulata. Rozwiewa się mgła, szczyt się słońcem złoci. Nad wszystkiem milczenie Wieczności, która tutaj króluje. Z podmuchem wiatru co się samotny po graniach tuła, przyjdzie daleki szum potoku... lasu. Rozmowa ziemi z wiekuistą Niezmiennością. Czemże jesteś zawieszony na przełączce — człowiecze? Kopuła nieba nad tobą, niebieska, u stóp dolina najpiękniejsza z dolin świata a w tobie bije entuzjastyczne, lecz jakże słabe, jakże kruche serce.

Oto wiatr donosi Ci do ucha potężny rytm serca ziemi, tętent, który nie ustanie nigdy. Czemże twoje kruche serce człowiecze? Gdyby cię przynajmniej na ten sen, co cię czeka, ogarnął i przytulił ten oto świat, na który patrzysz.

Nad nami słychać głosy. Ścieżyną z Wołowca schodzi towarzystwo czeskie. Nieciekawe. Wyszli z Jamnickiej doliny. Wziąłem do ręki szkła. Chciałem dokładniej przyjrzeć się poszarpanej grani Rohacza Ostrego, którędy nam nasza droga. Olbrzymie bloki stanowiące dobre przełazy i jedna frapująca ścianka, widna w słońcu zdaleka. Idziemy poraz pierwszy na Rohacze. Syci literatury i opowiadań o nich, stoimy oto w ich obliczu. Mają to nieznane szczyty do siebie, że się zawsze jest dla nich z respektem. Mamy go i my. Myśl pracuje i wyprzedza wypadki. Jakże to tam, łatwo czy trudno, puści czy nie puści?

Wychodzimy wreszcie na Wołowiec, mijając kopczyki graniczne, budzące niewesołe refleksje. Ze szczytu Wołowca widac znowu dwu ludzi na grani Rohacza. Schodzą na naszą stronę bardzo niedołężnie; to jacyś „speszeni". Zlatujemy naprzeciw, na przełączkę. Widać pustą i głuchą dolinę

Jamnicką z jeziorami, Kończystą, Jarząbczy. Z za Wołowca wygląda czubek Bobrowca i Osobitej. Schodzimy się z „speszonymi“. Są to dwaj czescy studenci z Pragi. Narzekają że nie puściła ich ta „sakra zed“ (ściana), żeby się tam zdały żelaza, żeby... Przyjmujemy te ich „żeby“ nieco z humorem, bo taka już natura ludzka. Oni ten humor odczuli i złość im błysła w oczach. Rozstajemy się. Zaczynamy wreszcie spinaczkę na Rohacza Ostrego. Zrazu łatwa drapaczka między olbrzymiemi wantami, po skałkach bardzo kruchych, po upłazkach trawiastych całkiem pewnych, choć dobrze nad przepaścią zawieszonych. Natrafiamy na pierwszą ściankę od której cofnęli się Czesi. Lity blok-ściana z dobrym chwytem lecz oparcie nogi spoczywa na maluteńkim zuchelku ziemi ledwie wszczepionej w rysę. Pod nogą, hej mocny Boże, štyrbno, ściana aż na sam dół. Znów trawersujemy upłazkami i przychodzimy do miejsca, gdzie zginął niegdyś Jenne z towarzyszem. Prawie pionowa płyta, wejście na nią z minjaturowej przełączki. (Płyta przypomina konia). Na płycie chwyty dogodne, przy końcu szczerba w płycie na szerokość ludzkiej stopy. Całe przejście nad błękitem przepaści. Przechodzimy to miejsce gładko, stamtąd znów na minjaturową przełączkę i dość wysokim, prawie pionowym kominem w górę. Komin mało trawiasty, chwyty skąpe lecz dobre.

Jesteśmy na szczycie. Południe. Świat słoni się w niebieską mgiełkę pogody. U stóp naszych bogata Liptowska ziemia, szerokie rozłogi równin, syte nieznanym po naszej stronie kolorem zielonych zbóż. Bogate, długie wsie wzdłuż rzek, a nad tem majaczy śnieżna Fatra, Tatry Niżnie. Na niebie obłoki pogodą ciężkie. Z drugiej strony, od Zuberskiej dymią ciepłe mgły.

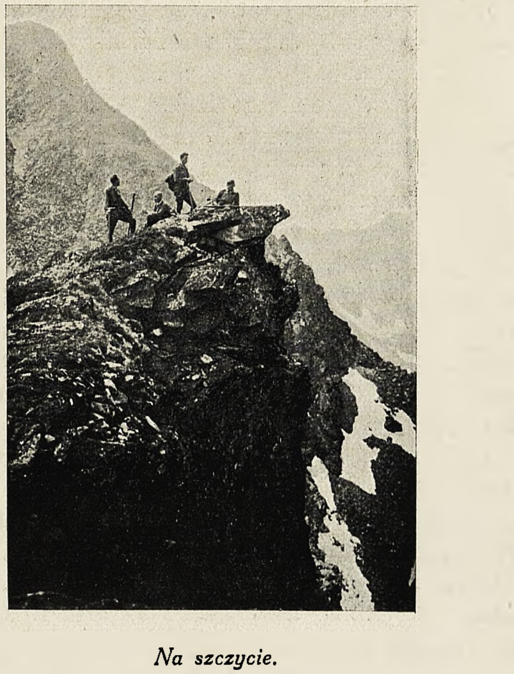
Dobrze nam tutaj. Przebyty trud, jak się okazał niewielki, zdobyty szczyt, zaspokojona pasja, cicha radość życia. Roztocz nieba i błękit dolin przed nami, cisza, sytość wolności.

Ruszamy ku Płaczliwemu. Znów ogromnie w dół na przełęcz między Ostrym a Płaczliwym (jedna łatwa ścianka) i ciągle ściśle granią po bardzo kruchych i zwietrzałych blokach, potem po trawie dostajemy się na Płaczliwego bez żadnych trudności. Granią po łupkach krystalicznych schodzimy ku przełęczy Zielonej. Mały wypadek nie dostrzeżony przez towarzyszy. Oto kamień pryska mi pod nogą jak grzyb i padam obsuwając się nieco w dół, raniąc dotkliwie nogi w kolanach i głowę. Pomny starej zasady, zrywam się i mimo wściekłego bólu idę dalej, „aby się rozszedł“. Grań między Zielonym Przednim a Rohaczem jest dość długa. Podejście na Zielony Przedni i powrót do przełączki pod Zielonym nie zabiera nam jednak dużo czasu i nie przedstawia żadnych trudności. Z przełączki orjentujemy się co do kierunku i położenia Stawu Rohackiego i śniegami jak strzała spadamy w dół. Trawersując ku północy stajemy na wysokim progu nad stawem, trawkami w dół na maliniaki i jesteśmy na brzegu jeziora.

Cudne ej cudne jezioro! Zaszyte w kosówkę i zielone trawy patrzy wypływem na Rohacza Ostrego, na jego wspaniałą nagą pierś. Mieni się i odbija w sobie śniegi drzemiące po żlebach i obłoki wędrowne. Jest ciche, nie słychać prawie szumu potoku co z niego wypływa, nie marszczy się pod wiatrem, który górą przelata. Takie w sobie zamknięte i zadumane a głębokie i ciemne w toni jak noc. Ma i tratwę wygodną, na której uwijają się dwaj towarzysze. Po chwili wybucha watra jasnym dymem, warzy się herbata, zaczyna się gruntowniejszy wypoczynek i odżywianie. Jest godzina 4 min. 30. Pijemy tedy herbatę i też nie bez przygód. Na skomplikowanej kamiennej kuchence kołysze się chwiejnie naczynie, trzeba je na szerokiej deszczułce zdejmować, bo palce parzy. Trzy razy musiałem gotować wodę, trzy razy bowiem zaparzona wylewała się na trawy i goryczki, ku wielkiemu mojemu niezadowoleniu, a ku skrytej radości towarzyszy. Ślubujemy powrócić do tradycyjnego kotlika.

Leżymy, sycimy się wypoczynkiem, cudnym samotnym pejsażem, ciszą i pogodą.

Zbieramy się jednak i ruszamy, droga przed nami daleka. Po naradzie postanawiamy zejść aż do schroniska w Zuberskiej, a potem żlebem Szyndlowca popod Rakonia a ponad doliną Łataną, by z Długiego Upłazu zejść pierwszym lepszym żlebem do doliny Chochołowskiej. Ostrym krokiem mijamy schronisko w Zuberskiej, pełne Czechów, z typu „turystów po dolinach“. Jednej tam Czeszce strasznie się świeciły oczka do Polaków,



Na szczycie.

naturalnie tych młodszych (psiakość), idziemy jednak z okrutnym fasonem dalej w las. Hej, ale to też i las — bór. Ogromne smreki, zrośnięte nieraz po pięć, sześć razem, strzelają w niebo wiekowemi wierchowcami. U stóp trawa wysoka w pas, kwitnące szczawie, bogactwo nagrzanej od słońca ziemi.

Słońce się chyli ku zachodowi. Towarzysze zostali w tyle, zajęci zdjęciem fotograficznem. Siadam na jakimś wykrocie tuż na granicy zasięgu lasu. Granie, szczyty, śniegi i piargi, wszystko kąpie się w zachodniej poświacie. Kładzie się na nie gorąca, fioletowa barwa, płynna i przejrzysta. Słońce nurza się w otoku jaskrawych chmur. Cisza! Odezwie się gdzieś w lesie ptak. Daleki, przedwieczorny szum lasu...

Móc mieszkać gdzieś na polanie jasnej i słonecznej, mieć szum potoków miast rojowiska ludzi, móc myśleć, żyć, pracować jak się chce, przynajmniej jakiś niedługi, codziennemu życiu wykradziony czas, upijać się zapachem ziół i traw, poprostu uciec od życia na chwilę i wypocząć tam, gdzie już nie dochodzi małość ludzka...

Słońce się kłoni w mgły. Czas. Odeszło samotną percią marzenie i zszarzało, zgarbiło się jak człowiek zawiedziony. Marzenie odeszło percią pod słońce.

Idziemy żlebem Szyndlowca i stajemy nad Łataną doliną, którą zamyka Osobita. Doliny i góry toną w granatowym półmroku. Nad niemi kołyszą się białe zwały mgieł, obrzeżone purpurowym rąbkiem umarłego słońca. Trawersujemy zboczem ku przełączce nad Chochołowską w kierunku Bobrowca. Mrok. Znużenie. Takiemi miękkiemi trawiastemi zboczami chodzi zawsze zaduma, w granatowych głębiach dolin kryje się cichy smutek minionego dnia.

Z przełączki, wściekły zjazd na czekanach po pochylni zbocza w dół. Na dnie doliny już noc. Wietek księżyca wypłynął na przełęcz, tam właśnie, gdzie staliśmy przed chwilą, i patrzy rogaty w dolinę. Wśród kościelnych filarów smreków noc wzdycha, rozświetlona przelotem świętojańskich świetlików. Majaczą zatopione w noc i znowu senne lub buchające krwawym dymem szałasy. Zdaleka dochodzi pieśń pasterek, ostre, przeciągłe jak echo długie tony:

Zahucały góry, zasumiały lasy
Ej ka sie popodziały starodawne casy...

Bucha wysoko jałowcowa pachnąca watra, ciemne sylwetki dziewcząt w obłąkanym tańcu. Tam się wytańcowuje ich młodość dzika i jurna, ich skryte kochanie, nieokiełznana, z ziemi wyssana żądza życia, przelewa się w holofieniu, w wyskakaniu aż do utraty tchu.

Jakiż smutek na sercu. Wysoki szczyt życia, tam na grani bujny dzień pogody i siły, przeszły... Już oto stracił się i ten jeden dzień więcej.

Młodość, hej młodość!

Wita nas ciemny dach schroniska. Tak się dziwnie pod tym smutkiem przedłużyła droga do niego.

Spoczynek, morze herbaty i po długiej chwili ciszy — sen.

Rankiem budzi nas szary dzień bez uśmiechu słońca. Spędzamy go na Dudowej polanie u bacy Siutego, w swędzie dymu, z czerpakiem żętycy w ręku, na pogwarce. Siąpi coraz silniej. Wracamy do schroniska. Zdaleka wita nas rżenie Rafała, mojego poczciwego konia. Pod daszkiem przez strugi dżdżu majaczy sylwetka drobna żony.

Zamiatamy, czyścimy izbę, zamykamy... i wzięło nas w objęcia codzienne życie.

Czasami jak majak wypływa wspomnienie zachodu słońca w Zuberskiej dolinie.

Tadeusz Malicki.



Na hali.

FRAGMENCIK Z ŻYCIA.

Urywek z „Moich Współczesnych".

...Z pobytu mego w Skandynawji jeden fakt utrwalił się już na zawsze w moim mózgu:

Bohemja norweska w Chrystjanji podjęła swego egzotycznego gościa — a za takiego uchodziłem tam w Norwegji, bo któż tam coś wiedział po on czas o Polsce! — wspaniałą pijatyką — pocóż gadać w bawełnianych obsłonkach — która się przeciągnęła do jasnego dnia — a całkiem jasny był dzień, gdym się obudził — jasny? przecież tam latem wciąż było jasno i dniem i nocą — pamiętałem w każdym razie, że zaprowadził mnie jeden z młodych literatów Jappe K. do swego mieszkania, bo do mego hotelu było za daleko.

Nagle budzę się — ktoś złowrogo krzyczał na mnie: „Sposób się do śmierci!"

Siadłem na posłaniu — z trudem zorjentowałem się, gdzie jestem — przetarłem oczy — ujrzałem kochanego Jappe, stojącego na swojem łóżku z wyciągniętym rewolwerem.

— Gotuj się na śmierć! — wołał Jappe.

Nie miałbym nawet czasu odpowiednio się na śmierć przygotować, bo w tej chwili świsnęła jedna i druga kulka rewolwerowa naokoło mych uszu — a jakim cudem zdołałem opanować deliranta — tego już nie wiem.

I pocóż przytaczam ten głupi fakcik?

Jedynie dlatego, żem nigdy przedtem, ani potem nie odczuł tak intensywnie pobliża śmierci, jak tego rana.

Dwa razy się w Gople topiłem i z trudem przywrócono mnie do życia, zażyłe były mi rozkosze śmierci już od najrychlejszego dzieciństwa: jakiemś dziwnem przeczuciem czegoś strasznego gnana matka moja wpadła do pokoju w chwili, kiedy obłąkana ciotka moja schwyciła mnie — roczne dziecko — za nogi i huśtała w powietrzu, by mi o ścianę główkę roztrzaskać — i to opowiadanie przeżywałem z cichym uśmiechem — ale nigdy mi śmierć nie zajrzała tak głęboko, tak poufale w moje oczy, jak wtedy, gdym obezwładniał obłąkanego deliranta. W tej strasznej chwili rozwarła mi się na oścież tajemnica śmierci, naokoło której już teraz ustawicznie krążyć jąłem. Oścież się w tej chwili zamknęła, ale wiedziałem już, kędy tajemnice śmierci spoczywają.

Na drugi dzień, punkt o dwunastej w południe, zetknąłem się poraz wtóry z Ibsenem — poznał mnie — skłoniłem mu się do nóg:

— A, a! — powiedział, już znam pana, słyszałem dużo dobrego o panu i dużo złego, ale to dobrze, bardzo dobrze, jeżeli o młodym artyście mówi się dużo złego — znowu głęboko się pokłoniłem — a, gdy pan przyjedzie do Berlina, niech pan pozdrowi mojego przyjaciela Blumenthala!



W dzisiejszym numerze pomieszczamy podobiznę Stanisława Przybyszewskiego wraz z jego małżonką Jadwigą. — Pani Jadwiga bierze bardzo znamienny i gorący udział w twórczej pracy słynnego autora, co on sam w kilku wywiadach z głęboką wdzięcznością podkreśla, a w swej przedmowie do „Krzyku" omawia obszernie jej tak ważną i zaszczytną, a tak rzadką rolę, jaką żona jego w życiu umysłowem odgrywa i piękny i głęboki hołd jej składa.

Uścisnął mi rękę i hierofantycznym krokiem — taki krok pewno tylko nieboszczyk Kant odmierzał, kiedy był swego czasu najpewniej idącym zegarem dla Królewca — poszedł do „Café-Grand", gdzie już go oczekiwały wszystkie pisma niemieckie, które od deski do deski studjował i flaszka whisky, a stała ona na jego stoliku nawet w sobotę, kiedy żaden śmiertelnik nie mógł w Chrystjanji kropli alkoholu otrzymać, bo mądry Ibsen zakupywał tę flaszkę już w piątek, była zatem jego własnością.

I w tej chwili staje mi na pamięci jeden fakt z mego dzieciństwa, dziś już zamroczony w niejasnej mgle poszarpanego trochę wspomnienia, ale dosyć jasny, by zdradzić źródło tego — dla moich współczesnych może całkiem niewyrozumiałego i chimerycznego — nietylko to — ale już wprost namiętnego zajmowania się przez blisko 30 lat kwestją czarów, czarownic — i wszystkiego tego, co jest z pojęciem tak zwanego „satanizmu" złączone.

Fakt ten jest blisko związany z moją zażyłością z śmiercią, tylko już nie nagłą, a niespodziewaną, o którą będąc dzieckiem — na przekór wszystkim — Boga prosiłem, ale z tą powolną, na jaką ludzie w renesansie konali, kiedy ich powoli truto piekielnym preparatem: „Aqua Toffana“.

W domu naszym służyła starsza już dziewczyna — skryta, ponura, cierpiąca na ciężką epilepsję — matka z litości ją tylko trzymała — a pozatem złośliwa i okrutna dla zwierząt. Dziecko, jak wiadomo, jest najwspanialszym detektywem w świecie: często ją podpatrywałem, jak się ohydnie nad zwierzętami pastwiła, ale jakiś dziwny wstyd i tajemniczy lęk nie pozwolił mi jednem słowem o tem rodzicom moim wspomnieć.

Jedno takie piekielne wspomnienie do dziś dnia zimnem mrowiem mnie przeszywa:

Jak wiadomo, istnieje na wsi tasak, w formie krętego ~, który służy do „krychania“ kartofli, to znaczy rozdrabniania ich na drobne cząstki, by przysposobić „żarcie“ dla świń; polewa się to Bóg wie jakiemi pomyjami, a tak przyrządzoną potrawę świnie chętnie pożerają.

Otóż pamiętam raz uzbierała ta dziewczyna-zwierzę — Ulicha było jej na imię — cały duży kosz ropuch — a na nadgoplańskich błotach, bagnach i zabagnionych stawach panowało przeobfite bogactwo wszelkiego rodzaju żab, ropuch i najwstrętniejszych padalców — wzięła ten tasak do ręki i posiekała ten cały kosz żyjących ohydnych ropuch na drobne kawałki, oblała tą piekielną gnojówkę żywego jeszcze mięsa ropuch jakimś wrzątkiem, a potem wlała to świniom do koryta.

Matka była zrozpaczona, kiedy po paru dniach dwie najpiękniejsze świnie — majątek cały — nagle zdechły — ja wiedziałem dlaczego — a zdumiewające: milczałem! Zdawało mi się, że gdy tajemnicę tę zdradzę, coś niesłychanego się stanie — kto wie, czy ojciec mój nie byłby jej ubił!

To tylko maleńki przykład zbrodniczego okrucieństwa tej chłopskiej Alrauny — Alrauna Heinza Ewersa, to prosta, salonowa lala, lichuteńka karykatura tej wściekłej, srogiej czarownicy — Ulichy. W całej wsi uchodziła za notoryczną czarownicę — omijano ją zdaleka, a wszystkie matki zakrywały na jej widok niemowlęta swoje czerwonemi chustkami. Raz widziałem, jak krowie naszej, która ją przy złośliwem i widocznie bardzo bolesnem dojeniu ubodła, podrzuciła koniczynę doszczętnie podczas ciężkiej burzy przemokłą, a krowa po paru godzinach się wzdęła i zdechła; chłopakowi, który ją przezywał czarownicą, dała do picia cukrem osłodzony wywar z ziarn „pindy-ryndy“ (solanum niger) tak, że chłopak potem spał pięćdziesiąt godzin, a obudził się idjotą; jakiemuś uczniowi wiejskiego szewca, który o niej opowiadał, że chciała sobie chłopa kupić za pieniądze, podrzuciła jakiś „placuszek“ — chłopak był głodny — zjadł, chorował potem parę tygodni, a gdy się wygoił z jakichś tajemniczych ran, cały był poskręcany i już potem tylko o kulach mógł chodzić.

Raz ojciec mój wyciął jej ciężki policzek za nieposłuszeństwo — w głowę zachodził na drugi dzień, co się stać mogło: miał trzy duże grzędy przepięknych maków, które namiętnie hodował i z których był bardzo dumny — widziałem jak Ulicha późnym wieczorem skradała się miedzą między grzędami. Co tam robiła, nie wiem, dość, że rano cały ten przepych maków jakby mrozem był zwarzony, zwiądł całkiem w ciągu dnia i usechł.

A ja na wszystko milczałem, mimo, że najstraszliwsze męczarnie przechodziłem.

W szkole ojca mojego wisiał duży, pozłacany krzyż — raz w niedzielę, gdy rodzice byli w kościele, zaprowadziła mnie do szkoły, zaczęła tańczyć po ławkach jak opętana, a nagle przystanęła przed krzyżem i poczęła na niego pluć. Dostałem tak straszliwego wstrząsu, żem na ziemię upadł — ale milczałem.

Nieraz była moja matka ciężko przerażona, gdym wybuchiwał nagłym konwulsyjnym płaczem; raz chciałem coś powiedzieć, a nie mogłem: mój język był związany.

Coraz głośniej już nie przebąkiwano, ale otwarcie mówiono, że Ulicha jest czarownicą, ale matka moja była zbyt starannie wychowana, by w takie brednie wierzyć, a ojciec mój był właśnie na to powołany, by jak najostrzej tępić wśród ludu gusła i przesądy.

Ulicha była przybłędą. Nikt nie wiedział, skąd się przyplątała do naszego domu, sama nie wiedziała, jak się nazywa, coraz to inne nazwisko podawała, a im więcej ją na wsi prześladowano, tem goręcej broniła ją matka moja w swej bezbrzeżnej miłości do wszystkiego, co cierpi i jest udręczone.

Ale nadeszła chwila, kiedy matka wpadła w ciężkie przerażenie.

Ojciec nienawidził Ulichę — znowu ją raz ciężko ukarał.

Ulicha wiedziała, jak mnie ojciec kocha — postanowiła pomścić się na mnie. Ojca się bała.

Nagle, ni stąd ni zowąd, począłem ciężko chorować na jakiś potworny ból głowy, na który nawet tak doświadczony lekarz, jakim był stary Rakowski w Inowrocławiu, rady nie miał.

Ja wiedziałem, co się stało — ale milczałem.

Ulicha chwyciła mnie, wcisnęła między kolana, rozcięła mi skórę na czole — dotychczas mam bliznę, wtarła w rankę sok niedojrzałych śliwek, („glubkami“ zowie lud ten bardzo niebezpieczny owoc), który przedtem opluła, mnie kazała powiedzieć, żem czoło sobie rozciął o kant stołu, bo inaczej

żywcem do piekła się dostanę — i wszystko było w porządku, gdyby nie to, że już po paru godzinach wiłem się z bólu głowy i trzęsła mną zimna febra — czyli jak to na Kujawach nazywają: zimna „ogroszka".

Ale czuwała nademną Łucha Ławecka — gdym przyszedł na świat, była matka moja za słabą, by mnie karmić, więc otrzymałem ją jako matkę mleczną — mój mleczny brat „Jaśku" miał mi potem służyć za model do „Adama Drzazgi" — Łucha obejrzała mnie dokładnie, potem podeszła do pieca, z którego Ulicha właśnie świeżo upieczony chleb łopatą wyciągała — słyszę przerażony krzyk matki: Jezus Marja! Co się stało — co bochenek, to zakalec! ale Łuchę nic biadanie mej matki nie obchodziło. Wyciągnęła z gorącego pieca kilkanaście drobnych kawałków węgla drzewnego, nagotowała miskę wody — wrzuciła do niej węgielki: wszystkie opadły na dno:

— Stasiu jest uroczony! — zawyrokowała — ta czarownica małpa Ulicha urok na niego rzuciła!

Widziałem, z jakim przerażonym lękiem patrzyła Ulicha na praktyki Ławeckiej.

Gdy już noc zapadła, nagrzebała Łucha w swoim ogródku korzeni żywokostu, zgotowała je na miazgę — o północy wyjechała na Gopło, nazrywała liści „bączywia" (białych róż wodnych), skrapiała je wywarem korzeni żywokostu, ostudzonego w święconej wodzie — zaczerpniętej w źródełku Gietrzwałdskiem, przy którem kilka miesięcy temu Matka Boska paru dziewczynkom się objawiła — całą noc przykładała mi te liście na głowę i na piersi — wciąż coś mamrotała — wiem tylko, że nie były to słowa modlitwy — na drugi dzień stał się cud: wstałem zdrów i rzeźki, jak nigdy — natomiast znaleziono Ulichę w stogu słomy — trzęsącą się z zimna mimo upalne lato, klapiącą i szczękocącą zębami wskutek srogiej zimnicy.

Ulichę trzeba było przewieźć do szpitala w Inowrocławiu, gdzie niezadługo potem umarła.

To klasyczny przykład „choc en retour", jakimby się nawet ani Vintras, ani słynny dr. Johannes Huysmans'a poszczycić nie mógł — bajeczny przykład „transfertu", któryby naszego dra Babińskiego, lub wielkiej pamięci Ochorowicza był mógł w zachwyt wprowadzić!

Teraz może zrozumiałe, dlaczego tyle lat życia poświęciłem zbadaniu tego zdumiewającego problematu, jakim jest dla mnie „czarownica" — dwutomowe dzieło o czarownicy, które — Bóg da — niezadługo się ukaże, będzie świadczyło o ciężkim trudzie, z jakim się w tę niesłychaną tajemnicę wdzierałem.

To tylko drobniuteńki „fakcik", jaki powyżej przytoczyłem — byłem jako chłopak, świadkiem tak potwornych czarodziejskich praktyk, że już lepiej o nich nie mówić, ani nie wspominać — czasami mam wrażenie, że i mnie zaobowiązuje jakieś tajemnicze „maleficium taciturnitatis".

Zdawałoby się, że to wspomnienie, kiedy mowa o moim pobycie w Skandynawji, ni przypiął — ni przyłatał — oj nie! gwałtownie mi się narzuciło: czem głupie rewolwerowe wystrzały obłąkanego deliranta wobec szatańskich ataków niewidzialnego astrala czarownicy?!

Stanisław Przybyszewski:



PODRÓŻ.

Dudnią koła po szynach w jakiejś dziwnej piosence,
Na postojach przez okno wpada huk, gwar i jaśń,
Pani nuda wyciąga do mnie białe swe ręce,
Zapomnianą cichutko opowiada mi baśń:
— Że tak pędzić będziemy, pędzić w bezkres przez [wieki,
Głuchych ludzi poznawać, chłonąć szał mocnych win,
Że pociągać nas będzie nocą księżyc daleki,
Przepych miast niewidzianych, tajemniczy wąż szyn,
Powódź światła w kawiarniach, serpentyny muzyki,
Blady świt, zwiastujący, że na ziemię zszedł dzień
I z zamtuzów zamkniętych pełne grozy okrzyki
I Smęt, co za nami wciąż się włóczy, jak cień!
Nudo moja! Kochanko — dosyć tego na Boga,
Pod kołami pociągów niech utuli nas sen,
I niech słońcem złocona nam zamarzy się droga,
Albo mrok nieprzejrzany, jak przepaście bez den!

ANDRZEJ NULLUS.



MISTERJUM TATR.

Baśń dramatyczna w 3 aktach i 2 intermedjach z epilogiem.

PROLOG.

Widownia ciemna. Przed zapuszczoną kurtyną wychodzi z prawej strony Autor słowa z latarką o świetle jaskrawem, czerwonem, z lewej Autor barwy z latarką o świetle zielonem i podnosząc równocześnie latarki świecą w oczy publiczności zgromadzonej na widowni. Akompanjament staroświeckiej Sabałowej nuty utrzymanej w pianissimach przez cały czas djalogu.

AUTOR SŁOWA:

Giną bogi ojczyste — mrze obyczaj stary,
Barbarzyńskie siekiery rąbią święty gaj,
Więc w kraj idę, gdzie kwitnie jeszcze wiara w czary,
Idę w Tatry, w zaklęty w spiż granitów kraj.
Idę... krwawą latarką naświetlając drogę,
Zagubiłem ślad drogi — znaleźć go nie mogę...

AUTOR BARWY:

I ja drogę zgubiłem i wśród mroków błądzę
A tęsknota mię w Tatry — w chram prześwięty gna.
Z sercem czystem chcę wstąpic w święte ich wrzeciądze,
Które dzisiaj oblega ludzi szarych ćma...
Idę i w mrok wytężam oczy me tęskniące
I choć mrok — pod rzęsami mam tatrzańskie słońce...

AUTOR SŁOWA:

Góry!... góry ojczyste!... święty Domie Złoty!
Co pełnicie ziem polskich i dusz polskich straż —
Do stóp Waszych w pokorze niosę me tęsknoty
Przed Waszym majestatem kornie chyląc twarz,
I gdy mi źle na sercu i na duszy podle
Was śnię, Tatry dostojne, i do Was się modlę!...

AUTOR BARWY:

O Tatry w Sabałowej uśpione legendzie,
Tęsknoto ludzi cudnych, którzy poszli w grób,
Kiedyż piękna przybytkiem znowu chram Wasz będzie,
I człowiek, co w chram wstąpi, pył omiecie z stóp
I w Waszem dostojeństwie rozmodlon i w Pięknie
Głowę skłoni w zachwycie i w pokorze klęknie?

AUTOR SŁOWA:

Rządzimy z latarkami ludzie sercem czyści,
A drogę do Was Tatry zasłania nam mrok,
Szukamy jej zbłąkani my polscy artyści
I przez ćmę szarych ludzi, przez jarmaczny tłok
W walce, o Piękno Wasze, rozpacznej i niemej
Z radosnemi wiciami zwycięstwa idziemy.

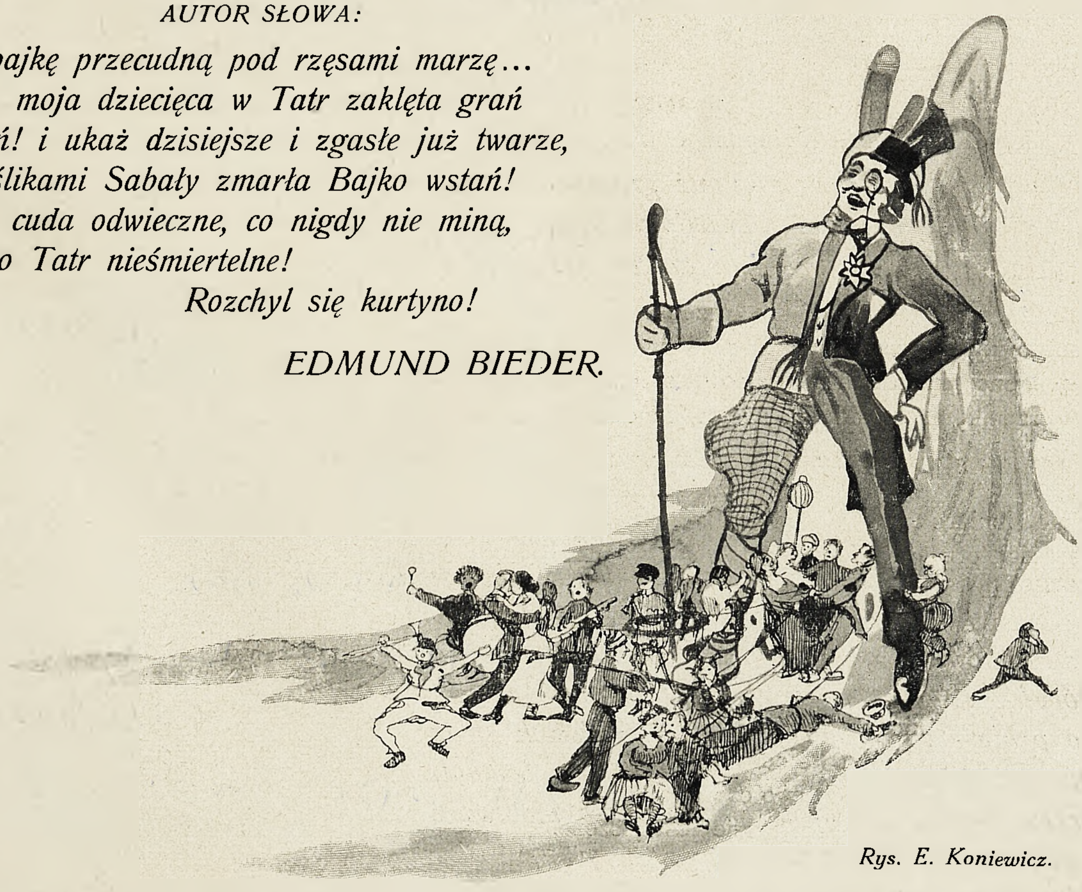
AUTOR BARWY:

O Piękno nieśmiertelne w Tatr zaklęte grani,
Życia bujna urodo, co na sercach grasz,
Wystąp w krasie swej złotej greckiej i poganiej
I nam, co Cię szukamy, ukaż swoją twarz —
I niech to, czem żyć można dzisiaj jeno we śnie,
Żywe i krwią tętniące przed oczami wskrześnie!...

AUTOR SŁOWA:

Oto bajkę przecudną pod rzęsami marzę...
Bajko moja dziecięca w Tatr zaklęta grań
Wstań! i ukaż dzisiejsze i zgasłe już twarze,
Z gęślikami Sabały zmarła Bajko wstań!
Ukaż cuda odwieczne, co nigdy nie miną,
Piękno Tatr nieśmiertelne!
Rozchyl się kurtyno!

EDMUND BIEDER.



Rys. E. Koniewicz.



Marja Eleonora Szczeniowska.

Sfery towarzyskie Zakopanego, zamieszkałe tu stale, aczkolwiek dzielą się na kółka i kółeczka względnie do upodobań i ustosunkowań wzajemnych, niemniej przejawiają dużo żywotności i energji emanując nader korzystnie, zwłaszcza w okresach zacisza po lub przedsezonowego, na tempo życia. Zakopane zawsze było ogniskiem inteligencji i arystokracji tak ducha jak i rodowej. W przemiłym, pogodnym życiowym desabilu zwykłych śmiertelników spotyka się tu najchlubniej zapisane w Polsce nazwiska. Jedni osiedli tu na stałe, inni rok rocznie odwiedzają ukochane góry, sążniście przytem z reguły narzekając na „tę dziurę", ale jeżdżą i pocichu marzą, „upatrując" znośnego zakątka osiedlenia się. I tu, nie w sezonowych wycieczkowiczach, zda mi się, spoczywa punkt ciężkości przyszłego rozwoju Zakopanego.

A wszystkich łączy, mimo, jak zaznaczyłem, dzielących się kół i kółeczek, nieustanne utyskiwanie i u k o c h a n i e tego czarownego prymitywu, jakim bezsprzecznie Zakopane jest jeszcze.

Ale odbiegam od tematu!

Otóż sfery towarzyskie wnoszą tu pewien może odrębny ton w harmonję życia, niemniej ożywczy i konieczny, a do pełni życia niezbędny.

Wprowadzając na łamy „Giewontu" dział Kroniki towarzyskiej pragnęlibyśmy ująć tu jedną z stron życia miejscowego, zupełnie lub co najmniej zbyt mało dotychczas podkreśloną w rozwoju Zakopanego.

Nieraz w zaciszu martwego sezonu padnie myśl, inicjatywa, projekt i wtedy jak do apelu stają zgodnie wszyscy, zwłaszcza gdy idzie o Zakopane, lub o spełnienie rzeczy miłej i dobrej w znaczeniu społecznem.

W krótkim przeciągu czasu, bo trzech miesięcy, mamy do zanotowania w kronice towarzyskiej trzy takie ewenementy.

Pierwszym była prelekcja p. Magdaleny Samozwaniec w gościnnie użyczonej przez panią M. E. Szczeniowską hali Mariloru. Dochód z wieczoru przeznaczony był w całości na budowę Schroniska Pięciu Stawów, z żelazną wytrwałością kontynuowanego przez p. Karola Stryjeńskiego. O samym odczycie znanej autorki pisała już prasa codzienna, od siebie dodamy, że p. M. Samozwaniec czytała utwory własne, tak pełne dowcipu, sarkazmu, ironji i parafrazowanych kalamburów, że wieczór zbiegł jak jedna srebrna kaskada śmiechu rozbawionych słuchaczy.



Marja Starzewska (Magdalena Samozwaniec).



Krystyna Chądzyńska.



Marek Chądzyński.

Drugą atrakcją, również na ten sam cel Schroniska przy Pięciu Stawach zainicjowaną, był konkurs tańca. Wieczór ten u Trzaski zgromadził można powiedzieć „tout le monde“ Zakopanego, i jeżeli można było konkursowi cośkolwiek zarzucić, to chyba tylko to, że wynik był zgóry przesądzony, takiej bowiem salonowej pary tancerzy jak. pp. Chądzyńscy, drugiej, bez przesady, znaleźć byłoby trudno, nie tylko w sferach towarzyskich ale nawet zawodowych tancerzy. Wykwint ruchów, spokój hieratycznego niemal rytmu, połączony z wytworną a niewymuszoną elegancją, dają w całości swej pojęcie, czem są i jakiemi winny być dzisiejsze tańce, tak niemiłosiernie parodjowane na wszystkich dancingach. To też nagrodę konkursową jednogłośnie i bezapelacyjnie przyznano pp. Chądzyńskim, mimo, że nie brak było par wdzięcznych i miłych.

Trzecim, na większą skalę pomyślanym arrangement, już w sezonie, a raczej u schyłku, bo we wrześniu, był „Turniej tennisowy o mistrzostwo Zakopanego“ wobec doborowej publiczności i przy wyjątkowej, jak na Zakopane, pogodzie, rozegrany w czasie od 15 do 19 sierpnia, na placu K. S. „Krokus“ w parku „Stamary“ III. Zainteresowanie duże ze względu na ostre walki takich graczy, jak Zachar, Richterówna, Steinert, Łabuński, Polakiewicz i całego szeregu młodych, obiecujących adep-





W oczekiwaniu wyników turnieju tennisowego.



Podczas gry.



Zwycięzca Feliks Łabuński.

tów tego najpiękniejszego sportu letniego. Reprezentowane prawie wszystkie nasze sportowe ogniska z wyjątkiem Lwowa i Wilna.

Na pierwsze miejsce ogólnego zainteresowania wybiła się świetna para Richterówna — Steinert (Łódź), która doskonałem zgraniem, skończoną techniką i wytworną formą wzbudzała podziw i ogólny zachwyt. Zwłaszcza czarowała nas p. Richterówna, której styl i technika gry bardzo są zbliżone do Zuzanny Lenglen. Jedynym błędem jej jest zbyt niewolnicze operowanie na linji serwisu. Z łatwością więc, mimo wysokiego wyrównania, mistrzowska para Łodzian zdobywa pierwsze miejsce.

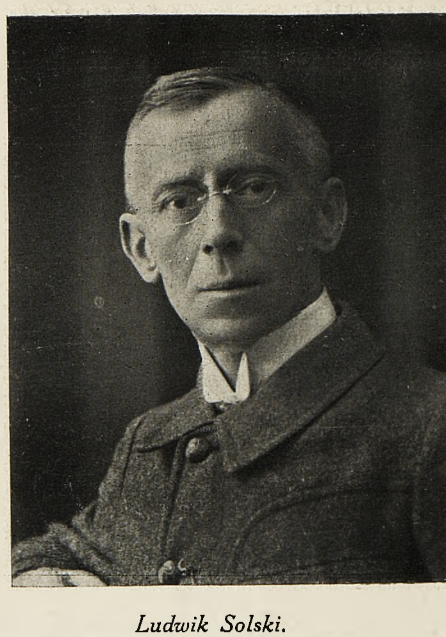
Niezmiernie ciekawy był match Łabuński — Zachar we finale o mistrzostwo. Gra ta, obfita w emocjonujące momenty, śród skwaru południa, trwała dwie godziny i kwadrans (5 setów). Był to istny Maraton tennisowy. Zwyciężył gracz technicznie słabszy, lecz posiadający duże zacięcie sportowe i silną wolę zwycięstwa, p. Łabuński. Niespodziewaną porażkę zawdzięcza p. Zachar swojej słabej grze w pierwszych dwu setach. Późniejsze wysiłki zawiodły.

Z innych zawodników wyróżnili się p. Polakiewicz ostrą grą, p. Łabuńska swoją ofiarnością, p. Lubieńska dużem zacięciem sportowem i p. Kraszewski wyjątkowo dobrą formą.

Po turnieju odbyło się rozdanie nagród, ofiarowanych przez miejscowe instytucje i obywatelstwo. Nagroda I. mistrzostwa Zakopanego (kilim) pochodziła z daru Zwierzchności gminnej, nagroda I. w grze podwójnej (dwie srebrne papierośnice) ofiarowała Tymcz. Kom. Klimatyczna. Dalsze nagrody: Sklep Zakopiański (stylowe galanteryjne wyroby i puhar), p. Szczeniowska (rakietę „Andersen"), firma D. Bèze (figurkę z bronzu), f. Stanisław Birtus („jumper" jedwabny), Bank Kredytowy w Warszawie (kasetę metalową), f. Komispol (figurkę bronzową), Dr. Statter (złoty zegarek), dyr. Stryjeński (figurkę), p. Trzaska (rakietę), Tow. „Omnia" (pudło sportowe", Klub Sportowy „Krokus" (pudło sportowe), hotel „Morskie Oko" (ozdobny notatnik w skórze).

Rozdanie nagród, poprzedzone przemówieniami okolicznościowemi pp. dr. Mischkego imieniem Zakopanego, Kowalewskiego im. W. K. T. i Koniewicza im. K. S. „Krokus", nastąpiło dnia 19 sierpnia w salce „Morskiego Oka". Piękne nagrody honorowe wręczały pp. Szczeniowska i Chądzyńska.

* * *



Ludwik Solski.

* * *

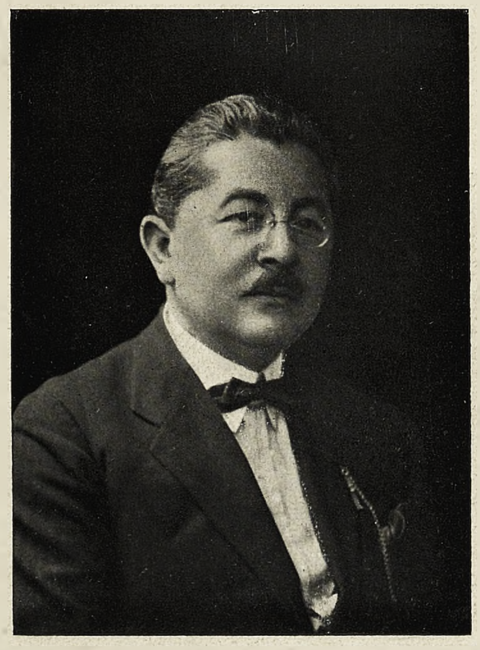
Zakopane nazwane letnią stolicą Polski, zasługuje w pełni na tę nazwę już choćby z tej racji, że istotnie spotkać można tu luminarzy całego państwa. Prawda, że obecny sezon letni nie imponował ilością, niemniej powitaliśmy prezesa ministrów Władysława Grabskiego, Dyrektora Departamentu Sztuki A. Skotnickiego, który bawił tu czas dłuższy. Stałym bywalcem, nader mile widzianym, jest p. Marjan Dąbrowski, poseł i redaktor tak rozpowszechnionego „Kurjera Ilustrowanego“ i „Światowida“. Była i Misja turecka, Wycieczka Botaników, odwiedzili Zakopane oficerowie francuscy i t. d.

Ze świata literacko-artystycznego widzimy tu stale spędzającego lato Gwalberta Pawlikowskiego, Axentowicza, Korolewicz-Waydową, Przybyszewskiego, Getla, Orkana, był Żeleński (Boy), Hoesick, Nowaczyński (w pobliskiej Jaszczurówce), Didur, Petri, Solski, Adwentowicz i tylu, tylu innych wpadających tu na kilka dni, niejednokrotnie incognito, tak, że nieraz po wyjeździe dopiero słyszy się o pobycie tej lub innej sławy naszej. — „Giewont“ radby w „Kronice sezonu“ utworzyć niejako album wybitnych działaczy i artystów odwiedzających Zakopane, przy organizacji jednak pierwszego kwartalnika siłą rzeczy, nasunęła się tak wielka ilość materjału, że mimo stu kilkudziesięciu stron druku nie sposób było opanować wszystkiego, i nie dopuścić się pominięć, czy to z braku fotografij czy spóźnionej wiadomości. To też w wzajemnym interesie prosimy uprzejmie tak dla dobra Czytelników jak i poczytności „Giewontu“ o jak najliczniejsze nadsyłanie nam informacyj, zdjęć i t. p. do tego działu, który z czasem winien stworzyć miłą oku i wspomnieniom rozrywkę, a równocześnie będzie jedną z ciekawszych kart z Zakopanego.

Jot-R.



A. Skotnicki,
Dyrektor Departamentu Sztuki.



Marjan Dąbrowski,
poseł na Sejm polski i redaktor.

* * *

Nader rzadka i cenna fotografja Wł. Hr. Zamoyskiego. Sędziwy fundator całego niemal majątku na skarb Państwa, nie znosi fotografji i nigdy nie pozwala na zdjęcia, to też pozyskanie tej kliszy było prawdziwą a nader miłą niespodzianką dla redakcji „Giewontu“ a będzie nią niewątpliwie i dla naszych Czytelników. Wł. hr. Zamoyskiemu towarzyszy p. W. Fischer. Zdjęcia dokonano w ubiegłym sezonie zimowym w Zakopanem.



Wł. Hr. Zamoyski.

W ARTYSTYCZNEJ PRACOWNI KILIMÓW.

Pracownię kilimów otworzyła Drowa Łachowa w 1920 r.

Początkowa pracownia była pomyślana jako wytwórnia tylko na własny użytek, celem ozdobienia kilimami swego mieszkania; w krótkim jednak czasie ogólna opinia skłoniła artystkę do rozszerzenia pracowni w kierunku dostarczania kilimów najpierw znajomym, a potem także osobom dalszym, przyjeżdżającym do Zakopanego.

Jako córka inżyniera, odziedziczyła Drowa Łachowa po ojcu talent do rysunków i umiłowanie sztuki. Najpierw poświęca się też malarstwu — jakkolwiek tylko amatorskiemu — następnie przerzuca się do artystycznego haftowania i tkania robót ręcznych, któremi ozdabia swe mieszkanie. Przyjechawszy w 1919 r. na stałe do Zakopanego, znajduje tu podatny grunt do wcielenia w czyn od dawna snutych marzeń o przerzuceniu się do projektowania kilimów i stworzenia artystycznej ich pracowni.

Dwa są warunki, od których zależy piękność kilimu: ładny rysunek i nie mniej piękny dobór kolorów. Obie te cechy, tak rzadko spotykane w innych kilimach, zadecydowały o powodzeniu kilimów Drowej Łachowej, jakiem cieszą się one powszechnie. Utarło się mniemanie, że kilim i góralszczyzna — to dwie tak złączone z sobą cechy, iż rozłączyć ich i różniczkować nie można; pojęciem tem grzeszy przeważna ilość pracowni, tkających kilimy o motywach góralskich, względnie ludowych. Kilim tego rodzaju, sam dla siebie ładny, nie nadaje się jednak do zawieszenia go w salonie. Pod tym względem zrobiła Drowa Łachowa wyłom; jej wzory przeważnie ornamentowe, częścią zaś o motywach wschodnich, dają tak piękne kilimy, że rozmieszczone umiejętnie w salonie, jadalni, sypialni czy też innym pokoju, przemieniają mieszkanie w istne cacko. Dowodem tego mieszkanie pp. Drowstwa Łachów, którem pierwszy raz przychodzący gość jest poprostu olśniony.

Do najbardziej wziętych kilimów należą: „Wazy“, „Bibi Chanym“, „Ornament“, „Herby“, „Róże“, „Jesień“.

Najciekawszem jest łatwość, z jaką opanowała technicznie Drowa Łachowa barwność kolorytu deseni wschodnich. Takie n. p. „Bibi Chanym“ nie ustępują pod względem żywości barw jak ornamentu, najpiękniejszym t. zw. „takińcom“ lub „sunom“. A znów gobelinowo traktowane „Róża“,



Dr. E. Łachowa z dziećmi.



Kilimy w salonie Dr. Łachowej.

„Jesień“ naprzykład, subtelnością barw i rysunku mogą śmiało walczyć o lepsze z obecnemi wyrobami tego rodzaju francuskiemi.

Zresztą ile ich jest, jeden kilim za drugim, każdy walczy o lepsze swym artyzmem wykonania i każdy, że tak powiem, ma swą indywidualnie pojętą wysoką artystyczną wartość. Jedyną trudność stawiającą w zakłopotanie każdego, komu dane jest obejrzeć, ewentualnie nabyć który z kilimów, to kwestja wyboru, gdyż najchętniej chciałoby się te barwne róże, pęki kwiecia, listowia, zwić w jeden olbrzymi bukiet i zabrać wszystkie. Niestety, jak każdy artysta, tak i Drowa Łachowa zazdrośnie strzeże swych kilimów i nie wszystkie są do nabycia, a nawet jak twierdzą wtajemniczeni, niektórych specjalnie ulubionych nawet się nie ogląda, tak są chowane w artystycznej pracowni przed okiem profana.

Pracownia, wychodząca dopiero z fazy organizacji, nie może nadążyć zamówieniom. Jest jednak nadzieja, że uda się Drowej Łachowej przezwyciężyć trudności i stworzyć placówkę prawdziwie artystycznego przemysłu tkackiego na szerszą skalę, którym będziemy się mogli poszczycić nietylko w kraju lecz i zagranicą.

W. R.



Kilimy wschodnie w gabinecie Dr. Łachowej.

UMARŁEM...

Gdy powaliła mnie na łoże boleści ciężka niemoc, nie zdawałem sobie sprawy, że to potrwa tak krótko, na szczęście po dziesięciu dniach ostrego zapalenia płuc umarłem.

Muszę przyznać, że pierwsze chwile tego stadjum, które nazywamy śmiercią, a które stanowią moment przejścia naszego z tego świata na inny, były nie tyle może przykre, ile oryginalne i niezwykłością zjawisk — dość ciężkie.

Przedewszystkiem, i to jest ostatnie z wrażeń, które odczułem na tym świecie najsilniej, to ostre w objawach swych nudności. Potem chwila niezmiernie przykrego ucisku na piersiach.

I nagle słodycz, rozkosz wolnego oddechu, poczucie swobody i lekkości.

Gdy spostrzegłem co się ze mną dzieje, zauważyłem, że stoję przy łóżku, nad stygnącemi własnemi zwłokami. Tak, to byłem ja — tam na tym nieporządnie zasłanem łóżku — leżałem martwy, bez życia, z dziwacznie wyciągniętą brodą, ostro zarysowanym jakby wydłużonym nosem.

A więc umarłem! — Boże, co za ulga!

Gdyby ludzie wiedzieli jaka to rozkosz rozstać się z tym światem!

Ale trudno, nikogo nie przekonam, i poco zresztą? — wszyscy przejść przez to musimy!

Otóż, jak zaznaczyłem, leżałem martwy w pościeli, równocześnie stałem, jakby tu powiedzieć, obok swojego ja!

Siąkanie nosem dozorującej mnie stróżki, ubawiło mnie serdecznie. Podczas mojego zgonu nikogo więcej przy mnie nie było.

Jakim sposobem i jakim cudem dowiedzieli się o mojej śmierci tak zwani „moi bliscy“, mimo obecnie uzyskanej jasnowiedzy, wytłumaczyć sobie nie umiem, — dość, że przyszli!

Pierwsza była siostra rodzona. Zamężna i obarczona trojgiem dzieci. Już z wejściem jej, zdziwił mnie ogromnie wygląd niezwykły tak zapłakanych oczu, jak i zaczerwienionego nosa.

Sądziłem zrazu, że zziębła, jak się później zorjentowałem że to z płaczu — z płaczu po mnie!

Rozśmieszyło mnie to serdecznie, bowiem niecierpieliśmy się z całego serca.

Niemniej musiałem zgodzić się z horendalnym faktem, bo nic innego zrobić nie byłem w stanie.

Siostra moja po dokładnem skonstatowaniu mej śmierci, nagle szybko i dość energicznie wytarła zaczerwienione oczy, i niespokojnie rozglądać się zaczęła po pokoju, by nagle pochwycić z niesamowitym błyskiem, w dopiero co zapłakanych oczach, kluczyki od biurka.

Wysłanie raptowne po lekarza mej opiekunki stróżki, pozwoliło siostrze na zbadanie górnej szuflady lewej szafki biurka, w której przechowywałem gotówkę. Co, jak zauważyłem, znacznie ulżyło tak jej boleści, jak zawartości wyż wspomnianej szufladki. Od tej chwili zaczęły dziać się rzeczy niesamowite i coraz bardziej wesołe.

Przedewszystkiem sprowadzony lekarz z całą powagą oświadczył, że umarłem. O czem bez studjów medycznych wiedzieliśmy już wybornie, ja, stróżka, siostra moja i... muchy zupełnie bezkarnie, jak to mogłem zaobserwować z mojego stanowiska nieboszczyka, włażące do nosa, leżącego na łóżku mojego ja...

W następstwie nagle, niewiadomo z jakiej racji, obie te zacne niewiasty, uznały za stosowne rozpocząć koncert niesamowitego wycia, chlipania i bełkotu, co siostra moja łączyła z kurczowo przyjemnem ściskaniem paczki banknotów, wyjętej z biurka, a skrzętnie ukrytej w kieszeni, zaś stróżka z nietającem się chciwości spojrzeniem, rzucanem niespokojnie w krąg mego pokoju. Wzrok ten mówił najwyraźniej i szczerze: „coby tu złapać“.

Ja zaś formalnie pękałem ze śmiechu i bezszelestnie, inspirując z zaświatów, doradziłem strapionej przypomnieniem pary nowych bucików stojących w przepokoju, oraz dwóch ubrań danych bez świadków do oczyszczenia, jeszcze przed zapadnięciem na zapalenie płuc. Z prawdziwą satysfakcją spostrzegłem, że istotnie ulżyło to biedaczce. Nie zdążyłem się jeszcze dość nacieszyć tym faktem, gdy w drzwiach pojawili się moi przyjaciele, obaj mieli miny urzędowo smutne, zwłaszcza pierwszy Hipolit, był mi bowiem winien większą sumę, drugi Karol cieszył się w głębi duszy z pozostawionego u niego futra, i obmyślał w głębi duszy, jak wybrać z mej bibljoteki co cenniejsze, a z dawna już upatrzone dzieła.

Gospodarz domu, który zjawił się w tej chwili, z źle utajoną radością z niedoręczonego kwitu za opłacone komorne za ostatni kwartał, nie zdziwił mnie już zupełnie, i owszem dopełnił miary dobrego mego humoru.

Gdy nagle drzwi się znów otworzyły i w progu stanęła blada młoda dziewczyna... Zośka — moja ostatnia — jakby tu powiedzieć, by uszanować majestat otulających mnie gronostai śmierci... no... poprostu moja Zośka... nie płakała, spojrzała tylko na łóżko... na łóżko, na którem zimny, bez ruchu, leżałem martwy i cichy, na łóżko, na którem w noce upalne, wiosenne budziły nas świty — i bez łzy, bez jęku, cicho rozdygotanem ciałkiem przypadła do wezgłowia, całując me zimne, siniejące już ręce...

I stała się nieoczekiwana rzecz, nagle astralnem mem ciałem szarpnęło coś, gorący fluid dziewczęcego westchnienia opłynął mnie falą, serduszka jej rytm echem począł odzywać się w mej piersi, coś mną rzuciło wstecz, uniosło w zwyż, wepchnęło z powrotem astral mój w stygnące, martwe już zwłoki... i zbudzony z letargu, nagle ocknąłem się i zerwałem z śmiertelnej przed chwilą pościeli.

Gwałtowny, niczem niepowstrzymany tabunnych koni tętent rozdzwonił schody czwartaka.

Ostatnia wyleciała za drzwi stróżka z memi bucikami w spłakanych i spracowanych rękach.

Wyrzuciłem wszystkich za drzwi... została przy mnie promiennooka dziewczyna, miłość i wiosna.

Ad-es.

ZIELONE ŚWIĄTKI ZBÓJNIKÓW.



Helena Roj Rytardowa.

Hej juz sie zmrocyło, pocie w las, watry sie polom po ubocy, dziewki olcańskie śpiewajom, a kajsi zdaleka słychno gwizd zbójecki.

Za las chłopcy, warcéj za las,
na zydowskom karcme zaros!
Hej popijemy wina,
tam świarno dziwcyna,
tam świarno dziwcyna.
Kie ostatnio gwiozda zgaśnie
I mój dukot w basak czaśnie,
Hej zabierojcie swoje!
I Marysie moje,
i Marysie moje.
A ty zapol wieś dokoła,
cobyś widzioł ka uciekać.
Hej do góry pyrciami,
z fajnemi dziwkami,
z fajnemi dziwkami.

Zagrało po reglak echo zbójeckich nut.

Po dziwkak przeseł mróz siarcysty.

Juz idom, juz idom, juz som niedaleko, patrzojcie, świcom im sie spinki u kosul haftowanyk; obroncki brzencom u opasków, patrzojcie, mignoł jeden po drugim.

Ospolili watre na drózysku.

Juści watra, karcma zydowsko gore!

Po ciemnym borze jaz hucało od śpiewu zbójników.

Hej kościółek z desculek
a karćmicka z tarcic,
Hej za swoje piniazie
kazdén budzie ślakcic.

Dobro gozołecka u nasego zyda,
Ej chodził jo po świecie, wiem jo coto biéda.
Hej ha, poć, poć Kaśka, Maryna!

Zahukali zbójnicy.

Dziewki wyziérały od chałup, mgliło ik, bo widziały gibkik siuhajów koło watry, śpiéwali i tańcyli jak zodyn we wsi.

Leciałyby hań, potańcyć śnimi.

Jale cos...

Kie za toniec i zydowskie wino trza iść hań ka niedźwieć łapy oczepuje.

Ludwina Byrtusiocka poseptała z dziewkami i wymkły pocichu poza węgieł na polane.

Stare baby otuliły sie w zapasinki i przysiadły zmarzniente nogi na mostku, chłopi packali fajki i dozyrali babom; nobarzyj był dozarty Bartek Ksiendzuloż z pod Łysińca, honorny gazda i wójt, a downiej hyrny zbójnik.

Jeno z łaski Boskiej a z namowy księdza przywrócił sie ku świętej wierze.

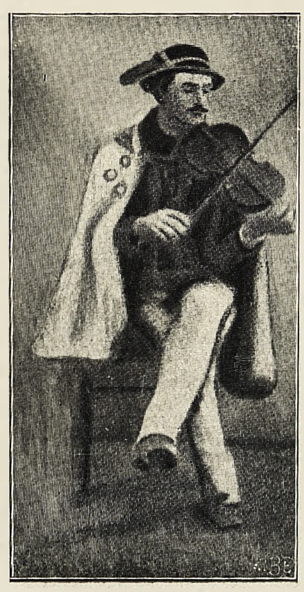
Przezwisko nosił on od niedawna, nik tu go downiej nie znał jako gazde, znali go jako dobrego zbójnika.

Zetkli sie, Bartek Ksiendzuloż, z plebonem we młynie u Maryny Sołtysianki.

Rusyło sumieniem Bartkowi Ksiendzulożowi kie uźroł plebona we dźwierzak, a plebonowi serce zmiękło kie doźroł zbójnika, na ławie pod oknem opartego na rombanicy.

Plebon pokwolił Boga.

Bartek Ksiendzuloż odkwolił, i powolnym ruchem wstoł z ławy, „prosem piéknie jegomościcku siadać“, zduchnoł zakurzonom ławe i końcem renkowa wytar.



Siondźcie i wy, bo pewnie z dalekiej drógi idziecie. Hm?

Lomnie, moiściewy, zodno dróga nie daleko.

Maryna Sołtysianka udawała, ze nie słysy co gwarzom, wychodziła co file do sieni, suła owies na kos, to zamiesowała kluski owsiane na blachak.

Na ławie bukowej pod zakurzonemi ścianami siedzieli plebon i Ksiendzuloż nic do sie nie radząc, casem z boku jeden drugiemu sie jeno przyźroł.

Młyn hucoł bez



Mnich z hali pod Mnichem. *Fot. T. S. Zw.*

ustanku, watra wygasła pod blachami, kluski sie przysmędziły, a oni cicho i cicho siedzom, jaz zmierzło Maryne i wziena ona sie do gwary.

Co wos tys tu przygnało jegomościcku?

Przykopa, pono je zamarżnięto, trzaby jom ozmrozić, coby więcéj sło wody jutro, kcem posłać jesce dziesieńć worków owsa do mlecio.

No to wéj wereda ta przykopa narobiła mi ino roboty.

Bartek Ksiendzuloż porusoł sie na ławie, wyjon zo oposka miechor z habrykom, sięgnął z drugiej strony po fajke i przekolac, napchoł fajke habrykom, zakrzesoł kszesiwo, macnoł pore razy, we fajce sie zajorzyło, kie nie kiedy przypedzioł, „o do tokiej przykopy przydołby sie fest gazda"...

Ze idze plugocu nie radź wopak świata, zochurzyła sie Maryna.

Plebon zacon namowiać Maryne na Bartka Ksiendzuloża, „fajny gazdowny chłop, z domu ci nic nie wyniesie, ba ka co bedzie móg to przygarnie ku chałupie".

Maryna śmioła sie do ospuku, a w plebonowi wrzała krew od złości, nie śmioł jednak nic radzić na przekór, bo był to Bartek Ksiendzuloż, a śnim nie tak zacynać. Kie zjes śnim śniodanie, to nie cekoj wiecérzy.

„Ozeńze sie Bartek z Marynom, rusycie gazdówke jak trza, tyś cienty chłop, Maryna tys sie ku tobie dopasuje, i beé to jakosi".

Ze dziek juz tak jak ozyniony, w dzień jek hań! poźroł małym zakrotowanym oknem ku styrconcym skałom, a w nocyj tu...

Ale bo wiécie Bartku, po ślubie byłoby zawdy pewniejse.

O ta juści pewniejse.

S tego do tego dogodali ze sie Bartek przyzynieł ku Marynie.

Było weselisko jak sie patrzy, pili jedli tońcyli, no i bitki tys nie chybiło.

A ze po wsi sie fnet ozesło ze go plebon ku temu namówił, nazwali go przes to Ksiendzulożem, innego nazwiska on nimioł, bo nik go tu nie znoł jako honornego gazde, ino jako tengiego zbójnika.

Popod ściany stoły gaździny, i gazdowie poopierani ramionami o sie, kcieli i oni sie przyźryć fakłom jarzoncym sie po wirchak i przysłuchać sie starym nutom zbójeckim.

Na środku polany ospolili watre.

Koło watry obsiedli zbójnicy, i starzy muzykanci, na tengiego pnioka wytulali becke i garcem cyrpali śniej stare wino.

Hej hup zo wykrota! krzyknoł Oduziemiec, zagrojcie pod noge.

Stary Bułaj, zacon duć do kozy, a Migla przykrencoł kołki u złubcoków.

Wychylili jesce po garcu dookoła, i zabrzenceli po zbójecku.

Zbójnicy skrzyzowali ciupagi ponad watre brzenkli i puścili sie koło ziemie.

Byrsio zatrzymoł sie przed muzykantami i zaśpiewoł ozwodnie:

> Nie pockakuj harno w góre
> bo wybijes w niebie dziure,
> jakby święci tańcowali
> toby z nieba pospadali.

Z drugiej strony wirchu ozległo sie śpiewanie dziéwek.

> Hej pojdze poć, pojdze poć,
> pójdze mie odprowoć
> bez to cirne pole
> pociesynie moje.

Hejhu zahukali zbójnicy, łapieli głownie w gorzć i tak sie jeno migli jeden za drugim.

Hlust przez wode, na brzyzek, z brzysku na skałe i juz byli przy dziéwkak.

Dziéwki narobiły pisku, i ozleciały sie.

Za nimi zbójnicy, jeden łapieł Kaśke, drugi Maryne, reśta ozleciała sie po smreckak.

Koło północy posodzili sie do karcmy.

Dziwki ospolone do picio i tońca jas ukwikowały z uciechy po kontak.

Walek skocył za synkwas ku młodyj zydówece i zaśpiéwoł jej coby sie zrozumiała o co idzie.

Hej Brygida, Brygida dawoj gęby bo bieda!

Muzykanci na pół pijani, grali jas hucało w karcymie.

Durkac siedzioł w koncie, trzymoł Ludwine na kolanak i zar jom ognistemi jak głownie ocyma.

Ludwina uchylała głowe na bok i scyrzyła zemby do starego Migla.

Zagrali nute wierchowom.

Durkac skocył ku muzykantom i zaśpiéwoł na skus Ludwinie.

Hej widzis mi sie widzis,
moje dziwce widzis,
Hej ino za innemi
ocyckami sydzis.

Bułaj wyzwyrtoł Ludwine, przynizył się na kolanak i uchylił kapelusa „dzienkuje ci bracie“. Ludwina podparła boki i poleciała od kąta do kąta jak wrzeciono.

Za oknem stoły stare baby i dzieci, byli zawsze gotowi do uciekanio w razie jakiej swary, co wse było pewne.

Do karcmy wpod zadysany nomłodsy zbójnik.

Wida, ze kiści djasi cojsie tak zadysoł co nimozes odsapnąć, wiera dziéwki? cy tez djaboł?

Nie! Hajducy gnajom na swoik ślapak, juz som za borem, gniołek przed nimi coby wom rzec cobyście sie przyryktowali.

Durkac pomyśloł kwile, i kie nie kie przepedzioł, „cza bedzie im zagrać marsza przywitanego“. „No ba jakos“, śmiek poseł po całyj karcymie.

Przejechali las, dwie groble, łysom polane, ossiodłali konie, i puścili na pasieke, sami, naładowali flintki i piscolce, śli wolno ku karcmie.

Walek wyskocył na obore, wyźryć kie przyjadom. Przyłozył ucho ku ziemi, nic, u sto kaduków, przyklon, cy sie ozmyśleli. Wstoł, poobziroł sie, nastawił ucho, i mocno wyscyzył ocy, „tak mi sie widzi, jakbe to beło cosi cień. Eche to oni“, gwizdnoł na palcak, przed karcme wyśli muzykanci, i pocyni grać, zbójnicy z dziwkami tońcyć i śpiéwać:

Hej sikirke mom ze stali
chyba mi jom djabli dali.

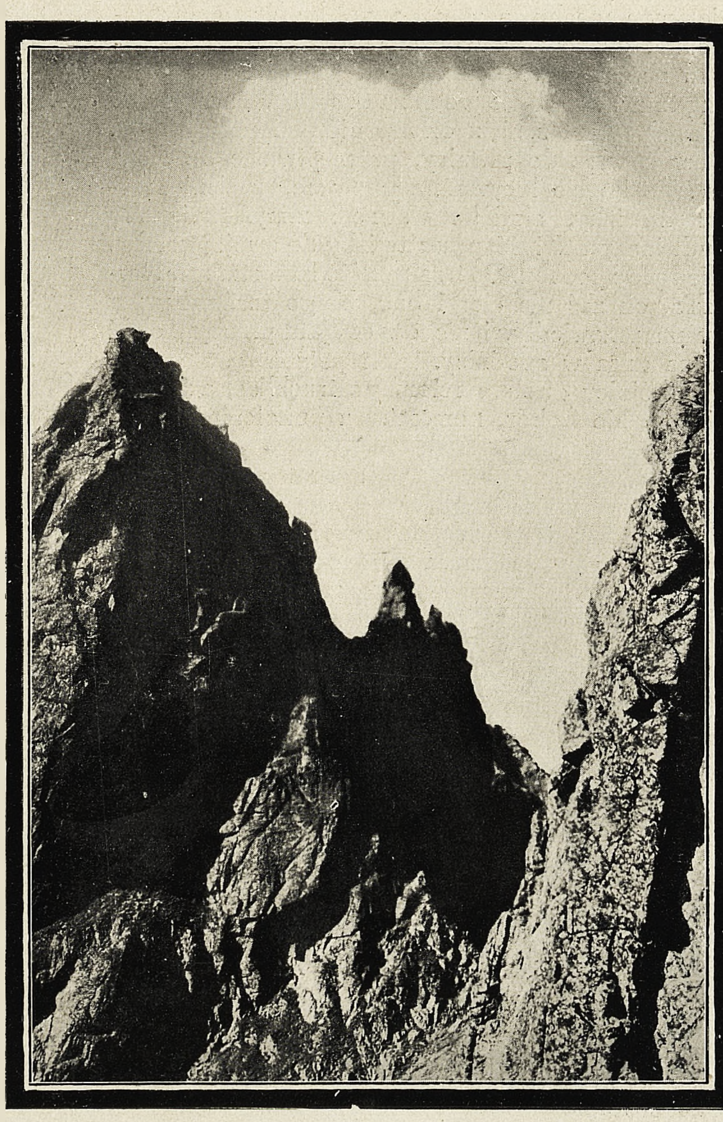
Zawrzała bitka, przed karcymom, od płotu do płotu tulała sie bula zwarzonyk ciał, nie słychno było nic jeno przyklinanie, sapanie i od casu do casu hukanie. Hej hu, bracie bij.

Zbójnicy wzieli cofać sie do karcymy, przycieni dźwirze zaporom, hajducy za nimi z sikierami, wyrubali okienice.

Zbójnicy nie bronili im wejść przez ozbite okna. Porubaniec kozoł zapore odryglować, „puścić ik, niek sie napijom na posilenie“, mrugnoł na towarzysy. Fnet dzwiérze otworem staneły, hajducy wepchali sie całom bulom, zawrzała ponownie bitka, słychno było trzask stołów, ław, synkwasu, kaganiec z nad nalepy zrucili na sceliny za piec, w izbie zrobiło sie ciemno, teroz słychno jeno jęk i chrapliwe przekleństwo. „Zaprzeć zopore“, ozległo sie pod chałupom wołanie, zapora trzasła, w jatak kłębił sie dym surowyk liści. Nie odeśli zbójnicy ni pietnoście kroków, kie karcma zydowsko wraz z hajdukami gorzała, a zbójnicy poprawili jeno kapeluski na głowie i śli w góre pyrciom jas dudniało za nimi, nie było między nimi Durkaca, nie mortwiło ik to ani kszty, on ta kajsi musi być, przepedzieli między sobą.

Dziewki siedziały na polanie i zdaleka sie przyzierały syćkiemu, nie dziwne im to było, widziały to samo nie jeden roz, były przecie frajerkami zbójników.

Zacyna Kaśka śpiewać a za niom syćkie.



Żabi Mnich z przełęczy Białczańskiej. Fot. T. S. Zw.

Hej idzie se Janicek tom luptowskom pyrciom,
Ciupaskom wywijo, jaze skole fyrcom.
Hej idzie se Janicek, idom se zbójnicy,
idom popod regle, jaze ziemia jęcy.
Hej idom do wirsycka, z wirśka do doliny,
sukajom pociechy, sukajom dziwcyny.

Zbójnicy wyrtli sie ku dolinie, poza bucki, poza hraść ku dziwkom.

Zapolili watre, obsiedli jom dookoła, kazdy swojom frajerke objon bez pół i drzymali, packając fajki od casu do casu.

Dookoła ciemniusieńko, gwiozdy sie jeno migocom, w dole hucy woda i cieplutki wiater poduchuje. „Co sie se mnom stało, je kany jek?“ pytała sie Ludwina sama sobie, „co pocąć, ka iść? nic nie widze“, siadła na skale, oparła łokcie o kolana i wpatrzyła sie w staw, nie myślała o nicym, sen jom zmogoł, ocy zachodziły mgłom, wyciągnyła sie na skale i usnéła twardo.

Durkac na pół pijanom Ludwine porwoł z karcmy i niós we wirk, co mu ino sił starcyło, przeseł grań luptowskom i s perci skręcił na bok, ku wantulom, tu ostawił Ludwine pod kosówkom na zielonym mechu, a som pognoł ku piwnicom zbójeckim, gwiznoł na palcak. Z poza turni wyskakowali zbójnicy. „Truchlice pod jaworem trza je tu przytulać, śmigojcie jeden za drugim“. Tak sie jeno migneły kapeluski z orlemi piórami poza wanty. Durkac wlos do piwnicy, przes piwnice do sieni, tu świeciło sie łucywo na ponewce, z sieni przeseł do izby, siod ku watrze i ozmyśloł, jakoby Ludwine przewiéść przes te izby do swojej koleby. Nie było sposobu. Bo trza przejść izbe starego Harnasia, on zaś nie cierpi bab, bo go ta kiesi przez rozum przewiedły, i nie da coby tu przebyła choć jedna dusa w spodnicy.

Zbójnicy gnoli pyrciom po truchlice, a za nimi kie nie kie Sobór, nomłodsy z pokolenia zbójeckiego, to tez nika mu pilno nie było, stanoł, obeźroł sie po świecie, zaśpiewoł, wykrzesoł brzezowickom na miejscu, i seł se ta seł jako Warculorz po śmierzć.

Po spaniu słonko zacyno dźwigać głowe do góry. Ludwina tys, przecierała siwe ocenta i poprawiała kyrpce na nogak. Trza bedzie iść ku dołowi, jesce roz pozwyciągała sie na skale i gnała ku stawu, zruciła ze sie farbanice, kosulke zgrzebnom i chlasła do wody.



Sobór przyblizoł sie poza kosówke ku skale, stąd dobrze patrzeć mu na nie, śline połykoł jedne za drugom tak prędko co mu jaz skło w garle, musi być mojom powtorzoł po kazdym połknięciu śliny.

Wychlustała sie we wodzie, wyskocyła na brzyzek, i wyciągneła sie do słonka na mek zielony. Osusy mie.



Ze skały na brzuchu przyśliznoł sie Sobór ku Ludwinie i objon jom bez pół, przycisnoł mocno ku sobie. Skocyła na równiutkie nogi, zaruciła na sie kosule, i gnała koło stawu, on za niom. Nie patrzency pod nogi śmigała dalej, jaz tchu jej w piersiak brakło, staneła koło wanty, przyłozyła ręke na piersi jakby kciała przytrzymać serce, bo biło niemiłosiernie. Sobór przyblizoł sie powolnym krokem ku niej.

Wara odemnie, bo szczele kie nawinies.

Wol, nie boje sie, i śmiało krocył ku niej. Ludwina zwolna spuściła ręce i przytuliła sie mocno ku skale. Ocy zawstydzone obróciła w bok, i stoła, nie śmiąc głośno odychnąć.

Wysoki, tengi, opolony jak głownia od wiatru Sobór, sylił sie ku jej kolanom i oplótł je ręcami.

Siądź na file, na malućkom file, nie dej sie straśnie pytać, septoł Sobór.

Nie pasuje na zbójnika, coby septem oskazowoł, ale siąść siedne bo muse, twoje ocy mie przyciągajom ku ziemi.

Syliła sie nad nim i ocyma siwemi wpatrzyła sie w jego corne jak wągiel źrenice.

— — — — — — — — — — — —

Durkac odryglowoł zapore i wlos do izby, naładowanyj skrzyniami; po ścianak wisiały opaski, spinki, ciupagi, na środku stoła skrzynia tak zwano truchlica, okuto na nogak mosienznemi blachami. Tu kazdy ze zbójników składoł swoje piérse zdobyte dukoty, talary, korole i pierścienie z królewskich palców. Małe skrzynie nolezały do kazdego jedna, tam składali reśte łupów, skrzynia środkowo nolezała do Harnasia.

Przeseł izbe, sionke i małom piwnice, do izby towarzyskiej, tu na wykszesanym pnioku siedzioł stary Harnaś. „Bóg s wami“, pokwolił Durkac. „Bóg s tobom“ odpedzioł stary, wycedzając ostatni łyk węgierskiego wina. „Źle se mnom, rzece stary, śmierzć sie juz dowiaduje o mnie, trza beć iść na tamtyn



świat a tu człekowi ciensko". Poklepoł Durkaca po ramieniu, „wies co chłopce ulzyj mi staremu i weś-ty nasie moje grzechy", wyjon kluc od truchlicy zo oposka i doł go Durkacowi, „nalej mi wina", krzepko gwarzył stary, „na sucho pasować sie ze śmierzciom to nie idzie". Wychylił garniec jeden, pote drugi i trzeci, wyciągnął sie na ławie i chrapnął roz na zawse.

W sieni zadudniała truchlicka niesiono przez zbójników.

Na cas przychodzicie bratowie, zawitała do nos kościsto bieda, zalecała sie staremu przes cały wiecór jas go zmogła. Wysuli dukoty z truchlice na ziem i zacyni sie śniemi dzielić, potem naskładli mechu do niej, starego Harnasia ubrali w cerwonom kosule, opasek wybijany złotemi centkami, portki cyfrowane, ciupaga w gorzć, piscolec za pas, ftoz wie, co go ceko na tamtym świecie, kiej w pocierzak sie mówi „jako w niebie tak i na ziemi", włozyli ciało w truchłe, przezegnali krzyzem świentym i zagrzebli pod wantule.

Durkac po tyk obrzondkak polecioł ku Ludwinie, teros jom przywiedzie śmiało, nik mu nie beé ganadroł. Wylecioł pyrciom ku wantulom, obeźroł syćkie do około. Nimas, kas je, cyjek sie omylił? — ale nie, tu przecie, tu była. Przyłozył ręke ku ocom i pocon sie obzierać, migło mu sie cosi przed ocyma, moze i ona, puścił sie hipkem dołu. Tam napotkał Ludwine z Soborem.

Na wysokiej polanie, zalotej smugami słonka zachodzącego zawrzała strasno bitka. Oposki pokrajane, w szczępy wisiały u obałków, u kosul zostały jeno obsywki.

Do ziemi gębom przytulono, lezała Ludwina, niekciała patrzeć na to, co sie przed niom działo.

Słonko sowało sie za Babiom Góre, wiater przelecioł jenkliwy po polanie, Ludwina usłysała gwizd, i dźwigła głowe do góry. Przed niom lezały dwa zbite ciała. Skocyła ku nim, i kciała im ręce ozplątać i przyźryć sie ka wtory, przyłozyła ucho ku piersi jednemu, to drugiemu ale ani nie drgnie zoden.

— — — — — — — — — — — — — —

Bez polane sło trzydziestu zbójników, nieśli truchlice z tarcic zbitom. Bułaj z Lemkom i Miglom zagrali piosnecke, pozegnalnom nute. Za turniom stała z zapłakanemi ocyma Ludwina i odmowiała pacierz za frajerzami. Serce sie jej na poły krajało od zolu, ale cos poconć, kie sie juz stało.

Helena Roj Rytardowa.



DZISIEJSZYM...

Samotnie
W głusz spowity ciemną,
Owiany echem cichych dum
Pragnę w krainę zejść podziemną,
Zapomnieć świtu gwiazd nademną
I ledz w zagrobnei pleśni
I śnić...
Aż mar upiornych tłum
Z snów zbudzi szumem pieśni.
Od ludzi nie chcę na tym świecie
Nic—nic. A jeśli już każecie
Żądać a prosić, na zbawienie—
Zaklnę was: dajcie zapomnienie,
Dajcie błękitny skrawek nieba
I ciszę wielką sennych pól,
I łez krynicę.—Kęsem chleba,
Powszednią strawą—będzie ból
I myśl co jadem duszę spali,
Żeście mi jednak... żeście mi coś dali.
Ja nie chcę od was litowania,
Was na to nie stać.—Biedni wy,
Duch wasz upiorem, tak się słania
Po świecie jak oparne mgły.
Nie dla was poszum orlich piór,
Ni słońca złoty miecz z za chmur,
Ni wam nad sine zręby gór,
Zadźwięczy świętych haseł zew
Piorunem niecąc skrzepłą krew
Do życia—ducha do wawrzynu,
A ramię—do potęgi czynu.
Nie wam! Nie wam iść w halny wir,
Nie wam spowijać czoła w kir,
Ni się stygmatem męki słać
Na sarkofagach dawnych dni,
Ni cierniem ranić skroń,
Ni rwać do czynu dłoń. Daremnie dusza śni...
Samotnie w głusz spowity ciemną,
Pragnę zapomnieć gwiazd nademną. *I. R. C.*



MILA CZAJKOWSKA

Przemiła artystka dramatyczna Teatru Miejskiego we Lwowie, bawiąc w Zakopanem wystąpiła gościnnie z udziałem miejskiego zespołu artystów dramatycznych w „Świderku“, w roli tytułowej, wdziękiem i finezją gry zdobywając sobie zasłużone powodzenie, świadczące nader obiecująco o przyszłości tej młodej artystki.



Prof. ST. GAŁEK

Znany chlubnie artysta malarz prof. Stanisław Gałek, twórca obrazu „Czarny staw“, reprodukcję którego dajemy na okładce pierwszego zeszytu „Giewontu“, znany jest całemu światu artystyczno-kulturaln. z swych obrazów z nieporównanem mistrzowstwem odzwierciedlających przyrodę w przesubtelnem odczuciu uroku Tatr i Zakopanego.

Artysta ten osiedlił się obecnie na stałe w Zakopanem.



EDMUND BIEDER

Ceniony i sympatyczny autor rymowanych listów z Krynicy, Zakopanego i t. d. Niemal stały mieszkaniec Zakopanego, które zdradza jedynie dla Krakowa.

Obecnie p. E. Bieder opracowuje większą rzecz sceniczną p. t. „Misterjum Tatr“. — Prolog tej nader oryginalnie zapowiadającej się sztuki użyczony nam uprzejmie przez autora dla „Giewontu“ znajdzie Czytelnik w zeszycie.



A. Szacherski. *J. Józwiakówna.* *PP. Domosławscy.*

OPERETKA WARSZAWSKA. W przerwie między jedną premierą a opracowaniem drugiej sympatyczni artyści gdzież mogli się wybrać, mając do rozporządzenia auto, jak nie do Zakopanego. P. Domosławski, jak słychać, projektuje w sezonie zimowym cykl przedstawień operetki warszawskiej w Zakopanem.

NASZA „P. P." W ZAKOPANEM.



IGNACY SEWIŃSKI, Kierownik P. P. w Zakopanem.

W mało jeszcze, pod pewnemi względami życia obywatelskiego uświadomionej opinji publiczności naszej, organa bezpieczeństwa, inaczej policji państwowej, nie dość są ocenione i rozumiane.

Stosunek zachodnio-europejskiego ukształtowania się wzajemnego, zrozumienia potrzeb tak ze strony policji jak publiczności, daje się jednak sympatycznie zauważyć w Zakopanem.

Ponieważ Zakopane od chwili jego „odkopania" żyło sezonowo, nic też dziwnego, że i policję miało sezonową. Rok rocznie więc, w miesiącach wiosennych następował werbunek tych stróżów bezpieczeństwa i porządku publicznego, przyczem urząd gminny, hołdujący wierzeniom w symbolikę cyfr liczb, dobierał z szeregu kandydatów dwunastkę „apostołów" porządku i ubierał ją w mundur. Taki „apostoł" czy „anioł stróż", rekrutujący się z pomiędzy tubylczej ludności, po ubraniu go w mundur o charakterze gminno-narodowym i przypasaniu szabli, w ceratowym futerale swoje zardzewiałe ostrze chroniącej, przedstawiał się wspaniale i już samym swym zewnętrznym wyglądem, szczególniej w porze nocnej, wzbudzał szacunek, poważanie i lęk.



Policja ongi.

Ale wszystko ma na tym świecie swój koniec, doczekał się go z wojną i „gminny" zakopiański policjant. Ze zmianą ustroju politycznego, z narodzinami państwowej zreformowanej policji, odszedł jak ten murzyn, który zrobił swoje, na emeryturę, w krainę wspomnień i legend. Zmusiły go do tego i szybki rozwój Zakopanego, wzmożony ruch samochodowy, rozprzestrzenienie się przemysłu złodziejskiego i t. d. i t. d.

I przyszedł czas, w którym znikł z ulic zakopiańskich charakterystyczny mundur policjanta gminno-narodowego, o totumfackim, operetkowym wyglądzie, ustępując miejsca szykownemu, na modłę angielską wymustrowanemu posterunkowemu policji państwowej.

W marcu 1923 r. przejął kierownictwo komisarjatu obecny kierownik tegoż, komisarz Ignacy Sewiński.

Obecny stan liczebny załogi policyjnej wynosi czterech przodowników, czterech starszych posterunkowych i siedmnastu posterunkowych, w oddziale śledczym trzech przodowników, względnie starszych posterunkowych. Zakopane, podzielone na cztery obwody, znajduje się pod stałą opieką czterech posterunkowych, pełniących służbę całodzienną na trzy zmiany.

Z uznaniem przytem podkreślić należy fakt, że czynniki, od których to zależy, starają się przy doborze materjału dla Zakopanego, o dobór jaknajlepszych tak pod względem inteligencji, jak i wyglądu ludzi; to też policja zakopiańska posiada rzeczywiście angielski wygląd.

Nie małą zasługę w tym względzie ponosi komisarz Sewiński, który rozumiejąc znaczenie w terenach zakopiańskich w porze zimowej nart, zorganizował przy pomocy obywatelstwa miejscowego oddz. narciarski. Oddział zorganizowany zimą 1924 r. rozwinął się bardzo szybko, a zachęcona przykładem Zakopanego komenda okręgu krakowskiego P. P. postanowiła szkolenie znacznej liczby swych funkc. w tym sporcie.

W myśl tego zorganizowano w zimie r. b. pierwszy kurs narciarski dla funkcjonarjuszy P. P., zakończony pierwszemi narciarskiemi zawodami policji państwowej.



Policja dziś.

ZA JEDNO UCAŁOWANIE STÓP.

Cisza złotych blach upalnego południa legła w krąg.

Żył w majakach narkozy, niezdolny do rozumowania.

Od czasu jak się to stało, o ile istotnie to wszystko co przeżył, co snuje obłędną pajęczą sieć wokół jego mózgu, nie jest halucynacją, wytworem chorej wyobraźni.

Zaraz... zaraz... chwilę spokoju, pewne uporządkowanie faktów...

Ale jakich? —

Nic się nie stało, nic nie zmieniło, a jednak nie wie czy w słońca dyszącej pożodze, jego fizyczne ja, jego osobowość słania się teraz po ogrodzie, czy też...?

Oto w oślepiającej południowej jaśni idzie białą żwiru taśmą...

Za nim wlecze się czarny cień, chwiejny, śmiesznie krzywy w swym skrócie, pełza, zatacza by koszmar lękliwy a groźny... jego cień.

A więc jest, żyje! Potwierdza to lekki suchy zgrzyt żwiru... jego kroki.

Fakt, fakt niezbity — istnieje, żyje, i jest!

Wszystko inne to szaleństwo, wizja upiorna, w jasnym gorącym dniu, śmiejąca się zeń szyderczą maską obłędu.

A jednak...

Idzie ścieżką ogrodową, zmierza do pawilonu, w którym mieści się biuro pensjonatu, za chwilę rozpocznie znów swą zwykłą pracę, aż w pewnym momencie, lekkim, ledwo uchwytnym szelestem poruszą się otwierane drzwi, spłynie sukni wiew... i...

Teraz już wie że istnieje, wie napewno iż jest, a raczej że niema go wcale, a mimoto, przepotężna w swej mocy władza każe mu być... każe być! —

Stanął na ścieżce by zasłuchany w rozbrzęczane, tanecznie krążne roje...

Ona... wyszeptał z przedziwnie bezradnym uśmiechem bladych warg, i modlitewnie przygasłych oczu błyskiem.

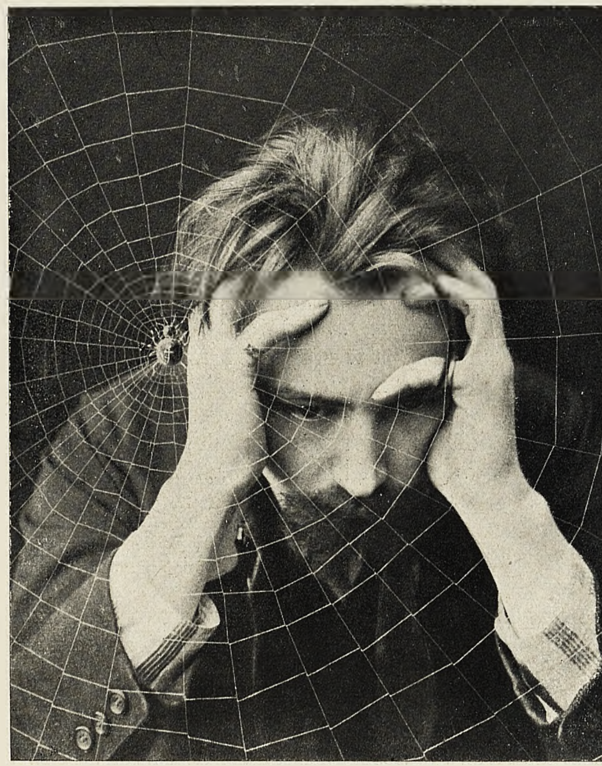
Ona... jego Pani, dosłownie tak, Pani, bez żadnych poetyckich przenośni, poprostu chlebodawczyni. Pracuję za taką a taką sumę miesięcznie, jako administrator, zarządzający pensjonatem, buchalter czy coś podobnego.

Jest niczem, może nawet mniej jeszcze... a jednak od pierwszej chwili czuł, że między nim a jej oczu głębią czają się przeżycia minione, nieuchwytne... które były... w życiu przeszłem i może będą... jutro... kiedyś za wiek!

Mózg jego pracuje z wysiłkiem, zlepia, łączy, wiąże zwiotczałe niepamięci nitki, snuje z boleściwej przędzy majaków jakieś wizje... mgliste kontury przypomnień... daremnie...

Bo Ona była... była w jego przeszłem życiu... a dziś?! Dziś jest Panią nietylko jego życia, ale i śmierci!

Dosłownie, tak, ani na jotę mniej.



O ile on wogóle — jeszcze żyje!

Z szaleńczym wysiłkiem, jakoby nagle wezbranej energji, pchnął drzwi, i wszedł z lękiem do pawilonu.

Pewien był, że w białym, o sanatoryjnie lśniącej ścian powierzchni, pokoju, nie zastanie nikogo... A jednak odetchnął z ulgą, raz jeszcze machinalnie rozejrzał się... jest sam! —

A więc może dalej spokojnie dociekać zagadki. Jest, istnieje czy też...?

Wszystko wskazuje na to, że żyje, a jednak...

Papiery, rachunki, korespondencja, leżą tak jak zostawił je ubiegłego wieczora.

Zaraz... ile to już wieczorów minęło od chwili jak... W tym samym pokoju...

Absolutnie nie może zdać sobie sprawy z rachuby czasu.

To było?

Tydzień, miesiąc, rok temu?

Nie wie, nic nie wie, a jednak pamięta, jak z zaświatów... płynie ku niemu cień... mgławica szara przypomnień.

Lękliwym gestem wystraszonego dziecka, otwiera jedną z szuflad biurka, wyjmuje skrzętnie między papierami ukryty notatnik, wertuje karty... Daty, jedna za drugą — ale one mu nic nie mówią. Nic zgoła... ślepe cyfry, namotane na pajęczą sieć obłędu, czepiającą się jego mózgu.

Hen u sufitu, w bieli lakierowanych ścian, świątecznym słońca hymnem rozdzwoniona, pijana kwiatów wonią, pszczoła brzęczy... brzęczy... to bliżej... to hen wysoko, to znów tuż nad skronią... nad skronią cichy brzęk, jak wtedy, owego wie-

czora. Zda mu się, widzi, jak wówczas, jasny lampy rozświetlony krąg... jak wtedy...

Kończył właśnie żmudne szeregowanie cyfr i niezliczonych zer...

Gdy drzwi tajemny szept...

Sukni nieuchwytny wiew..., i naprzeciw zmęczonych źrenic, w opalowym kręgu lampy, rozkwitł trujący kwiat jej bladych lic.

Ona... tak to było w ów wieczór.

Bezładnie zaczął coś mówić wówczas, coś strasznie rzeczowego, poparł swe wywody szeregiem cyfr, argumentował, dowodził, a w piersi stukotem serca rwanej tłukło się coś, rwało, rosło lękiem śmiertelnym trwogi, drętwiło dreszczem nieziemskiej rozkoszy... aż tonąc w przepastnych wirach wpatrzonych w niego czarnych ócz otchłani, nagle, na prawdę nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, wysunął szufladę, sięgnął w głąb i błysnął w ogień jej mrocznych źrenic, lufą brauninga.

Księżycowy owal lic zamigotał wzgardy uśmiechem... I wtedy poznał ją... na mgnienie... stali błysk... to było... już wie... stulecia wstecz... Nim pochwycił tę myśl, wchłonął ją mrok a on runął do jej stóp.

Zagubił się u jej kolan, w winął w sukni strzęp, i cisnąc do piersi swej stalowe śmiertne cacko, zasypał ją bezładem płomienistych słów.

By huraganem rwane kwietne naręcza, ciskać jął błagania a zaklęcia, purpurą granatu by krwią żywą serca ociekłe.

Kochał ją... kochał do szału, do zapamiętania, od pierwszej chwili, do bałwochwalczego burz gromu, za jeden uśmiech, bijącego w gór szczyty, do opętania, skonu, męki wieczystej... kochał ją! On nic nie chce... nic... tę broń... niechaj się nie lęka... niechaj tylko wysłucha go...

Oto modli się do niej... dziecięcych pacierzy błaganiem... o jedno... za ucałowanie stóp, za jedno dotknięcie koniuszków stóp płomieniem warg... życie da!

Konwulsyjnie chwyta bezwolną jej rękę, wciska w chłodne białe palce broń. Zdławiony krtani szept, sączy wyraźnie słowo po słowie, wyraźnie, nieodmiennie... za stóp ucałowanie — skon, ty sama, w chwili gdy usta me... słyszysz, ty sama wymierz prosto w skroń... chcesz?...

Księżycowy owal śnieżnych lic zamigotał okrutnym uśmiechem, rozbłysł zębów bielą drapieżną, i ściął się w ciszy w jeden dźwięk...

— Tak.

Powiedziała — tak — siepła tym jednym wyrazem w twarz. Jak on pamięta słowa tego lód śmiertelny... to było onego wieczoru...

A potem... zaraz co było potem?

Ah, prawda, tak, zimno, spokojnie zlecono mu skreślić słów parę... stwierdzenie własnoręczne samobójstwa.

A potem... ręka jej biała, o chłodnych w pierścionki strojnych, przesubtelnych, wiotkich palcach, wolno lecz silnie ujęła rewolwer, druga błyskawicznym, wężowym ruchem zsunęła jedwab pończochy, bijąc śniegu puchem, zróżowionej bosej stopy w mrok...

Przypadł usty płomieniem topiąc rozedrganą!

Oto wie, zginie, zapłaci życiem za tę chwilę... może już...

Uczuł zimno na skroni, ucisk małego krążka stali... lufa brauninga...

Jak w błyskawic lśnieniu, zawirowały mu w źrenicach czarno złote zawrotne kręgi, fioletem ametystu stygnąć jęły rubiny warg, krtań ścisnęły kleszcze oczekiwania męki...

Jeszcze jeden, piersi z trudem szarpnięty jęk, bezładne, oślepłe ust wtulenia w marmur stopy białej... Przeupojny skurcz sięgający otchłannej rozkoszy dna...

Strzał!... rozszumiały w skroniach wir.

Płaty szkarłatne, czarne, zielone...

Cisza... mrok i nagle siekący, żrący rozdzwoniony szyderstwem, wzgardą, obelgą śmiech.

Kula utkwiła w posadzce.

Nie zabiła, rozmyślnie, z całą finezją kobiecego okrucieństwa! — I teraz zaczęła się beznadziejnie przerozpaczna męka.

Gdy przyszedł do siebie, nie było w pokoju nikogo, był sam tylko, z gładkiej, lśniącej powierzchni biurka znikł stwierdzający samobójstwo list... Od tej chwili właściwie już nie żył, a raczej życie stało się igraszką w ręku tej... w jej ręku.

Zrazu myślał, że to żart, kara za zbyt zuchwale, śmiało wyrażone uczucie.

Z każdym dniem jednak nabierał innego przeświadczenia.

Zaraz nazajutrz, gdy zmieszany, nie śmiejąc jej w oczy spojrzeć, chciał ją ominąć w przejściu, zatrzymała go, oświadczając, że może bezwłocznie wyjechać i uważać się za zwolnionego z wszelkich zobowiązań... chyba że — trwa przy wczorajszej decyzji, z pewną odmianą, to jest, zobowiąże się słowem honoru, zgodnie z brzmieniem listu, popełnić samobójstwo w oznaczonym miejscu i czasie.

Gdy ona powie... niech się stanie.

Sama myśl wyjazdu i rozłąki wydała mu się tak okropną, że bez namysłu słowo dał.

W kilka dni później w pokoju swoim w drzwiach zauważył brak klucza, nie zwróciło to na razie jego uwagi, gdy nagle w nocy zbudził go szelest, gdy otworzył oczy, ujrzał ją stojącą tuż przy sobie, by z mgieł utkaną wizję w księżycowej poświacie.

Jakże mu serce zabiło w piersi, jak sprężyły ramiona, jak modlitewnym szeptem zadrżały usta w ciszy nocnej...

Słuchała... słuchała z zaciekawieniem jak dziecko bajki czarodziejskiej, jak słucha się melodji granej na nieznanym egzotycznym instrumencie, aż gdy objąć chciał ją ramieniem, ręką ukrytą dotąd w zwojach tulącej ją chusty, podniosła wolno rewolwer i fascynując go wzrokiem niemal fosforyzującym w półcieniu, przetrzymała go pod kulą długą śmiertelną chwilę, aż wzruszywszy ramionami, wybuchła niesamowitym śmiechem — i wyszła zostawiając go oniemiałego na pastwę dociekań, lęku i rozczarowania.

Jeszcze nie wierzył w istotną, okrutną prawdę.

Nazajutrz dzień spłoszył słońcem i radością życia upiorne nocy wspomnienia... mało tego, zaczynał mieć nadzieję... w głosie jej, spojrzeniu, zaczęły się objawiać jakby cieplejsze błyski.

Minęło dni kilka, zwykłym codziennym trybem.

Aż nagle raz, wczesnym rankiem, wezwała go.
Zdarzało się czasem, że były jakieś ważne interesa, nie cierpiące zwłoki, zlecenie, depesza, wyjazd i wtedy nieraz już było podobnie.
Spokojnie więc, wziąwszy listy świeżo nadeszłe, udał się jak zwykle do błękitnego saloniku, skąd go jednak pokojówka skierowała do sypialni.
To zdarzyło się raz pierwszy...
Gdy wszedł owionęła go ciepła, przesycona perfum i kwiatów zapachem, subtelna, lotna atmosfera, w której z zamkniętemi oczami, wyczuwało się tchnieniem rozkosz i urok kobiety.
Zróżowiona snem, zaledwie okryta osłoną jedwabi i batystów, spoczywała...
Zasunięte kremowe w czarne kwiaty haftowane story prześwietlone rannem słońcem, rzucały stłumione refleksy jakby starego złota na sprzęty, cacka, patyną przedziwną, by witraży tęczą, słały się na makatach, dywanach, by aureolą z bronzów wezgłowia, i rozpylonej słońca smugi wznieconej, palić się nad jej głową...
Powitała go uśmiechem.
Oczu przepastnych głębią obietnicy...
Skinienie białej dłoni przyzwało go bliżej... bliżej, uśmiech niewysłowionej słodyczy rozchylił purpury ust, z koronkowych osłonek gór śniegiem o róż pąkowiu wychyliła się pierś...
Z ust wionęło szeptem upojnym, rozkoszy dreszczem, i szaleńczych pragnień żądzą...
Śnił jej się... dość ma jego męki... czuje jak coś uczuciu podobne... budzi się w jej piersi... i dlatego tam w słońcu... w ten ranek wiośniany... przed jej balkonem... niech się stanie!
Dał słowo... jest mężczyzną... za ucałowanie stóp — życie!
Ona żąda tego teraz, zaraz, natychmiast!
By uniesiona słów własnych nakazem, jednym ruchem odrzuciła jedwabie kołdry i stanęła przed nim w całej olśniewającej krasie cudu niewieściego.
Skinieniem dłoni wskazała leżącą na stoliku broń, podbiegła do okna, rozwarła je na oścież i skąpana ulewą słońca, rzuciła dygotem warg — Czekam!... Nie pomni już wszystkiego dokładnie, ale to pamięta, że coś w nim załamało się, i ciężarem legło kamiennym na czaszce.
Jak lunatyk, zapatrzony w słoneczną postać, bezwolnie ujął broń, ciężkim ołowianym, z trudem ledwo zdającym posuwać się krokiem... wyszedł.
Nie wie już jak znalazł się przed balkonem, spojrzał, stała w obramowaniu drzwi, zdała się być nagą. W słońca jaśni rozpłynęła się w nicość koszuli przędza, na turkusowo złotem tle wiosennego ranka, chwiała się rytmicznie od bosych stóp do włosów spiętrzonych koroną, by rozkwitły, wysmukły, wiotki kwiat z bajek krainy... trujący baśni kwiat.
Zapatrzony w rozgorzałe jej źrenice i krwawą plamę ust rozchylonych, oczekiwaniem, drapieżnych, pragnieniem krwi.
Uniósł rewolwer... zwolna jakby z namysłem, chłonąc postać jej spojrzeniem, lufę brauninga wtłoczył w zęby... w balkonu drzwiach zatrzepotało coś by skrzydeł biel... padł krzyk...

On stał w słońcu, pociskał kurczowo broń, trzaskał stalowy suchy szczęk raz po raz, raz po raz, rozsadzał tępym zgrzytem mózg... i nic... i nic...
A jednak bez strzału rozsadziło mu czaszkę...
I oto nie wie czy żyje... czy jest...?
Ah... prawda z błękitów roztoczy, po słonecznej smudze, z balustrady balkonu, spłynął doń smutny biały ptak, skrzydeł bielą okolił mu szyję i dziwną śpiewał, słów bezładem, pieśń....
Doprawdy z trudem nizał te paciorki, gubiąc ich treść...
Kochała go... dla próby wyjęła kule... teraz że kocha wie... teraz już wie...
Ona już wie!?
A on... zaraz... chwilę spokoju, pewne uporządkowanie faktów... idzie ścieżką ogrodową, zmierza do pracy, w oślepiającej słońca dyszącej pożodze idzie... a za nim wlecze się, pełza... jego cień...
A on nic nie wie... nic...

— — — — — — — — — — —

Mózg pracuje z wysiłkiem, zlepia, łączy, wiąże niepamięci nitki...



Oto siedzi przy biurku, ledwo uchwytnym szelestem poruszą się otwierane drzwi... spłynie sukni wiew...

— — — — — — — — — — —

Hen u sufitu, w bieli lakierowanych ścian, świątecznym słońca hymnem rozdzwoniona, pijana kwiatów wonią pszczoła, brzęczy... brzęczy... to bliżej, to hen wysoko, to znów tuż nad skronią... nad skronią, jak wtedy onego wieczora... za jedno ucałowanie stóp!

A. Kowalczewski Siedlecki.

U PROGU SZTUKI.

W ostatnich latach powstał w fotografji pewien przełom, spotyka się artykuły w prasie, roztrząsające kwestje, czy fotografja jest sztuką czy nie.

Chcąc sprawę tę rozstrzygnąć, trzeba fotografję podzielić na kategorje, amatorską dla zabawki i zabicia czasu, fotografję zawodową jako rzemiosło, naukową, wreszcie artystyczną. Pierwszych dwóch nie można brać pod rozwagę — robi się bez zastanowienia, bez żadnej głębszej myśli. Kategorja trzecia, służąc celom wyłącznie naukowym, dąży jedynie do udoskonaleń technicznych. Pozostaje ostatnia, chociaż autorytet jej jest nadwątlony przez samozwańczych artystów, którzy obniżają wartość artystycznej fotografji.

A teraz pytanie, co to jest artyzm i sztuka w zakresie fotografji? Artyzm jest to poczucie piękna: jest to wrażliwość, subtelność pozwalająca w naturze odczuć i widzieć piękno, sztuka zaś jest to dar nadprzyrodzony poszczególnych wybrańców, którym pozwala to co czują i widzą, przenieść na płótno czy papier, kamień czy drzewo. Te dwa pierwiastki składają się na dzieło. Zatem na stworzenie fotografji o walorach artystycznych, potrzebne i konieczne są te dwa warunki. Jeśli fotograf chce stworzyć rzecz o wartości artystycznej musi ją wyczuć i widzieć swoją duszą. Jeśli jest w posiadaniu gruntownej wiedzy fachowej i kieruje się poczuciem piękna, wtedy fotografja napewno będzie miała wartość nie jako przeciętna, lecz jako wartość artystyczna.

Niestety jednak mało jest fotografów zawodowych, którzyby sobie zadali ten miły trud, i zechcieli wniknąć w piękno, jakiem jesteśmy otoczeni i starali się robić nie lalki bez myśli i wyrazu, lecz portrety, w których jest myśl i życie.

Nie winię tu samych fotografów, bo są jednostki, które błędy te widzą — lecz ogół publiczności, która żąda rzeczy pospolitych i banalnych, przez co zmusza do rezygnacji z pracy twórczej.

Od smaku artystycznego naszego społeczeństwa dużo zależy, gdy sztuka fotografji będzie należycie oceniona, każdy fachowiec nabierze ochoty do pracy nad podniesieniem u nas poziomu fotografji, a wtedy ta nowa gałąź sztuki przy wykorzystaniu naszej bujnej fantazji i tylu dobrych chęci, stanie na wyżynach swojego zadania i prześcignąć może Zachód, gdzie fotografja stoi wysoko i artystycznie osiągnęła chlubne rezultaty.

A teraz nie można w dziedzinie fotografji ominąć palącej kwestji u nas w Zakopanem.

Rok rocznie bawi tu wielu amatorów z całej Polski, a jest między nimi duży procent, którzy należą do klubów miłośników fotografji i traktują ją poważnie, nie jako chwilową zabawkę. Ci znajdują się u nas w niemałym kłopocie. Fotografja amatorska, która na Zachodzie jest tak rozwinięta, u nas nie znalazła należytego zrozumienia i oparcia. Czy jest np. choć jeden pensjonat, któryby miał dla wygody swych gości choć marną ciemnię, nie mówiąc już o laboratorjum, a przecież tak mało do tego potrzeba, a jak dużą można dać wygodę amatorom. Niema w miejscowościach klimatycznych zagranicą większego pensjonatu lub hotelu, któryby tak rozgałęzionego sportu nie uwzględnił i nie urządził dla użytku swych gości laboratorjum wzorowo uposażonego. U nas dotąd nikt o tem nie pomyślał. Tu w Zakopanem niepodobna przejść paru kroków, by nie podziwiać czaru naszych gór, gdzie tyle wprost przepięknych widoków i tylu amatorów fotografów a jednak tak mało mamy z tego uroczego zakątka zdjęć fotograficznych o artystycznem ujęciu. Gdzie szukać przyczyn tego? Wszak mamy takie wspaniałe zdjęcia z innych stron Polski, takich artystów jak Bułhak, Gaertner, Marcinkowski, Kirlitz, Rozwens i wielu innych i w Zakopanem mamy również dobrych amatorów. W pracach ich przebija chęć odtworzenia tego piękna — czują i widzą to, co chcieliby wydobyć, ale brak wiadomości technicznych utrudnia im wydobycie właściwych efektów i otrzymania pełnego zadowolenia artystycznego.



Henryk Schabenbeck

Jest na to rada — trzeba pracować nad sobą i kształcić się nadal, trzeba zawiązać w Zakopanem klub miłośników fotografji, prenumerować pisma fachowe traktujące poważnie fotografję jako sztukę, urządzać dla zainteresowanych pogadanki i odczyty, co byłoby u nas nie trudnem, wszak zjeżdżają tu ludzie z zasobem szerokiej teorji i praktyki i z pewnością chętnie podzielą się niemi, dalej możnaby być w stałym kontakcie z innemi lub podobnemi klubami i interesować się rozwojem fotografji artystycznej. Przy założeniu takiego klubu wyłoniłyby się dalsze plany, jak własne laboratorjum, z którego mogliby korzystać przejezdni amatorzy za pewnem wynagrodzeniem, i w ten sposób złożyłoby się fundusze na pisma

fachowe i utrzymanie laboratorjum. Dotychczas wychodzi w Polsce jedyne pismo fachowe (miesięcznik) „Światłocień“ w Poznaniu, redagowane przez p. Ulatowskiego, który nie uląkł się ciężkiego i niewdzięcznego trudu, gdyż nasi zawodowcy i amatorzy nie doceniają korzyści takiego pisma. Na treść pisma składają się wybitne siły, to też stoi ono na poziomie podjętego zadania. Dla przeglądu rozwoju fotografji urządzają też związki fachowców i amatorów coroczne wystawy, która w tym roku odbędzie się w Warszawie w drugiej połowie września. A u nas? Możeby wspólnemi siłami dało się np. urządzić wystawę prac fotografów-amatorów i miłośników z ujęciem widoków jedynie Tatr i Zakopanego.

Byłaby to wystawa oryginalna i ciekawa i kto wie czy nie przyczyniłaby się w znacznej mierze do wycofania nareszcie z obiegu okropnych swym szablonem pocztówek i albumów, szpecących nietylko wystawy sklepów ale i samo Zakopane.

W wystawie mogliby przyjąć udział i zawodowi fotografowie zamiejscowi, naturalnie poza konkursem, lecz jakie skarby odnaleźliby w naszem Podhalu, i ile indywidualnie ujętych a artystycznie zrozumianych zdjęć daćby mogli publiczności, dotąd w przybliżeniu nawet nie zdającej sobie sprawy, ile czaru i piękna kryje się w dolinach Tatr.

Henryk Schabenbeck.



NOWE WYDAWNICTWA TATRZAŃSKIE KSIĘGARNI L. ZWOLIŃSKIEGO W ZAKOPANEM.

Tadeusz Zwoliński, *»Tatry Polskie«*, mapa w podziałce 1 : 37.500 wyszła z początkiem lipca br. nakładem księgarni L. Zwolińskiego już w czwartem wydaniu, poprawionem i uzupełnionem.

Mapa ta, znana dziś powszechnie, stanowi od szeregu lat nieodstępny podręcznik każdego wybierającego się w góry turysty. W ubogiej naszej literaturze kartograficznej wyróżnia się mapa Zwolińskiego niezwykłą plastyką i przejrzystością rysunku gór, przedstawionych zapomocą warstwic (izohyps) 100 metrowych, kolorowanych odpowiednio tak, że orjentacja co do wzniesienia i przebiegu grzbietów górskich łatwą jest nawet dla niefachowców. W przeciwieństwie bowiem do innych wydawnictw, będących mniej lub więcej niewyraźnemi fotograficznemi reprodukcjami kreskowych map austrjackich, metoda warstwicowego przedstawienia gór daje turyście możność łatwiejszego i szybszego „czytania“ mapy.

Sieć dróg i ścieżek, schroniska, jaskinie nakreślone są kolorem czerwonym. Przy drogach podano nadto barwy znaków orjentacyjnych, co jest tem potrzebniejsze, że jak wiadomo, znaki te na całym obszarze Tatr zostały obecnie pozmieniane według nowego „klucza znaków“.

Zarówno po polskiej jak i po czeskiej stronie, znaki nowe maluje się obecnie na tle białem, dla uwydatnienia ich nawet o zmroku lub we mgle, to jest wtedy, gdy stają się one dla turysty najniezbędniejszemi...

Mapa Tatr Polskich, przeznaczona dla wychodzących z Zakopanego turystów, obejmuje środkową tylko, najczęściej zwiedzaną część łańcucha Tatr. Strona południowa nie jest na niej przedstawiona całkowicie, to też jeszcze w recenzjach I. wydania tej mapy pojawiły się życzenia, by objąć cały obszar Tatr. Jak się dowiadujemy p. Zwoliński prace nad wydaniem nowo opracowanej mapy całych Tatr już rozpoczął, i w ciągu kilku miesięcy opuści ona prasę.

Panorama Zakopanego i Tatr — ze zdjęć fot. T. i St. Zwolińskich — wykonana rotograwurą, z nazwami i wysokościami szczytów, w kolorze zielonym lub sepją, jest miłą pamiątką dla opuszczających Zakopane, przypominając widok tylekroć oglądany w czasie letniego pobytu. Jest to też środek orjentacyjny i piękna ozdoba ściany, wykonana bez zarzutu pod względem typograficznym.

Pocztówki ornamentacyjne w stylu zakopiańskim — rys. T. Zwoliński, serja I — opuściły prasę w II wydaniu. Są to barwnie wykonane wzory ozdób, haftów i t. p. góralskich tak pięknych i ciekawych, a znanych gościom jedynie w nader marnej i wynaturzonej formie z niezbyt udatnych, sprzedawanych po sklepach „pamiątek zakopiańskich“, nie mających najczęściej nic wspólnego ze zdobnictwem miejscowem. Wydanie wzorów zdobniczych podhalańskich w serjach barwnych reprodukcyj, przyczynić się może do ich spopularyzowania i lepszego zorjentowania publiczności, kupującej „Pamiątki zakopiańskie“.

* * *

Wydając pierwszy zeszyt kwartalnika „Giewont“ uważamy sobie za miły obowiązek podziękować za pełną zrozumienia pomoc okazaną w pracy, podjętej na nowym zupełnie terenie, a przerastającej rozmiarami siły i inicjatywę prywatnej jednostki. Doświadczenia nabyte o wydawnictwach czasu wojny „Tygodnika Odeskiego“ w Odesie, od 1915 do 1918, w Łodzi przy „Tygodniku Łódzkim“ w r. 1921 do 1922, dały nam praktyką i rutyną wydawniczą odpowiedni punkt oparcia, niemniej zawdzięczamy nader wiele pomocy p. Dr. Józefa Diehla, oraz obywatelskiemu ujęciu p. Leona Łacha, i T-wu. Sztuki Podhalańskiej z prof. Gałkiem na czele. Dużo zrozumienia okazał nam p. Henryk Schabenbeck, którego wysoce artystyczne zdjęcia tak Tatr, jak i samego Zakopanego, wielce się przyczyniły do zewnętrznej szaty pierwszego zeszytu „Giewontu“. Zdjęć amatorskich użyczył redakcji „Giewontu“ p. Antoni Pańkow.

REDAKCJA.

DO WSZYSTKICH.

Prosimy uprzejmie wszystkich Czytelników, którym rozwój Zakopanego leży na sercu, a wydawnictwo „Giewontu“ uznają za celowe i pożyteczne, o nadsyłanie pod adresem redakcji wszelkich uwag, wskazań, artykułów i t. p., co przy nader złożonej pracy organizowania nowego czasopisma ułatwi pracę a równocześnie pozwoli ogarnąć jak najszerzej pojęte zadania i da znakomity materjał orjentacyjny.

Drugi zeszyt kwartalnika „Giewont“ ukaże się w pełni sezonu zimowego w Zakopanem.

DO CZYTELNIKÓW „TYGODNIKA ŁÓDZKIEGO“.

Przesyłając Czytelnikom „Tygodnika Łódzkiego“ pierwszy zeszyt „Giewontu“, zaznaczamy, że artykuły, sprawozdania Tow. i Dyr. Bankowych, przesłanych nam tak licznie celem poparcia wydawnictwa „Giewontu“, w tym numerze miejsca znaleźć nie mogły, z racji nadto dużego materjału, ujmującego siłą rzeczy przedewszystkiem Zakopane.

Następny zeszyt „Giewontu“ obejmować będzie Łódź, Kraków, Zakopane, i w dziale poświęconym Łodzi, znajdą miejsce wszystkie tak uprzejmie przesłane nam rzeczy tyczące spraw spraw miejscowych.

DZIAŁ REKLAMOWY W „GIEWONCIE“.

Dział reklamowy w „Giewoncie“ traktowany będzie z całym zrozumieniem tej tak doniosłej, a niedość docenianej u nas potężnej dźwigni handju i przemysłu.

Reklama jest najpotężniejszą dźwignią handlu! W „Giewoncie“ będzie ona tem bardziej skuteczną, że pismo nasze będzie ozdobnem, prawie o 150 stronach druku, bogato illustrowanem, jedynem w swoim rodzaju na całą Polskę. Ogłoszenie raz dane do „Giewontu“, miesiącami będzie żywotne wśród czytelników i rozpowszechnione nietylko w całym kraju ale i zagranicą.

Dział ogłoszeniowy drugiego numeru „Giewontu“, obejmuje w sobie Łódź, Kraków, Zakopane i ukaże się w pełni sezonu zimowego.

OD WYDAWNICTWA.

PRENUMERATA ROCZNA WRAZ Z BIULETYNAMI OPŁACONA ZGÓRY — **50 ZŁOTYCH.**
BIULETYNY W SPRZEDAŻY **1 ZŁOTY.**
PIERWSZY BIULETYN WYCZERPANY.

OGŁOSZENIA.

Cała str. 300 zł., 1/2 str. 175 zł., 1/4 str. 100 zł., 1/8 str. 75 zł. Artykuły opisowe z fotografjami w tekscie podług umowy, zdjęcia i klisze podług własnej ceny kosztów. Adres redakcji tymczasowy: Zakopane, hotel „Sport“, Giewont, w Krakowie: ul. Sławkowska 14, I p. Zakłady Graficzne.

L. 969. W Zakopanem, w sierpniu 1924.

PRELIMINARZ BUDŻETU NA ROK 1924
TYMCZASOWEJ KOMISJI UZDROWISKOWEJ W ZAKOPANEM,

uchwalony dnia 20-go listopada r. 1923-go, zatwierdzony przez Urząd Wojewódzki w Krakowie dnia 4-go stycznia r. 1924-go, I. IX—14513/23 — wraz z preliminarzem dodatkowym, uchwalonym dnia 13-go maja r. 1924-go, zatwierdzonym przez Urząd Wojewódzki w Krakowie, dnia 1-go lipca 1924-go, I. IX—5686/24.

WYDATKI:

		Złotych
I. SPRAWY ZDROWOTNE.		
1. Na dokończenie szpitala	7.500·—	
2. Subwencja na prowadzenie szpitala	1.500·—	
3. Policja sanitarna i odkażanie	2.000·—	
4. Badanie środków spożywczych	600·—	11.600·—
II. UDOGODNIENIE POBYTU GOŚCIOM.		
5. Subwencja na czyszczenie ulic	10.000·—	
6. Subwencja na oświetlenie ulic	5.000·—	
7. Naprawa chodników i ścieżek	8.000·—	23.000·—
III. POPIERANIE TURYSTYKI I SPORTU.		
8. Subwencja na przebudowę Schroniska P. T. T. w Dolinie Pięciu Stawów Polskich	1.000·—	
9. Subwencje na inne roboty w Tatrach	1.000·—	
10. Subwencje na cele narciarstwa tatrzańskiego i sportów w Zakopanem	1.500·—	3.500·—
IV. REKLAMA ZAKOPANEGO I TATR.		
11. Meteorologja	1.200·—	
12. Ogłoszenia w gazetach i wydawnictwa	2.000·—	3.200·—
V. ADMINISTRACJA.		
13. Utrzymanie biura	1.500·—	
14. Płace urzędników i służby	8.500·—	
15. Odszkodowanie członków Wydziału Wykonawczego	5.200·—	
16. Policja budowlana	1.000·—	
VI.		
17. Wydatki różne i nadzwyczajne	10.000·—	10·000·—
		67.500·—

DOCHODY:

I. 1) Taksy od gości	50.000·—
II. 2) Opłaty pensjonatów, restauracji i hoteli	4.000·—
3) Opłaty innych przedsiębiorstw	8.000·—
III. 4) Zwroty za odkażanie i t. p.	2.000·—
IV. 5) Nadzwyczajne	1.000·—
V. 7) Niedobór do pokrycia przez podwyższenie taksy i opłat	1.820·30
VI. 7) Pozostałość z r. 1923-go	679·70
	67.500·—

TYMCZASOWA KOMISJA UZDROWISKOWA W ZAKOPANEM:

Jan Pęksa, skarbnik. *Dr Józef Diehl,* przewodniczący. *Dr. Karol Morawski,* sekretarz.



L. ZWOLIŃSKI

ZAKOPANE

KRUPÓWKI
Nr. 39.
DOM WŁASNY

ROK ZAŁOŻENIA
1892.
—
TEL. Nr. 22.

KSIĘGARNIA

SKŁAD NUT, PAPIERU, MATERJAŁÓW PIŚMIENNYCH, RYSUNKOWYCH, MALARSKICH I SZKOLNYCH — WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK

POLECA:

WIELKI WYBÓR DZIEŁ z wszelkich gałęzi literatury
KSIĄŻKI I DZIEŁA OZDOBNE, oprawne i ilustrowane
KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
KSIĄŻKI DO NABOŻEŃSTWA w różnych oprawach
MAPY TATR, PRZEWODNIKI I PODRĘCZNIKI TURYSTYCZNE
PODRĘCZNIKI SZKOLNE, MAPY, ATLASY i t. d.
NUTY na fortepian, skrzypce, do śpiewu
SPRZEDAŻ I PRENUMERATA PISM
Wszelkie dzieła gdziekolwiek wydane, sprowadza w najkrótszym czasie

PAPIERY listowe, kancelaryjne, rysunkowe
BIBUŁY, BIBUŁKI, TEKTURY, galanterja papierowa
PRZYBORY MALARSKIE, farby, kredki, pendzle
KSIĘGI HANDLOWE I BUCHALTERYJNE
STRUNY, PRZYBORY do instrumentów muzycznych
POCZTÓWKI z widokami Tatr i Zakopanego
POCZTÓWKI FOTOGRAFICZNE ze zdjęć własnych
POWIĘKSZENIA FOTOGRAFICZNE I PANORAMY TATR ze zdjęć własnych
POCZTÓWKI ARTYSTYCZNE

WŁASNE WYDAWNICTWA TATRZAŃSKIE:

TATRY POLSKIE, mapa warstwicowa, wielobarwna w podz. 1:37.500, z ozn. dróg turystycznych i ich znakowania. Wydanie IV, 1924, poprawione i uzupełnione. Opracował Tadeusz Zwoliński.

ZAKOPANE, szczegółowy przewodnik-informator po Zakopanem i okolicy, oprac. T. i St. Zwolińscy.

PANORAMA ZAKOPANEGO I TATR z Gubałówki, z nazwami i wysokościami szczytów. Wykonana rotograwurą w form. 66×15 cm.

J. KOTARBIŃSKI: NOWELE TATRZAŃSKIE, 6 opowieści z Tatr, wydanie luksusowe z 5 linoleorytami autora.

KANTOR: TATRY W POEZJI POLSKIEJ, antologja.



AKCYJNY BANK ZWIĄZKOWY
(ODDZIAŁ W ZAKOPANEM)



Dyr. Leon Łach.

Wśród licznej sieci filij Banku Związkowego, oddział Zakopiański jest jednym z oddziałów pracujących najbardziej intensywnie. Powstaje on w chwili odrodzenia się Polski w 1919 roku. Umieszczony początkowo w małym lokalu w budynku Zarządu dóbr, w krótkim czasie rozrasta się w poważną instytucję finansową; dawne ramy już tu nie wystarczają, rozszerza przeto w 1920 r. kantor, przenosząc równocześnie pokoje dyrekcyjne, buchalterję, korespondencję na I-sze piętro budynku. Dzisiaj zajmuje Oddział poza obszernym kantorem na parterze całe pierwsze piętro, obejmujące 10 pokoi, w których pracuje 20 urzędników. Dzięki sprężystemu kierownictwu rozciąga Oddział swą działalność nie tylko na Zakopane, lecz na cały powiat Nowotarski, wskutek czego zmuszony jest otworzyć w 1923 r. własną ekspozyturę w Nowym Targu.

Za wytyczną obiera sobie Oddział dwa zadania: szybkie i sumienne obsłużenie przyjezdnej klienteli oraz pomoc finansową czynnikom miejscowym w dążeniu do rozwoju Zakopanego.

Nadzwyczaj liczna sieć korespondentów, jaką Oddział może się poszczycić, ułatwia klienteli bezpośrednie przekazywanie gotówki nawet z najodleglejszego zakątka Polski i zagranicy; pod tym względem jest akcyjny Bank Związkowy w Zakopanem poprostu bez konkurencji. Szczególny nacisk położył bank na udogodnienie kontaktu z Warszawą: niemal wszystkie banki warszawskie zaliczają się do jego korespondentów, otworzenie zaś Oddziału Warszawskiego z wiosną 1923 r. daje możność załatwiania zleceń klienteli w jednym dniu drogą telefoniczną lub telegraficzną.

Niemniejszą działalność rozwija bank w kierunku rozwoju Zakopanego. Finansuje powstające w Zakopanem budowle jak: Łazienki miejskie, Szpital klimatyczny, chodniki betonowe oraz szereg prywatnych will i budynków. W dziale komunikacji wielką jego zasługą jest sfinansowanie „Zakopiańskiej Spółki Samochodowej“, urządzającej wycieczki do Morskiego Oka, Szczawnicy, Szmeksu, Doliny Kościeliskiej. Przy pomocy banku powstają dalej i rozwijają się „Strug“ S. A. Fabryka mebli w Zakopenem, „Kilim“ Artystyczna praco-



Buchalterja.



Konferencja zarządu. Od lewej do prawej: prok. L. Celewicz, dyr. dr. Łach, prok. St. Wajgiel.

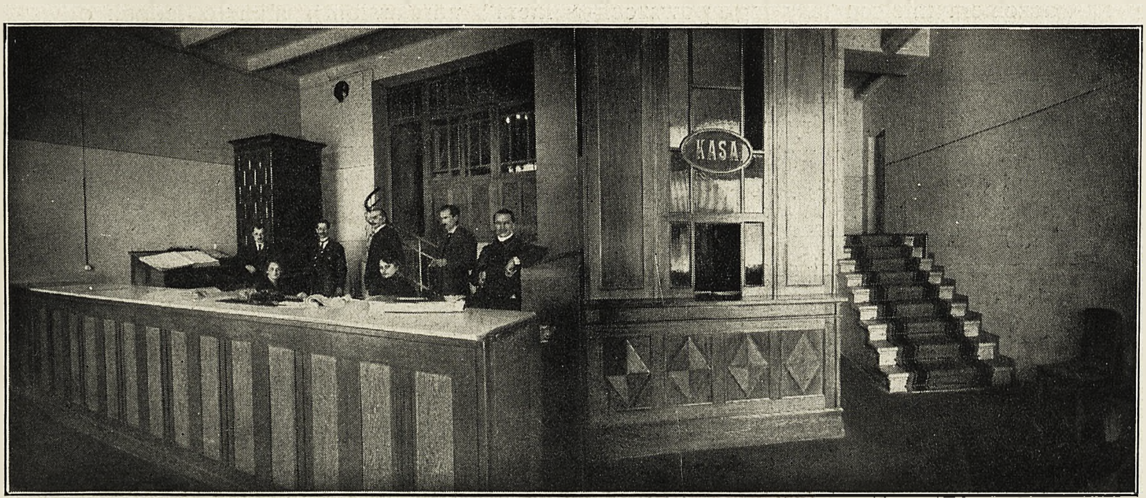
wnia kilimów, Stolarnia maszynowa i tartak Jerzego Uznańskiego w Jaszczurówce. O bank opierają się wkońcu większe firmy handlowe jak „Bazar Polski" Sp. z ogr. odp., „Nasz Sklep" Sp. z ogr. odp., „Składnica towarowa właścicieli hoteli i pensjonatów".

Zarząd Oddziału spoczywa w rękach pp. Dra Leona Łacha i Franciszka Kosińskiego oraz prokurentów pp. Ludwika Celewicza i Stanisława Wajgla.

Dyrektorem naczelnym jest pan Dr. Leon Łach.

Akcyjny Bank Związkowy S. A. został założony w r. 1902 we Lwowie. Posiadając oddział w Warszawie, bank ten rozwinął bardzo sprężystą działalność, zasilając Warszawę dewizami z Małopolski Wschodniej. Ogółem Centrala lwowska posiada 17 oddziałów, z których wyróżniają się ruchliwością i pracą: dwa oddziały w Krakowie, Krośnie, Przemyślu, Śniatynie, Tarnopolu, Nowym Targu, Zakopanem i Białymstoku — ten ostatni jeszcze w stadjum organizacji.

Akcyjny Bank Związkowy posiada na dworcu kolejowym we Lwowie własne magazyny, celem ułatwienia klienteli obrotu towarowego, przez umożliwienie jej łatwego i taniego sposobu przechowania towarów, idących ze Lwowa na Wschód.



Wnętrze Biur Akc. Banku Związkowego Oddział w Zakopanem.



BRACIA SCHIELE I S-KA.

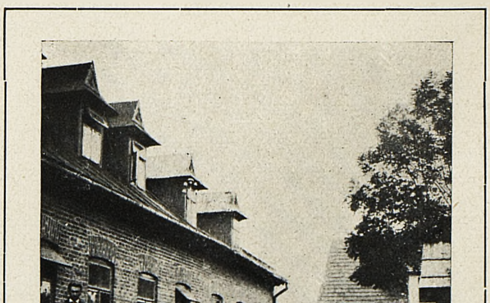
Pojęcie sportu w znaczeniu pojęć dzisiejszych jest czemś zupełnie nowem, wiążącem się tylko ideą zasadniczą kultu ciała i jego rozwoju fizycznego z pojęciami, pozostawionemi nam w spadku przez świat starogrecki. W istocie sportu, posiadającego, zdawałoby się, jedynie walory czysto moralne, nie może być miejsca na związek z przemysłem czy handlem, tak pozornie morganatyczny a jednak związek taki, i to bardzo ścisły, istnieje.

Sport wymaga sprzętu sportowego; minęły te czasy, gdy zawodnik sporządzał sobie sam potrzebny mu sprzęt. Dziś życie społeczne jest bardziej zróżniczkowane; gdy zdamy sobie sprawę, że wyczyny sportowe zależne są w dużej mierze od dobroci sprzętu, a następnie, że w celach sportu na naczelnem miejscu leży jego powszechność, a więc dostępność, czyli taniość sprzętu — dojdziemy do wniosku, że warunki te może ogółowi sportowemu dać tylko przemysł — przemysł sportowy, w tym wypadku, który podlega warunkom ekonomicznym rządzącym wytwórczością, t. j. korzysta z sumy doświadczeń dotychczasowych i ze zmechanizowania pracy. A w tem leży tajemnica jakości i taniości sprzętu.

Tak więc przemysł przynosi sportowi zasadnicze warunki bytu, rozprzestrzenia jego horyzonty i prowadzi na wyżyny rekordów — służy mu jednem słowem swemi środkami, lecz równocześnie śledzi bacznie jego samorzutny rozwój, by zawsze nadążyć za zdobyczami jego w dziedzinie techniki sprzętu. Dlatego też nic dziwnego, że placówki tego przemysłu stwarzają w pierwszym rzędzie, przejęci ideą sportu, ludzie-sportowcy „pour sang“, których dopiero warunki społeczne robią przemysłowcami. A że żyjemy w Polsce, która zdobycze na polu sportowem okupywać musiała dotychczas stratą majątku narodowego na rzecz zagranicznego przemysłu — zasługa takich poczynań jest podwójną.

Taką placówką na naczelnem miejscu w kraju jest firma „Bracia Schiele i S-ka“, wytwórnia nart i przyborów sportowych, założona w 1921 roku w Zakopanem, jako najcelniejszym środowisku narciarstwa. Twarde były warunki, w których zaczęła stawiać pierwsze kroki na polu wytwórczości: mały kapitał, dzierżawione prymitywnie budynki i maszyny, brak odpowiedniego materjału i doświadczenia. Grono osób, które tę placówkę stworzyło, a które ukochało góry i ten niepozorny sprzęt — narty, umożliwiający wtargnięcie w ich śnieżne cuda: pp. A. i K. Schiele, Z. Rittersschield i Fr. Bujak (każdy ich zna, kto się zetknął ze „światkiem“ narciarskim), stanęło jednak odważnie do pracy dla dobra rodzimego sportu.

Rezultaty, w miarę środków skromne, nie długo dały na siebie czekać. Już sezon zimowy 1921—





1922 r. przynosi w wytwórczości parę set par nart i tyleż saneczek, wprawdzie niedoskonałych z powodu braku dość suchego drzewa, ale dzięki taniości, dostępnych szerokiemu ogółowi sportowemu, często niezamożnemu. Sfera działalności i zbytu firmy ograniczyć się musiała w tym okresie, z natury rzeczy, tylko do Zakopanego.

Po pierwszych próbach wytwarzania przyborów do lekkiej atletyki w sezonie letnim, drugi okres zimowy zastał wytwórnię w obliczu zwiększonych zadań, zakreślonych szerokim rozmachem narciarstwa, które zyskiwać zaczęło adeptów daleko poza dotychczasowemi centrami tego sportu. Aby mu nadążyć, trzebaby było znacznie większych środków pieniężnych i technicznych, niż firma w tym czasie posiadała. Niemniej jednak w zakresie możliwości zdołano wytwórnię powiększyć o własną gięciarnię i suszarnię; dzięki nim i zastosowaniu doświadczeń ubiegłego sezonu osiągnięto dalszy stopień rozwoju, dając lepszy sprzęt przy zwiększonej do kilkuset par nart i t. p. produkcji, o czem świadczyć mogą bardzo naówczas liczne stosunki z polskiemi klubami sportowemi.

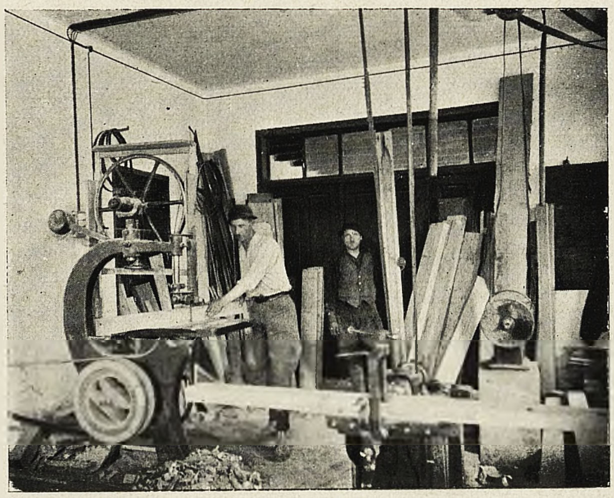
Jednakże dopiero dziś może sobie zarząd powiedzieć, że przemysł sportowy tej gałęzi postawił na właściwym poziomie. Stało się to w roku ubiegłym dzięki finansowemu wysiłkowi wspólników, który pozwolił na stworzenie własnego warsztatu pracy w postaci obszernych zabudowań fabrycznych i obrabiarek najnowszych systemów. Niemal cały rok trwała praca rozbudowy i montażu fabryki, przy równoczesnych staraniach o wyborowe i suche drzewo, które po okresie wojennym stało się rzadkością w całej prawie Europie. W ten sposób, wprawdzie stracono dla produkcji sezon 1923 r., jednakże osiągnięto dla niej nieograniczoną swobodę na przyszłość i możliwość spokojnej pracy w kampanji letniej na sezon zimowy i odwrotnie.

Dziś wytwórnia pracuje już w całej pełni przy wyrobie nart, saneczek, wiązań i kijków narciarskich, by pokryć bodaj najliczniejsze zapotrzebowanie zimowe. Kilkanaście obrabiarek, w tem najważniejsze: piła taśmowa i fryzerka, przyjmuje w swe żelazne objęcie kilkadziesiąt wyschniętych „fryzów“ jesionowych, by po skończonej pracy dziennej oddać około pół setki już obrobionych „desek“, czekających na gięcie. Tam w gięciarni czeka już kocioł syczący parą. Deski po naparzeniu miękie nieomal, jak tektura, idą na formy, na których spoczywają w suszarni parę dni — i znowu maszyny nadają im formę ostateczną, by jako narty, przeszedłszy tylko jeszcze raz przez ludzkie tym razem ręce, które je czyszczą, politurują lub lakierują, znaleźć się wreszcie w magazynie i czekać swego losu: służby na śnieżnych szczytach, lub na trasie, albo skoczni zawodniczej.

Fabryka pozostaje obecnie pod zarządem p. inż. K. Schielego i M. Urbana i pod kierownictwem pp. Fr. Bujaka, wielokrotnego mistrza Polski i „olimpijczyka“ i St. Zdyba, jednego z pionierów sportu i przemysłu narciarskiego. Zatrudnia obecnie około 20 robotników, prowadząc równolegle dział stolarski i budowlany, jakoteż galanteryjno-tokarski.

W pierwszym jednak rzędzie kładzie zarząd nacisk na wytwórczość sportową i dziś, dzięki dotychczasowym wysiłkom i nakładowi pieniężnemu, jest fabryka w możności wyprodukować w ciągu kampanji letniej około 3000 par nart i odpowiednią ilość wiązań i kijków, pozatem do 1000 saneczek. W bieżącym sezonie, poraz pierwszy w kraju dostarczy wytwórnia kilkaset par nart z amerykańskiego, niezwykle twardego drzewa hickorowego, który to gatunek nadaje się najlepiej na wyrób nart dla zawodników i do skoków.

Wytworzony sprzęt nie ustępuje w niczem zagranicznemu, a w cenie kalkuluje się znacznie niżej, gdyż Zarząd dba i dbać zawsze będzie w pierwszym rzędzie nie o wygórowane zyski, lecz o danie sportowi rodzimemu podstaw do jaknajszerszego rozwoju — a tem są dobroć i dostępność sprzętu szerokiemu ogółowi.





ZAKOPANE

„SANATO“

Pensjonat

A. Rumińskiego.

PENSJONAT „SANATO“.

W najpiękniejszem i najzdrowszem miejscu Zakopanego, na wzgórzu Antołówki, wśród balsamicznej woni kilkudziesięciu morgów lasu szpilkowego, z przecudnym widokiem na Tatry, górując o 100 metrów nad całem Zakopanem, wznosi się budynek czteropiętrowy, widoczny zdaleka. Przyjechawszy do Zakopanego, nie można go minąć, nie zainteresowawszy się nim. To „Sanato“, jedyny w Zakopanem pensjonat zakrojony na tak wielką skalę.

Właścicielem „Sanato“ jest p. Rumiński, który udziela następnych informacyj:

— Budowę pensjonatu rozpoczęto w 1912 r. Właściwie początkowo miało to być sanatorjum dla piersiowo chorych, urządzone na wzór pierwszorzędnych zakładów szwajcarskich. Projekt ten jednak nie doszedł do skutku. Wskutek opozycji gminy Zakopanego, która sprzeciw swój motywowała tem, że położenie sanatorjum za blisko od centrum miasta nie odpowiadałoby względom higjenicznym, sanatorjum zamienione zostało na pensjonat z pozostawieniem wszelkich urządzeń, przeznaczonych dla sanatorjum.

— Jest to niewątpliwie olbrzymią wygodą dla wszystkich tych, co przyjeżdżają ratować nadwątlone zdrowie — wtrąciłem.

— Tak, nadwątlone — podkreśla z uśmiechem p. Rumiński — gdyż chorych nie przyjmujemy zupełnie. Tu już musi być wybór: albo jest sanatorjum, albo jest pensjonat. A ponieważ „Sanato“ jest tym ostatnim, nie możemy narażać zdrowia gości, którzy rzeczywiście przyjeżdżają tu dla wypoczynku. Co do warunków higjenicznych, to w istocie nikt się jeszcze w „Sanato“ na brak ich nie uskarżał. Najlepiej będzie, jeżeli sprawdzimy to naocznie.



CZYTELNIA.

Zaczynamy wędrówkę od parteru, gdzie znajduje się obszerne foyer, biuro zarządu, salony recepcyjne, kuchnie, śpiżarnie, łazienki i natryski. Wszystko utrzymane we wzorowym porządku i według wymagań europejskich. Pokoje gościnne, urządzone z wykwintnym smakiem, są oddzielne i połączone, mogące stanowić apartamenty. W każdym pokoju woda zimna i gorąca, porcelanowe instalacje higjeniczne, elektryczność i telefon wewnętrzny. Ogrzewanie centralne, przyczem należy nadmienić, że do kaloryferów dochodzi para, nie woda, co jest znacznie zdrowsze i higjeniczniejsze.

Szerokie i wygodne schody prowadzą na pierwsze piętro. „Sanato“ wszakże posiada także windę. Rzecz to niezwykła w Zakopanem. Winda

zawozi nas na pierwsze piętro, na którem mieszczą się tylko pokoje gościnne i sale jadalne. Prócz tego, jak i na każdem piętrze zresztą, łazienki i kredens. Ogółem pokojów gościnnych jest pięćdziesiąt. Wszystkie pokoje umieszczone są po południowej stronie gmachu, a więc jasne, słoneczne i zaopatrzone w balkony do werandowania. A z balkonów, wdychając żywiczne górskie powietrze, można napawać się widokiem Giewontu i leżącą u stóp Tatr doliną Zakopanego, zdala od kurzu i hałasu ulic.



JADALNIA.

Ściany pokojów wyłożone są szwajcarskiemi tapetami do zmywania t. zw. *tekko,* podłoga pokryta linoleum, utrzymanem przez służbę we wzorowej czystości. Łóżka mosiężne z pościelą doborową, jako jeden z najpoważniejszych czynników prawdziwego wypoczynku, są idealnie wygodne. Jeżeli dodać jeszcze do tego, że pokoje posiadają wentylację elektryczną, to zdaje się, że pod względem wygody pokoje „Sanato" nie ustępują pensjonatom zagranicznym.

Co do estetyki, to miałem sposobność sprawdzić wysoki jej poziom i smak artystyczny właściciela „Sanato" zwiedzając. Ogromna sala jadalna na I piętrze, udekorowana jest prześliczną boazerją.

— Boazerja ta, roboty znakomitego artysty rzeźbiarza, Wojciecha Brzega i utrzymana jest w stylu ściśle zakopiańskim. Salony ozdabiają malowidła ścienne p. Gramatyka-Ostrowskiej w stylu modernistycznego zdobnictwa ludowego. Hall i klatkę schodową zdobią freski p. Rumieńskiej-Gerżabkowej.

Zapytujemy o frekwencję gości.

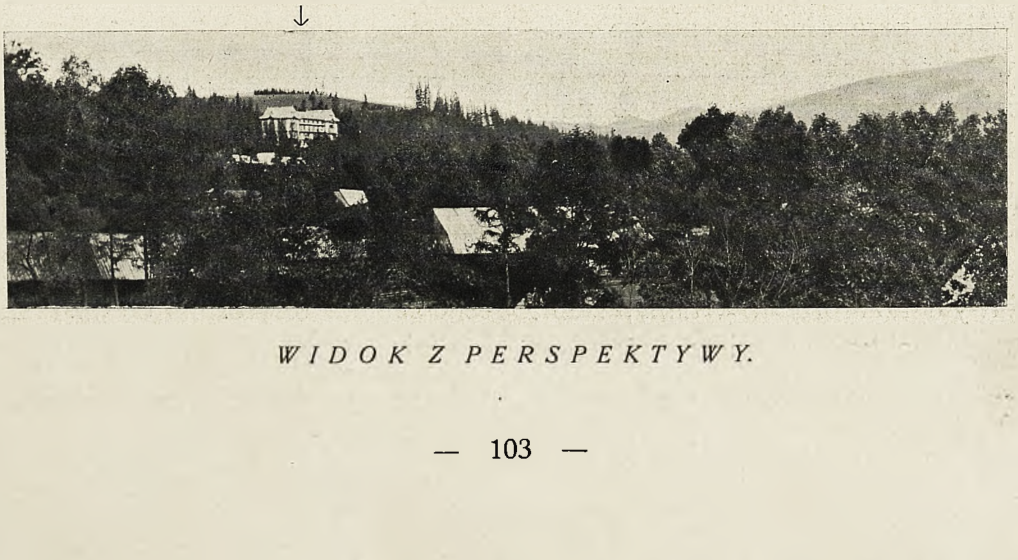
— Nie możemy się uskarżać, pełno jest u nas zawsze. Mamy gości, którzy przyjeżdżają do nas stale od kilku, a nawet od kilkunastu lat od czasu założenia pensjonatu. Dlatego też mowy niema, aby nowoprzybywający mogli otrzymać pokój bez uprzedniego zamówienia i to na kilka miesięcy zgóry. Jest na to wszakże rada: wyzyskać t. zw. martwy sezon, kiedy ruch się zmniejsza, zaś ludzie, potrzebujący naprawdę wypoczynku, będą go mieli w całej pełni. I wtedy jednak zawczasu zawiadomić o przyjeździe, bo wówczas wysyłamy na stację konie, przez co unika się niepotrzebnych scysyj przy wynajmowaniu fiakrów góralskich — zwłaszcza jeżeli ktoś nie zna miejscowych warunków. Posiadamy własną remizę i konie są zawsze do dyspozycji. Zaznaczyć też należy, że nie w sezonie ceny są niższe niemal o 50% i spokojniej.

W sezonie często odbywają się t. zw. reuniony i zabawy, które często posiadają nawet niepospolite atrakcje, ze względu na to, że „Sanato" gości u siebie wiele wybitnych osobistości ze świata artystycznego i literackiego. Często zabrzmi z estrady żywe słowo lub odbędzie się jakaś produkcja artystyczna, a dodać należy, że towarzystwo jest starannie dobrane.

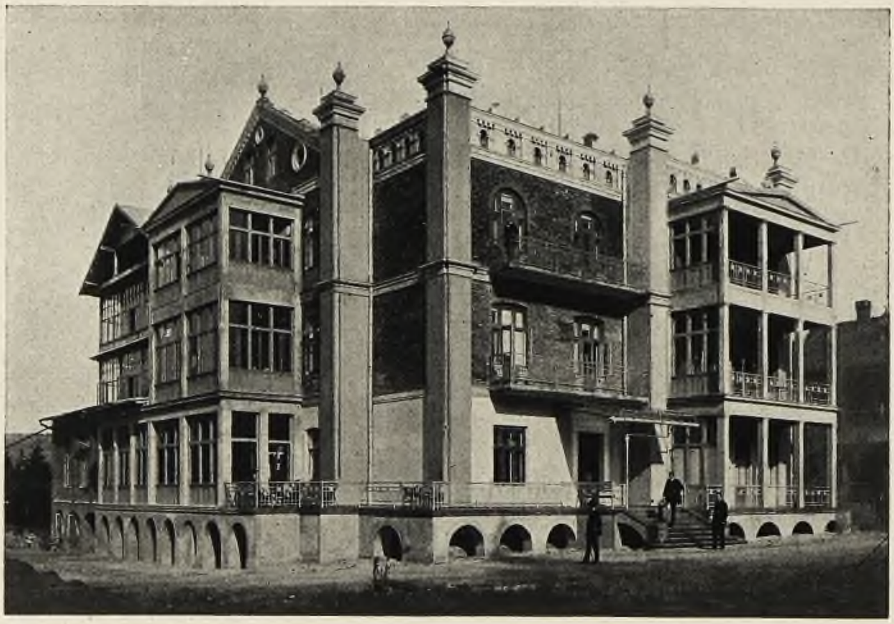
Pensjonat „Sanato" wzniesiony został podług planów znanego architekty p. E. Wesołowskiego, a załączone zdjęcia dają wyraz wykwintnej wytworności tego jedynego w swoim rodzaju pensjonatu, jakim jest „Sanato" w Zakopanem.

Pensjonat „Sanato".

↓



WIDOK Z PERSPEKTYWY.



Ogólny widok pensjonatu »Warszawianka«.

PENSJONAT „WARSZAWIANKA".

W parku, w pobliżu dworca kolejowego stoi piękny trzypiętrowy murowany budynek. Wygodne położenie, w centrum, a jednak w zdrowotnych warunkach, jest jedną z przyczyn, że zawsze tam pełno i gwarno.

„Warszawianka" — pensjonat pierwszego rzędu — należy do spółki z ogr. poręką i znajduje się pod tym samym zarządem, co „Sanato". Nabyta w r. 1920 od dr. Wilczyńskiego, powiększona przez nabycie frontowych willi przy ul. Jagiellońskiej – „Konstantynówka" i „Mazowsze" — „Warszawianka" szybko zaczęła się rozwijać i ma teraz zupełnie ustaloną renomę. Przez powiększenie ilości budynków, ma obecnie do dyspozycji 80 pokoi gościnnych. W sezonach stale jest przepełnienie, ale poza sezonami, w „martwych" okresach, o pokój jest łatwiej, ceny zaś są zniżone, co umożliwia zwłaszcza pracującej inteligencji miłe spędzenie czasu i wypoczynek po zgiełku wielkomiejskim.

Zarząd pensjonatu stara się gości otoczyć możliwym komfortem. Wanny, ciepła i zimna woda na każdem piętrze, telefony wewnętrzne, centralne ogrzewanie — oto warunki, które człowiek przyzwyczajony do wygód znajdzie w „Warszawiance". I co najważniejsza, domowa atmosfera, w której goście pensjonatu czują się jak u siebie.

W wielkiej sali jadalnej na 120 osób ogniskuje się życie towarzyskie, które po kolacji przenosi się do salonu głównego, gdzie tworzy się cercle lub odbywają tańce. Prócz tego są pokoje do gry, gdzie przesiadują zapaleni amatorzy bridge'a i preferansa. Sale dekorowane są freskami, wykonanemi z wysokiem poczuciem smaku artystycznego przez p. Natalję Rumińską-Gerżabkową.

W sali jadalnej, ze względu na jej rozmiary i wykwintne urządzenie, często odbywają się bankiety i przyjęcia reprezentacyjno-państwowe. Pierwszorzędna kuchnia francuska i bogato zaopatrzona piwnica niemało się do tego przyczynia. Obsługa jest szybka i sprawna, co dla ludzi wypoczywających jest rzeczą niezmiernie ważną. Konie na żądanie można zawsze otrzymać. Na tem samem terytorjum co „Warszawianka" mieści się zakład fizjatrji i rentgenologji pod kierunkiem dr. Karwowskiego.

SPÓŁKA AKC. PRZEMYSŁ DRZEWNY „STRUG".



Gmach Spółki Akc. „Strug" w Grudziądzu.

Spółka Akcyjna Przemysł drzewny „Strug" powstała z inicjatywy obecnego Prezesa Dr. P. Wacława Kraszewskiego i obecnego Naczelnego Dyrektora P. J. Kwaśniewskiego, pierwotnie, jako Spółka z ogr. odp. w Zakopanem, w roku 1919, a następnie po przystąpieniu szerszego grona znanych przedsiębiorców w Zakopanem i w Krakowie zmieniono Spółkę z ogr. odp. na Spółkę Akcyjną o kapitale 30,000.000·— Mkp.

Już po pierwszych miesiącach założenia Spółki z ogr. odp. okazało się, że wskutek wielkiego zainteresowania się Spółką, produkcja mebli w samem Zakopanem, dla zaspokojenia wielkiego popytu nie wystarcza i wskutek tego też przystąpiła Spółka do kupna dużego przedsiębiorstwa na Pomorzu w Grudziądzu, gdzie też po krótkich pertraktacjach nabyła Spółka olbrzymi objekt, zakupując tam bardzo ważną placówkę z rąk niemieckich.

Bezwłocznie po kupnie tego dużego objektu, przystąpiono do rozszerzenia produkcji w samym Grudziądzu. Nie dość na tem, w krótkim bowiem czasie zakupiła Spółka trzecią fabrykę w Nowej wsi, pod Grudziądzem.

Dzięki sumiennej kalkulacji, starannemu wykończeniu wyrobów Spółki, zbyt mebli był odrazu zapewniony, tak, że wskutek tego Spółka, nie rozdwajając zbytnio swego majątku, podwyższyła kapitał akcyjny z końcem 1921, a z początkiem 1922 r., o dalsze 30,000.000 Mkp. a III. emisję do ogólnej wysokości 180,000.000 Mkp. ukończono dopiero 2-go lipca b. r., tak że dzisiejszy kapitał akcyjny Spółki wynosi ogółem 180,000.000 Mkp. w nominaljach. Do Spółki należą nieruchomości w Zakopanem, olbrzymi objekt o trzech murowanych budynkach w Grudziądzu, oraz objekt w Nowej wsi, o murowanych dwóch budynkach.

Poza fabryką w Zakopanem posiada Spółka jeszcze dwie nieruchomości, a mianowicie: dwie wille t. zw. „Strugowa" i „Strużanka", w których urządziła mieszkania dla robotników pracujących w Zakopanem.

Fabryki w Zakopanem i w Nowej wsi pod Grudziądzem produkują wyłącznie meble twarde, począwszy od pojedynczych urządzeń biurowych i mieszkaniowych, do najwykwintniejszych stylowych urządzeń mieszkalnych. Fabryka w Grudziądzu natomiast produkuje oprócz mebli twardych, także meble salonowe, wyścielane.

Poza budynkiem fabrycznym w Grudziądzu posiada Spółka olbrzymi gmach wystawowy, w którym z łatwością pomieścić może około 150 pokoi u siebie wyprodukowanych.

Zwiedzając fabrykę w Zakopanem, a poprzednio w Grudziądzu w drodze powrotnej z morza polskiego przez Grudziądz do Zakopanego, mieliśmy sposobność odwiedzić także fabrykę wymienionej Spółki w Grudziądzu.

Dzisiejsza produkcja mimo silnej stagnacji, która nie uszczuplając ani jednej godziny produkcyjnej, nie wydalając ani jednego robotnika, dochodzi dzisiaj w Spółce do dwóch sypialń dziennie.

Łatwo sobie wyobrazić, że dzięki tak intensywnej produkcji mebli pod każdym względem solidnie i wykwintnie wykończonych, Spółka „Strug" wybija się na pierwszy plan, tak, że dzisiaj jest jednem z najpoważniejszych przedsiębiorstw w Polsce.



Jadalnia.

ich linjach, zachęca każdego do kupna mebli w „Strugu“ tembardziej, że „Strug“ udziela obecnie, po ustaleniu waluty, kredytu każdemu kupującemu, w sposób bardzo dostępny.

Dzisiaj już tak jadalnie, jakoteż sypialnie, nawet tak wykwintne, jak uwidoczniona sypialnia 533 z drzewa kwiecistej brzozy, Spółka Akcyjna „Strug“ dostarcza na spłaty ratalne, za doliczeniem ustawowego minimalnego procentu, po uskutecznionej dostawie. Warunek ten jest wielkiem udogodnieniem, szczególnie dla inteligencji i pracującej ludności, która obecnie dopiero przy stabilizacji naszej waluty, korzystać może z kupna mebli dla uzupełnienia braków, spowodowanych po największej części zniszczeniem wojny.

Korzystając z uprzejmości kierowników poszczególnych fabryk, zwiedziliśmy placówkę Spółki z uczuciem szczerego zadowolenia. Nie ukrywaliśmy tego przed kierownikami przedsiębiorstwa, którzy chętnie nam służyli wszelkiemi informacjami.

Oglądnęliśmy też przy tej sposobności uwidocznioną w naszem piśmie jadalnię nr. 609, wykończoną bardzo gustownie z drzewa dębowego, cieszącą się ogólnem powodzeniem. Na wskróś solidnie wykończona, nadzwyczaj gustowna w swoich linjach, zachęca każdego do kupna mebli w „Strugu“...

Opuszczając Zakłady Sp. Akc. „Strug“ podziękowaliśmy jeszcze raz przedstawicielom Dyrekcji za bardzo chętne wtajemniczenie nas w szczegóły produkcji i przyznajemy szczerze, iż Spółka swojemi olbrzymiemi i wzorowo urządzonemi zakładami sprawiła nam wielką i miłą niespodziankę.



Sypialnia.

ZAKOPIAŃSKA SPÓŁKA SAMOCHODOWA

SPÓŁKA Z OGR. ODP.

W ZAKOPANEM



GARAŻE I WARSZTATY DLA SAMOCHODÓW W ZAKOPANEM PRZY ULICY KAMIENIEC

GARAŻE POSIADAJĄ BOKSY MUROWANE, ODDZIELNE, DO GARAŻOWANIA SAMOCHODÓW

Na składzie stale benzyna i smary po cenach konkurencyjnych Tow. „Oleum“ w Warszawie, oprócz tego opony i kiszki wszelkich rozmiarów marki „Continental“ i „Michelin“, akcesorja i części zapasowe. Warsztaty zdolne do wykonania wszelkich reperacyj wchodzących w zakres mechaniki, oraz reperacyj opon i kiszek.

Samochody-omnibusy Spółki Samochodowej, jeżdżące stale do Morskiego Oka, Szczawnicy i innych miejscowości wycieczkowych, zbudowane według wszelkich wymagań techniki, zapewniają wszelkie bezpieczeństwo, a będąc na dętych gumach równają się co do wygody z wozami osobowemi.

UWAGA: ZAKOPANE I OKOLICE TWORZĄ JEDNĄ Z NAJDOGODNIEJSZYCH WYCIECZEK SAMOCHODOWYCH W KRAJU PRZY ZNANYCH PIĘKNOŚCIACH KRAJOBRAZU.

Wszelkie zgłoszenia przyjmuje

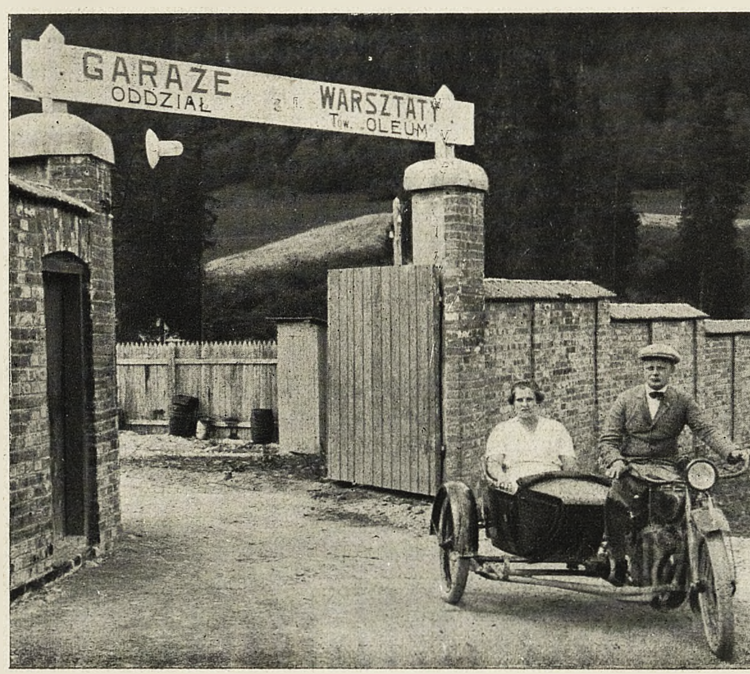
ZAKOPIAŃSKA
SPÓŁKA SAMOCHODOWA
SP. Z OGR. OD.
W ZAKOPANEM.

GARAŻE I WARSZTATY: UL. KAMIENIEC

SKLEP: ULICA KRUPÓWKI Nr. 10.

SKRÓT TELEGRAFICZNY: „Z A K S A M“

TELEFON MIĘDZYMIASTOWY:
ZAKOPANE, 108 lub 114.



Gdy dobra Zakopane przeszły w ręce ich obecnego właściciela Władysława hr. Zamoyskiego, znanego i cenionego działacza na niwie społecznej, otucha wstąpiła w dusze zjeżdżającej już w tych latach do Zakopanego licznej rzeszy obywateli polskich, a nadzieja pokładana w twórczej pracy wielkiego obywatela nie zawiodła nikogo.

Zamoyski nie tylko, że zabrał się energicznie do porządkowania zaniedbanej i ruiną grożącej gospodarki w lasach tatrzańskich, po poprzednich ich gospodarzach, ale równocześnie zaczął rozwijać energiczną działalność społeczną na terenie samego Zakopanego.

Zdając sobie dokładnie sprawę ze znaczenia handlu polskiego, w życiu społecznem narodu, postanowił i w tym kierunku pracować, a uważając, że pierwszym obowiązkiem handlu polskiego jest obsłużenie najpilniejszych i codziennych potrzeb ludności, zakłada w r. 1889 sklep spożywczy pod firmą „Spółka handlowa". Spółka ta posiadała charakter stowarzyszenia udziałowego, a na czele jej, jako spólnik połowę kapitału zakładowego wnoszący, stanął hr. Zamoyski.

Sklep „Spółki handlowej" mieścił się w domu hr. Zamoyskiego przy ulicy Kościeliskiej (gdzie dotąd istnieje filja „Bazaru Polskiego"), a na czele sklepu jako pierwszy dyrektor staje hr. Tyszkiewicz — po ustąpieniu jego, obejmuje i piastuje do r. 1907 dyrekcję ś. p. Wiktor Ciechomski. W r. 1907 staje na czele sklepu Władysław Popławski i trwa na tem stanowisku do swej śmierci, t. j. do 1914 r.

Szybki rozwój instytucji w pierwszem dziesięcioleciu XX wieku, założenie w tym czasie dwóch filij, zmusza do rozszerzenia w 1912 r. składu dyrekcji i stworzenia posady drugiego dyrektora, którym zostaje obecny dyrektor „Bazaru Polskiego" p. Franciszek Kosiński. W tymże roku po wykończeniu przez hr. Zamoyskiego budynku przy Krupówkach nazwanego „Bazarem Polskim", przenosi się centrala „Spółki handlowej" do nowego gmachu, dawny lokal centralny zamieniając na filjalny.

W r. 1923 dawne stowarzyszenie udziałowe pod firmą „Spółka handlowa", została zamieniona na spółkę z ogr. odp. pod firmą „Bazar Polski", przyczem ani skład spólników, ani charakter przedsiębiorstwa nie został zmieniony.

Tyle co do dat historycznych z okresu istnienia obecnego „Bazaru Polskiego" — szkic ten nie byłby jednak kompletnym, gdyby pominięto i strony moralne, oraz wpływ jaki zrazu „Spółka handlowa" a później „Bazar Polski" wywierały na ekonomiczne życie zakopiańskiej społeczności.

Założony z myślą krzewienia idei handlu polskiego, postawiwszy sobie za zadanie zaopatrywanie ludności możliwie we wszystko, co w zakres tego rodzaju sklepów wchodziło, prowadziła „Spółka handlowa" poza działem spożywczym, dział żelazny (głównie rolniczy), dział naczyń domowych i kuchennych i t. p. Założony i poparty silnym kapitałem, stanął zakład odrazu na właściwej wyżynie i godnie spełniał swe obowiązki — nic też więc dziwnego, że zyskał sobie powszechne zaufanie i sympatje ogółu.

Spełniając w zrozumieniu własnego i ogólnego interesu znakomicie wszystkie czynności handlowe, nie zapominała instytucja ta o swem ideowem stanowisku i posłannictwie, co przedewszystkiem i bardzo wybitnie zaznaczyło się w czasie wojny i spowodowanych nią trudności aprowizacyjnych i kredytowych. Wszelkiemi drogami w tym okresie do celu dążąc, starała się dyrekcja o zaopatrywanie ludności i to przedewszystkiem tej najbardziej potrzebującej, z szeregów bezdomnej ludności kresowej rekrutującej się, w środki aprowizacyjne, nieraz i nawet bardzo często w wypadkach koniecznych udzielając jej kredytu i pomocy finansowej. Przyczem podnieść należy, że nie interes, a tylko dobro społeczne przyświecało w tej pracy dyrekcji. Znane są fakta, że wielce uspołeczniony dyrektor instytucji p. Fr. Kosiński znane i pierwszorzędnej wartości składy piwnic kuźnickich wykorzystywał w humanitarny sposób do ratowania chorych. Znamy wypadki, że gdy nie tylko w Zakopanem i w całej zachodniej Małopolsce wina w dobrej jakości dostać nie było można, a za fabrykaty i lichotę płacić trzeba było poprostu na wagę złota, to dyr. Kosiński użyczał potrzebującym z owych zapasów wina pierwszych gatunków, wprost za bezcen. Przykładów takich możnaby wyliczyć nie dziesiątki, ale wprost setki. Nic też więc dziwnego, że „Bazar Polski" mając w swej pracy poza rezultatami materjalnemi i taki moralny dorobek, zyskał wśród społeczeństwa zakopiańskiego i gości Zakopane odwiedzających jak najlepszą opinję i zaufanie.

„Bazar Polski" przez swą pracę ekonomiczno-handlową udowodnił poza tem, że i my Polacy posiadamy pokaźne walory i zdolności kupieckie i że przy dobrej woli i energji jesteśmy w stanie handel ten z korzyścią dla niego, a pożytkiem dla społeczeństwa poprowadzić.

1905 ROK ZAŁOŻENIA 1905

SKŁADNICA KÓŁEK ROLNICZYCH

W ZAKOPANEM

STOWARZ. SPÓŁDZIELCZE Z OGRAN. ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ

SKLEP GŁÓWNY: UL. KRUPÓWKI VIS A VIS POCZTY
FILJE: UL. KASPRUSIE I STARA POLANA (DOM WŁASNY)



HANDEL TOWARÓW KOLONJALNYCH: CUKIER, MĄKA, KASZE, WINA, OWOCE SUSZONE, KAWA, KAKAO, HERBATA, ARTYKUŁY SPOŻYWCZE NA WYCIECZKI, MYDŁA DO PRANIA I TOALETOWE

PORCELANA, SZKŁO, NACZYNIA KUCHENNE I DOMOW. UŻYTKU

DZIAŁ ROLNICZY: ZBOŻE, NASIONA I NAWOZY SZTUCZNE

ZASTĘPSTWO SPRZEDAŻY SOLI, TRAFIKA

HURTOWNA SPRZEDAŻ DLA SKLEPÓW WIEJSKICH





WNĘTRZE KSIĘGARNI

GEBETHNER I WOLFF

FILJA W ZAKOPANEM

KSIĄŻKI

PISMA

NUTY polskie i obce

PRZYBORY PIŚMIENNE I MALARSKIE

KARTY WIDOKOWE — ALBUMY — KARTY DO GRY

PAMIĄTKI ZAKOPIAŃSKIE



Jedna z sal restauracyjnych „Tatrzańskiej".





WIDOK OGÓLNY RESTAURACJI I KAWIARNI FR. TRZASKI


KSIĘGARNIA NOWA
PRAWDA w WINIE!



ST. WOJCIECHOWSKA

SKLEP PAMIĄTEK ZAKOPIAŃSKICH

ZABAWKI
RZEŹBY GÓRALSKIE
KONFEKCJA DAMSKA
CIUPAGI—LEŻAKI
PRZYBORY PIŚMIENNE
PANTOFLE ZAKOPIAŃSKIE Z SUKNA GÓRALSKIEGO
WAZONY
FIGURY
I T. P.
WYROBY MIEJSCOWE

WYPOŻYCZALNIA LEŻAKÓW

SKŁAD I PRACOWNIA OBUWIA ANTONIEGO WOJCIECHOWSKIEGO

W ZAKOPANEM, KRUPÓWKI-GÓRNE 71

POLECA:
W WIELKIM WYBORZE OBUWIE WŁASNEGO WYROBU JAKOTO: NARCIARSKIE, TURYSTYCZNE, LUKSUSOWE ZE SKÓR KRAJOWYCH ORAZ ZAGRANICZNYCH

NA SEZON ZIMOWY: WIELKI WYBÓR ROZMAITEGO FASONU OBUWIA Z SUKNA GÓRALSKIEGO T. ZW. „KAPCE" TUDZIEŻ OBUWIE DO POLOWANIA NIEPRZEMAKALNE

ZAMÓWIENIA WYKONUJE SIĘ W NAJKRÓTSZYM CZASIE. WYSYŁKĘ „KAPCÓW" NA PROWINCJĘ USKUTECZNIA SIĘ PO NADESŁANIU NRU BUCIKA

WYKONANIE NAJSTARANNIEJSZE. MATERJAŁY NAJLEPSZEJ JAKOŚCI. — DLA P. T. KUPCÓW ODPOWIEDNI RABAT

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI. — KLISZE ZAKŁADU REPR. ST. WELANYK W KRAKOWIE.

KRAKÓW — DRUK TRÓJBARWNY FIRMY W. L. ANCZYC I SPÓŁKA
KLISZE ZAKŁADU REPR. ST. WELANYK W KRAKOWIE